

WSPOMNIENIA

Wspomnienia księdza kanonika Antoniego Pajdowskiego z Urzędowa z działalności wśród unitów na Podlasiu w latach od sierpnia 1894 do 9 sierpnia 1898 roku

Wstępne informacje do wspomnień ks. kan. Antoniego Pajdowskiego

Ostatnie dziesiątki lat XIX wieku to najbardziej ponury i zdawałoby się beznadziejny etap wegetacji i cierpienia narodu polskiego w zaborze rosyjskim. Skasowano wszelkie możliwości dla języka rodzimego w urzędowaniu, biurowości społecznej, w szkołach i internatach dla młodzieży. Zastosowane liczne szykany w polityce wyznaniowej miały do reszty zgnębić i zabić osłabione przejawy życia polskiego. Najcięższych prześladowań doznały dzielnice wschodnie ziem polskich, byłej ludności unickiej, w szczególności tereny tak zwanej Chełmszczyzny.

Każdy ksiądz delegowany do pracy na terenach ponickich szybko narażał się władzom rusyfikatorskim i po kilku latach pracy musiał uchodzić przed zesłaniem na inny teren zaboru.

Autor niniejszych wspomnień, ksiądz kanonik Antoni Pajdowski z Urzędowa, był znamienym przykładem, że pragnąc z godnością i poczuciem obowiązku oraz odpowiedzialności moralnej i patriotycznej pełnić swe skromne obowiązki kapłańskie w Wisznicach na Podlasiu, bez dochodzenia i sądu został skazany przez władze carskie na zesłanie w pustynne okolice Karelii Północnej, gdzie będąc bardzo słabego zdrowia, nie byłby w stanie przeżyć terminu zesłania, zawdzięczając tylko usilnym zabiegom lubelskich lekarzy, iż udało się w ostatniej chwili zmienić zarządzenie.

W końcu 1898 roku zesłano skazańca do Astrachania w kaspijskie piaski nadmorskie z klimatem znacznie zdrowszym. Astrachanin znany był już społeczeństwu polskiemu, jako miejsce wygnania wielu kapłanów, a zwłaszcza biskupa Rzewuskiego trzymanego tam czas długi pod ostrym rygorem.

Gdy ksiądz odprawiał cichą mszę w kościele, to drzwi kościoła musiały być zamknięte, wejście wiernych wzniesione. Gdy przybył tam przez stopy karawaną tatarską ks. Antoni Pajdowski, zasadniczo obowiązywały jeszcze te obostrzenia. Księdzu nie wolno było wygłaszać kazań ani odprawiać sumy a tylko cichą mszę. Lecz, że nadszła wojna japońska, przepisy zaczęły łagodnieć i ks. Antoni Pajdowski stopniowo omijał je coraz śmielej a władze rosyjskie szły na coraz wyraźniejszą tolerancję. W toku dalszego biegu wojny pozwolono księdzu przenieść się z Astrachania do powiatowego miasta Bielce w Bessarabii, gdzie spędził rok 1904 i 1905. Ponieważ na tym terenie ludności polskiej było niewiele, a wśród parafian

występowało dużo Ormian, na tle ruchów rewolucyjnych i narastającej tolerancji ks. Antoni Pajdowski postanowił powrócić do guberni lubelskiej w swe rodzinne strony, by przynieść ulgę nostalgii za krajem. Liczył, że tu będzie mógł pełnić bodaj funkcję wikariusza [...].

Władze carskie zajęły stanowisko nieodwołalne, że ks. Antoni Pajdowski nie może nadal pełnić żadnej funkcji kościelnej. Pozbawiony też był uposażenia służbowego. Wrócił do kraju w 1906 r. i aż do roku 1916, tj. do usunięcia władz rosyjskich z ziem polskich, ks. Antoni Pajdowski tułał się raczej wśród znajomych księży, jako wolontariusz-rezydent, pomagając im przy akcjach religijnych, zwłaszcza przy spowiedziach. Obsługiwał tak Urzędów, Krzczonów, Bychawkę, Piaski itp.

Dopiero na przełomie lat 1916/1917 administracja kurialna w Lublinie uznała za możliwe przydzielenie mu kościoła filialno-parafialnego do obsługi na przedmieściu Lublina, zwanym Czwartek. Przebywał tam przez przeszło 10 lat pracy zanim przeszedł na emeryturę. Kilkanaście ostatnich lat życia, mieszkając na przedmieściu Dziesiąta, obok kościoła, służył nadal jako rezydent-emeryt pomocą prefektom szkolnym przy spowiedziach młodzieży i nabożeństwach, ciesząc się wśród społeczeństwa oraz duchowieństwa dużym szacunkiem i uznaniem.

Nie pobierając przez kilkanaście lat żadnego uposażenia urzędowego i utrzymując się jedynie z nabożeństw, ks. Antoni Pajdowski znany był ze znacznej ofiarności na różne cele społeczne, jak: szkoły, internaty, kościoły, seminarium duchowne. Opiekował się niezamożną młodzieżą, pomagał zwłaszcza biednym alumnom w realizacji ich życiowych powołań.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości ks. Antoni Pajdowski, z tytułu swych zasług dla kościoła i ojczyzny w czasach prześladowań, został przyjęty w poczet kanoników przez kapitułę w Zamościu.

Ksiądz Antoni Pajdowski w ciągu długiego swego życia skromnie, lecz wnikliwie sporządzał nieprzerwanie notatki wspomnieniowe z czasu pracy, zwłaszcza w najtrudniejszych warunkach, to jest wśród unitów. Służby one będą dla następnych pokoleń doskonałym źródłowym materiałem odnośnie do prześladowań byłych unitów, a zarazem prześladowań Kościoła katolickiego oraz społeczeństwa polskiego podczas zaborów.

Ksiądz Antoni Pajdowski żył od 11 marca 1858 r. do 6 czerwca 1941 r. Zmarł w Lublinie.

Mikołaj Pajdowski

Opis historyczno-geograficzny

*

Urzędów, niegdyś miasto powiatowe, królewskie, później tylko miasto niepowiatowe, dziś osada miejska nad stawami utworzonymi z wód rzeczki Urzędówki. Najświetniejszą epoką tego miasta było panowanie Zygmunta Augusta, który je rozmaitymi obdarzył przywilejami. Otaczał je wtedy wał z wieżami i przekopem, na jednej z bram wznosił się ratusz*, a na nim zegar. Między miastem a wsią Dzierzkowicami rozciągał się obszerny zwierzyniec królewski, różnym zwierzem zapełniony. Za Jana Kazimierza pożar i powietrze przywiodły miasto do zupełnego upadku. Miasteczko to leży o sześć mil od Lublina i Janowa przez Kraśnik a o cztery mile od Wisły na Rachów lub Józefów, o trzy mile od Opola a dziesięć mil od Radecznicy, pośród gór, pagórków, wąwozów, źródeł, rzeczek, drzew, sadów, ogrodów...

Grunta urzędowskie, średnio urodzajne, graniczą ze strony wschodniej z lasami radlińskimi, skorczyckimi i popkowickimi, południowej – z lasami ordynackimi, zachodniej – donacyjnymi i rządowymi, północnej – z gruntami moniackimi, wierzbickimi i ratoszyńskimi. Łąki dobre. Błonia, pastwiska z jednej i drugiej strony rzeki obszerne.

Encyklopedia poglądowa wzmiankę czyni, że „Urzędów m. starożytne, niegdyś warowne i zamożne, główne, starostwa niegrodowego”. Miasto pod względem kościelnym należało do archidiakonatu zawichojskiego diecezji krakowskiej, były dekanat urzędowski pod względem administracyjnym – do województwa sandomierskiego. Trakt z tego miasta do Krakowa wiódł na Sandomierz. Z tego powodu jedna ulica bardzo długa, którą prowadził trakt z Krakowa na Urzędów nosiła nazwę Krakowskie Przedmieście, dziś mianuje się Wodną ulicą, prawdopodobnie od wody kanału i źródeł, wśród których rozrzucana nazwę swą bierze; inne ulice też mają swe nazwy od stawu, kościoła, wału, rzemieślników... i mianują się: Stawową, Kościelną, Podwalną, Górki jedne i drugie, Przedmieście Zakościelne, Góry, Rankowskie, Mikuszewskie i Bęczyn. Rynek dosyć obszerny, otoczony ładnymi domami, na środku piękna i dobra studnia, w której woda nigdy nieprzebrana. Zawsze wody jest obficie. W stronie wschodniej – kościół.

Starożytny kościół drewniany, istniał już w 1425 r., wzniesiony przez nieznanego fundatora. Obecny, mury, pod wezwaniem św. Mikołaja, wybudował swoim kosztem Józef Marszałkowski w 1759 r., konsekrowany w 1884 r. przez Kazimierza Wnorowskiego, biskupa lubelskiego. Ostatnimi czasy dzięki wielokrotnym staraniom ks. Hery i chętej ofiarności parafian odrestaurowany i upiękuszony. Otoczony dobrym i ładnym murem i wieńcem zielonych drzew, zbudowany z ogromnego kamienia i cegły w stylu barokowym, ma bardzo ładną facjatę przyozdobioną obrazem Opatrzności Boskiej nad dużymi drzwiami i obrazem św. Mikołaja nad balkonem. Dwie wysokie wieże z frontu i trzecia kopuła na szczycie dachu w środku kościoła swoją wyniosłością strzelają pod obłoki zakończone krzyżami na baniach złożonych w ogniu, tak jak i same krzyże dodają świątyni wiele majestatu.

* Informacja błędna. O lokalizacji ratusza zob. rozważania prof. Ryszarda Szczygła [w:] *Dzieje Urzędowa*, red. R. Szczygieł, M. Surdacki, Lublin–Urzędów 2011, s. 74.

Dzwonnicy nie było. Dzwony mieściły się w wieży po prawej stronie zawieszono w najwyższej kondygnacji. Było to bardzo niewygodnie, bo za wysoko, niebezpiecznie, przy tym nie dzwoniło w większy dzwon linami z obawy, aby mury nie popękały. Dopiero od dwudziestu lat wzniesiono piękną dzwonnice, w której umieszczono trzy dzwony i dziś można bezpiecznie i dogodnie dzwonić we wszystkie dzwony linami. Dzwonnice tę i parkan, czyli mur okalający cmentarz około kościoła, wybudowano z cegły rozebranego kościółka Świętego Ducha, który istniał na Krakowskim Przedmieściu, a już od dawna zamieniał się w gruzy. Wypadałoby wmurować tablicę z trwałymi literami dla pamięci potomności, że dzwonnica i mur okalający cmentarz przy kościele i brama, na której umieszczono statuę Niepokalanej Marii Panny, obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i latarnie, wybudowane są z rozebranego kościółka Świętego Ducha, jaki istniał niegdyś na Wodnej ulicy. To wszystko też powstało staraniem szanownego ks. Ludwika Hery.

Kaplica pw. św. Otylii, kościół Świętego Ducha i inne. W bliskości cmentarza przy drodze na wzgórze pomiędzy starymi lipami można widzieć ruiny. Legenda niesie, że na tym miejscu była kaplica murowana dla św. Otylii, objawionej w łące na wierzbie pod lasem, po drugiej stronie drogi, gdzie wypływa woda spod góry i że z tej wierzb miała być trzy razy przenoszona św. Otylia do wzmiankowanej murowanej kaplicy, ale stąd trzykrotnie uchodziła na wierzbę. Widząc w tym wyraźną wolę św. Otylii, że chce pozostać pod lasem nad strumykami, przeto wybudowano tam drewnianą kaplicę na palach pod górą, nad źródłem urządzono wewnątrz kaplicy studzienkę, mense, na niej gradusy, na których umieszczono kamienną statuę św. Otylii.

Na miejscu rozebranego kościółka św. Ducha za staraniem p. Iwanowa, naczelnika pow., wybudowano szpital drewniany i zaopatrzone we wszystkie potrzebne rzeczy, brakowało tylko pensji dla lekarza, której wielu mieszkańców nie chciało ofiarować. Z tego więc powodu i szpital nie został otwarty, były i inne powody... Jakiś czas w tym szpitalu mieszkało wojsko, a obecnie zajęty jest na sąd gminny. Dobra myśl... Obok znajduje się kapliczka św. Rozalii, której obraz metalowy na ścianie, a na środku kapliczki statua Chrystusa Pana klęczącego ze złożonymi rękami. W sąsiedztwie stał krzyż wysoki, sosnowy, ogrodzony sztachetami. Po drugiej stronie drogi jest przytułek dla starców i kalek, którzy mają też ogród przy domu i po parę rubli pensji na życie co miesiąc. Za to włożony jest na nich obowiązek zamiatania kościoła i cmentarza.

Idąc od miasta drogą prowadzącą do Kraśnika na górze po prawej ręce widzieć można kapliczkę św. Elżbiety; na fasadzie dachu napis: „Pamiętka niegdyś kościoła świętej Elżbiety”. Tu też stał krzyż dębowy znacznej wysokości, a o wiorstę drugi przy moście na „wodończy”.

Inne wreszcie kapliczki spotkać się dają, idąc na pocztę: św. Barbary, przy stawie – św. Jana Nepomucena i na Bęczynie – św. Barbary, a na słupie przy drodze do Bobów – Matki Boskiej Częstochowskiej. Oprócz tych religijnych pamiątek, na każdym przedmieściu, w różnych punktach stały krzyże: mianowicie na początku,

w środku, przy końcu, w polu i przy lesie, a zawsze przy drogach. Najwięcej napisów na tych krzyżach można było napotkać: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny Wybaw nas Panie!” lub „Od nagłej i niespodziewanej śmierci Zachowaj nas Panie”.

*

W aktach sandomierskich napotyka się wzmianki o mieszkańcach urzędowskich, U.J.J. notariusz U.S.V. perpetuus E. col. B.M.V. Młodzież tutejsza chętna nauki prawdopodobnie rozpoczynała ją w Sandomierzu, zanim zdolniejsi mogli przejść na studia do Akademii Krakowskiej.

Ks. Marcin z Urzędowa – kanonik sandomierski, lekarz i jeden z najpierwszych i najcelniejszych dawnych botaników. Uczony ten medyk i profesor najpiękniejszy wiek spędził w Krakowie, działalność naukową i nauczycielską rozwijał we wszechnicy krakowskiej i klientelę lekarską miał w murach tej stolicy. W Sandomierzu przeżył ostatnie lata swego żywota, był obywatelem tego miasta, posiadał swój dom z ogrodem, tu zasługiwał się współmieszkańcom, poświęceniem i uczynnością przewyższył wszystkich lekarzy. Był to mąż pełen nauki i namaszczenia kapłańskiego. Idea chrześcijańska lekarza duszy i ciała znalazła w nim urzeczywistnienie. Oddany swemu dwoistemu powołaniu, największą rozkosz znajdował w naukowej pracy, w badaniu leczniczych sił przyrody, zbieraniu ziół ojczystej ziemi, leczeniu i pielęgnowaniu chorych i ubogich, ku czemu wzniosła pobudką była mu wiara w Boga i miłość Jezusa Chrystusa.

*

W bardzo malowniczej okolicy Lublina, m. Urzędowie, w początku drugiej połowy kończącego się dziewiętnastego wieku, 41 lat temu, **11 marca 1858 r. przyszedłem na świat**. Rodzicami moimi byli Marcin i Paulina z Myszkowskich małżonkowie Pajdowscy, ciężką i twardą pracą zdobywający chleb dla siebie i dzieciaków swoich. Od najpierwszych chwil dzieciństwa i przez cały jego okres nie zaznałem nic takiego, co jest udziałem dzieciaków sfer zamożniejszych i bogatszych. Spożywając chleb pracy, zapoznałem się z potrzebą i obowiązkiem pracy. Rozumiałem już wtedy to, o czym wielu dowiaduje się później... że nic nie przychodzi w życiu ludzkim darmo... i że aby coś zdobyć, potrzeba w pocie czoła pracować. „Ptak do latania, a człowiek do pracy jest stworzony”. „W pocie oblicza będziesz pożywał twego chleba” – wyrzekł Bóg do Adama i wszystkich ludzi.

Powstanie 1863 roku

W szóstym roku mego życia Urzędów i jego okolice były widownią przejść, postojów i potyczek powstańców, wojsk polskich i rosyjskich. Przez co mieszkańcy wiele, ach wiele ucierpieli... życie ich i mienie zagrożone było. Niepewni... Razu jednego wojsko rosyjskie wracało z placu boju, rozeszła się wieść, że uciekało przed powstańcami z powodu braku amunicji. Mieszkańcy urzędowscy uzbili w kosy, siekiery i kołki, dalejże

chcieli napastować wojsko rosyjskie, zaczepnie działając. Tak zuchwałym i śmiałym postępowaniem mieszczańskie wojsko zostało obrażone; dowódca wojsk rosyjskich; skazał miasto Urzędów na spalenie i miało już wojsko rosyjskie dać ognia. Mieszczanie w popłochu, gdzie kto mógł i co się dało z mieszkań wynosił. Ale dzięki wielkiej dobroci ówczesnego burmistrza p. Sienkiewicza, który na klęczkach błagał dowódcę, ażeby przebaczył mieszczańcom, miasto ocalało od pożogi.

W Urzędowie, jako mieście królewskim, nie wolno było mieszkac Żydom. Sprowadził się Żyd M. Mieszczanie zachęcali go, żeby się dobrowolnie wyniósł z Urzędowa. Nie chciał, opierał się. Rozgniewani niektórzy mieszczenie poturbowali Żyda i wyrzucili z miasta, wyprawiając mu kocią muzykę. Za tę samowolę pociągnięci zostali winni do odpowiedzialności, ponieważ Żyd wniósł skargę, gdzie wypadało.

Ojciec mój nie miał skłonności do żołnierki, ani nawet do powstania, co do którego nie miał wiary w pomyślne zakończenie, ale do powstania w Urzędowie siłą mobilizowano niezależnie od tego, iż wielu chętnie zaciągało się do wojaczki. Strapiona matka obarczona dziećmi, poszła ze mną, małym chłopcem do dowódcy powstańczego oddziału z prośbą, ażeby przez wzgląd na dzieci uwolniono ojca z wojska. Ojciec został zwolniony i wkrótce wrócił, zaś lokator nasz w domu zgłosił się do powstania i zginął. Nosilem czerwoną czapkę. Straszono mnie, że Krakusów Moskale zabierają, toteż kryłem się.

Miałem przed moimi oczyma żywy przykład pracy, zapobiegliwości, oszczędności, a zarazem i pobożności. Głęboką wiarę wyssałem z mlekiem macierzystym, przykład pobożności brałem już to z matki, która zawsze marzyła, abym został księdzem, już to ze starszego brata, który mnie opieką swoją otaczał i do życia pobożnego zachęcał. Błogosławieni tacy rodzice i taka rodzina, gdzie wspólny dobry przykład krzewi wiarę, uczy modlitwy.

Spod ubogiej strzechy moich rodziców wyniosłem trzy diademy droższe nad wszystkie bogactwa... wiarę, modlitwę i zrozumienie potrzeby a nawet nawyknienie do pracy... Z tymi skarbami rozpocząłem pierwszy mój dorobek w nauce. Dziecinne lata w domu i pod troskliwym okiem rodziców i brata Józefa szczęśliwie mi upływały.

*

Kto ujrzał świat bosi w małej miasteczkowej szacie, gdzie choć wielkiej nędzy nie zaznał, ale też i dostatkiem nie był otoczony, bo jego rodzice zaledwie posiadali kęs czarnego chleba, a oprócz sąsiadów i najbliższych krewnych nikogo prawie nie znali, kto w tych warunkach postawiony potrafił zwalczyć wszystkie przeciwności i nauką wykształcić swój rozum, cnotą uszlachetnić serce i bez obrazu prawa moralnego zdobyć znaczenie u ludzi i wysokie stanowisko społeczne, ten przed innymi godzien jest zupełnego poszanowania, a takim był niejeden z Urzędowa.

Ks. Szymon Porzyciński, kanonik laterański, mieszkał w Kraśniku, zabity pod Łysą Górą w czasie powstania 1863 r. 11 lutego, pochowany w Nowej Słupi.

Ks. Walenty Pajdowski nauki pobierał u księży pijarów w Opolu, po ukończeniu których wstąpił do Zgromadzenia

Kanoników Regularnych Laterańskich w Kraśniku. Pełnił jakiś czas obowiązki wikariusza w Olkuszu kieleckiej diecezji, a ostatecznie w Janowie Ordynackim. Był kapelanem powstańczym. Po powstaniu zesłany na Sybir. Przemieszkiwał lat dwa w krasnojarskiej guberni, lat siedem we wsi Tuńce nad Bajkałem w irkuckiej guberni, a ostatnie siedem lat w Wielkim Ustjugu. Dnia 11 marca 1880 r. nad Dźwiną północną w Wielkim Ustjugu w guberni wołogodzkiej zakończył życie, pojednawszy się wprzód z Bogiem przez Sakramenty święte. Umierając miał lat życia 56, a kapłaństwa 32.

Ks. Ban... spełniał posługi religijne w różnych miejscach, pożegnał ten świat.

Ks. Wiąckowski przeniósł się do wieczności.

Ks. Walenty Wlazłacki, prałat kolegiaty opatowskiej, proboszcz parafii Goźlice. W roku 1813 bogobojnych małżonków Wlazłackich Bóg obdarzył dziećciem, któremu na chrzcie dano imię Walenty. Młody Walenty po ukończeniu szkół u księży pijarów w Opolu wstępuje do seminarium w Sandomierzu. Wyniesiony na kapłana w roku 1837 przez lat siedem, jako zastępca śp. ks. N. Juszyńskiego, późniejszego biskupa sandomierskiego a ówczesnego proboszcza, pełni obowiązki wikariusza przy kościele w Goźlicach. Widzimy go później przez lat trzynaście proboszczem w Ostrowcu. Wreszcie w roku 1857 znany i powszechnie szanowany dla swej prawości i prawdziwie kapłańskiego życia od ks. Jul. Ledóchowskiego otrzymuje prezentę na beneficjum Goźlickie. W roku 1864 zostaje kanonikiem kolegiaty opatowskiej, później dziekanem prałatem. W roku 1887 obchodzi pięćdziesięcioletni jubileusz kapłański. Na kilka lat przed śmiercią zapada na chorobę oczu, która mu uniemożliwia sprawowanie Najświętszej Ofiary. Nadszedł wreszcie dzień ostatnich boleści, dzień 10 stycznia. Opatrzony Świętymi Sakramentami, otoczony atmosferą pokoju, oczyma pełnymi rezygnacji powiódł dokoła siebie, po tym domu, w którym przemieszkał lat z rzędu czterdzieści, a który w tej chwili anioł śmierci skrzydłami swymi przysłaniać się zdawał. Pokój napelniał się mrokiem, w którym dogorywały resztki dziennego światła, a z nimi i resztki życia czcigodnego prałata. Na starym zegarze ściennym wybiła godzina szósta, kiedy prałat ducha Bogu oddał.

Ks. Edmund Bogusławski, ur. 1866, nauki pobierał w domu, następnie w gimnazjum lubelskim, tu też kończył seminarium duchowne, jako wzorowy i zdolny uczeń. Wyświęcony na kapłana w 1879 roku, przeznaczony został na wikariusza w Starym Zamościu, skąd przeniesiony do Lublina, następnie spełniał obowiązki w Garbowie, Nieliszu, następnie otrzymał probostwo w Tarnogrodzie i tam zakończył swój żywot doczesny w kwietniu 1899 r. Spoczywaj w pokoju dobry kolego, miłosierny kapłanie, opiekunie sierot.

Ks. Cieśliski w klasztorze Nw. M. Gidelskiej.

Ks. Fryderyk Więckowski, administrator w Potoku.

Ks. Teodor Więckowski, filialista w Księżomierzy.

Ks. Eustachy Goliński, administrator w Gościeradowie.

Ks. Walenty Goliński, administrator w Wysokiem.

Ks. Tomaszewski, w archidiecezji warszawskiej.

Ks. Kasper Ambrozkiewicz, proboszcz w Michowie K.S.T., swoim staraniem, przy ofiarności parafian wy-

budował kościół murowany. Dnia 14 czerwca 1899 r. obchodził 50-letni jubileusz pracy kapłańskiej na niwie Chrystusowej. Urodzony w Urzędowie 1 stycznia 1825 r. Po ukończeniu szkoły obwodowej w Opolu w roku 1843 wstąpił do seminarium lubelskiego. Po dwóch latach władza seminaryjna wysłała go do Akademii Duchownej w Warszawie. Po skończeniu jej, wyświęcony na kapłana w roku 1849, ks. Kasper Ambrozkiewicz pełnił obowiązki wikariusza w Lublinie, Pawłowie, Rudnie, a następnie obowiązki dziekana w Kazimierzu. W roku 1857 władza duchowna powołała go na probostwo w Michowie. Tu za czasów swego pasterzowania z trudem i mozolem wystawił ww. kościół.

Ks. Franciszek Chęciński, administrator w Bychawce, wybudował ładną plebanię w Czerniejowie.

Ks. Mikołaj Gozdalski, administrator w Starym Zamościu, otaczał opieką młodzież szkolną, udzielając jej pomocy.

Ks. Józef Gozdalski, administrator w Adamowie, zastał kościół w ruinie, z której go podniósł. Przy nim to w ciągu ostatnich lat odnowiono kościół wewnątrz i zewnątrz, otoczono murem cmentarz kościelny, dano nową podłogę, odrestaurowano organy, sprawiono nowy ołtarz wielki, boczne odnowiono, ambonę sprawiono nową itd. Dziś ten niewielki, o jednej nawie kościółek odmalowany, ozłocony i odświeżony wygląda jak pieścidelko. Nie zapomniał też ks. Józef i o zabudowaniach plebańskich, które po swym poprzedniku otrzymał w stanie oplakany. Nie żałując ani trudów, ani własnego grosza poprawił dom mieszkalny a zabudowania gospodarskie wybudował nowe.

Ks. Józef Żyszkiwicz, filialista we Frampolu, usunięty do Lublina na mieszkanie.

Dzikowski, miłosierny, pamiętający o swoich krewnych i mieszkańcach, przeniósł się do wieczności we Francji. Ofiarny był mu kościół urzędowski.

Tomasz Bogusławski, nauczycielem był przy szkołach miejskich w Urzędowie i zarazem prowadził akta urzędnika stanu cywilnego. Szanowany.

Stanisław Bogusławski, brat Tomasza, był organistą przy kościele urzędowskim, sprawiedliwy.

Kałużyński, muzyk dzielny, skończył konserwatorium warszawskie.

Gracjan Chmielewski, urodzony w Kraśniku, 18.12. 1841 r., syn naczelnika poczty. Wychowaniec Szkoły Głównej w Warszawie, powstaniec 1863 roku, profesor w Warszawie, od 1906 r. pierwszy dyrektor Gimnazjum im. Staszica w Lublinie.

M. Certowicz, doktor, brat Wojciecha, naczelnika Urzędu Poczтового w Urzędowie.

Piotr Chęciński, nauczyciel.

P. Goliński, prawnik, sędzia w Rosji.

Obecnie wiele młodzieży kształci się w szkołach w Sandomierzu, Lublinie, Radomiu, Zamościu, Częstochowie itd.

Szkoła była za czasów moich, zapewne i dotąd jest, obok kościoła. Szkołę stanowiła obszerna izba, w której piec wielki, prawie zawsze wytarty. Przy oknach stały ławki w liczbie sześciu dla chłopców, z przeciwnej strony trzy dla dziewcząt, później dodano czwartą na środku, duży stół na gradusie dla profesora i jego fotel, w rogu

dwie szafy, biblioteka i archiwum, nieco dalej ogromna, czarna, drewniana tablica, przy której bardzo często niespokojni klęczeli. Profesorem był dobry pan T. Bogusławski – pilny, gorliwy, religijny, poważny, cierpliwy, słowem pełen zaparcia się i poświęcenia. Pan T. pisał też i akta urzędnika stanu cywilnego. Pisał ładnie i szybko z różnymi zakrętami, tylko rozwlekle, a to z powodu podeszłego wieku i osłabionego wzroku. Rachunków bardzo biegle i przystępnie nauczał, zdolniejsi doszli do mnożenia i dzielenia liczb wielorakich, inni ułamków. Lat sześć spędziłem przy książce, ucząc się wytrwałości w mrówczej pracy elementarnej wykształcenia. Tu już zakiełkowało we mnie pragnienie poświęcenia się Bogu w świętym stanie kapłaństwa. Z początku niepewne, dorywcze, półświadome, jak wszystkie dziecinne i młodzieżowe pragnienia. Później stałe, jasne, dokładne, bo w nim złączona została łaska powołania. Świadczyć o tym będzie dalsze moje życie. Chociaż w szkole spotkały mnie publiczne trzy pochwały przy końcu roku w drugim, trzecim i czwartym, a w piątym i szóstym nagrody za dobre sprawowanie i postęp w naukach. Szkoła jednak miejska lubo zaspakajała potrzeby umysłowe dzieci mieszczan urzędowskich, dla mnie zdawała się niewystarczająca tym bardziej, gdy pragnąłem zająć wyższe w społeczeństwie stanowisko. W piętnastym i szesnastym roku mego życia oddawałem się zajęciom fizycznym, ale umysłowo też pracowałem: czytałem, pisałem, myślałem, konferencje odbywałem, uczyłem się śpiewu, uczęszczałem na chór kościelny, gdzie brałem udział w śpiewie miarowym. Jako szesnastoletni młodzieniec wybrałem się pierwszy raz do Częstochowy, odległej od Urzędowa o 40 mil. Na trzeci dzień po Zielonych Świątkach w towarzystwie brata i innych piętnastu osób, przeprowadzeni parę wiorst przy odgłosie dzwonów i pieśni *Kto się w opiekę*, na czele kompanii krzyż, pod przewodnictwem Jakuba Żyszkiewicza pieszo całą drogę dążyliśmy, śpiewając różne pieśni. Do wszystkich świątyń wstępuje się na adorację, przy kaplicach, cmentarzach, krzyżach, statkach i obrazach klęka się i śpiewa odpowiednie wiersze. Pielgrzymka z Urzędowa do Częstochowy prowadzi na Rachów, przez Wisłę, Ożarów, Ćmielów, Waśniów, Słupię, Świętokrzyską Górę, Kielce, Małogoszcz, Świętą Annę, Mstów, Gidle, Koniecpol. Pielgrzymka zajmuje czasu około 17 dni. Idzie się do Częstochowy tydzień, u Maryi bawi się trzy lub cztery dni i z powrotem tydzień. A śpiesząc z tymi gromadami pobożnych, nie tylko silni i zdrowi, ale i słabi, podpierając się kijami, jadą na wózkach, i zupełną trawieni niemocą. Wszyscy doznają tu pociechy w głębokiej swej wierze uzdrowieni przez spowiedź na duszy, nieraz i na ciele, obezwładnionym niemocą. Po kilkudniowym pobycie kompanii na Jasnej Górze lud o ile mógł wyspowiadał się, wymodliwszy i naśpiewawszy ze łzami rozrzewnienia powraca do domu, leżąc jeszcze na pożegnaniu krzyżem w przybytku swej Pocieszycielki strapionych, a gdy jeszcze ksiądz paulin żegna go mową na wzniesieniu pod figurą i nawołuje, że jeżeli się pątnicy nie wyrzekną tych grzechów, z którymi przybyli, to lepiej niech wcale przed oblicze Cudownej nie przychodzą – wtedy rozlega się płacz ogólny i jeszcze raz padają na kolana.

Po powrocie z Częstochowy, po wakacjach zapisałem się na grę organową u S. Bogusławskiego, brata profesora. P. Stanisław zobowiązał się mnie nauczyć gry organowej w przeciągu trzech lat. Po wysłuchaniu mszy św. chodziłem do p. Stanisława, ćwiczyłem się, czyniąc przygotowania na klawikordzie do południa, następnie pauza dwugodzinna obiadowa, znów po drugiej godzinie przychodziłem i grałem do szóstej, przeplatając grę czytaniem i pisanem. Ojciec mój kupił klawikord, i p. Stanisław w niektóre dni przychodził do mnie wysłuchać lekcji. W trzecim roku prowadziłem kancelarię parafialną. Lekcje śpiewu przy pomocy księdza Ludwika Hery odbywały się co drugi dzień, chór śpiewał na dwa głosy. Od dziecinnych lat czułem zamiłowanie i zdradzałem zdolności do muzyki, zwykłą tedy idąc drogą Opatrzności i słuchając głosu natury, zamierzałem poświęcić się sztuce muzycznej i zapisać się na kurs w konserwatorium warszawskim. Lecz Bóg inaczej zarządził i gdy miałem lat osiemnaście postanowiłem zostać aspirantem do stanu duchownego. W Urzędowie pod skrzydłami św. Otylii żył gorliwy i pobożny kapłan, który się zaopiekował mną aspirującym. Nauczyłem się łaciny, języka niezbędnego kapłanom i tego wszystkiego, co młodzieniec wstępujący do seminarium wiedzieć i umieć powinien. Przede wszystkim miałem żywy przykład wielkich cnót kapłańskich, jakimi świecił zacny mój przewodnik. Dzięki tobie księże dobrodzieju w moim umyśle zrodził się ideał dobrego, Chrystusowego kapłana.

Powróciwszy po raz drugi z Częstochowy, z odświeżonym umysłem znów całą duszą oddałem się naukom, lecz już w Starym Zamościu, dokąd przeniesiony został mój opiekun, za którym na kilka miesięcy pojechałem, ażeby w dalszym ciągu przygotowywać się z wymaganych w seminarium przedmiotów, bo miałem wkrótce stanąć do egzaminu jako kandydat do seminarium.

Wieść o zmianie księdza dobrodzieja szybko przebiegła w okolicy naszej i silnie zaniepokoiła nie tylko parafian urzędowskich, lecz i dalszych. Tłumnie zebrani parafianie wystosowali prośbę błagalną do Pasterza biskupa Baranowskiego o zostawienie ks. Ludwika Hery w Urzędowie. Lecz wola Pasterza stała się faktem spełnionym, przyrzekł tylko, że ks. Ludwik wróci. Ks. Hera wstąpił na kazalnicę, aby lud pożegnać. Kościół był przepelniony wiernymi. Za ledwie dopiero z kazalnicy pierwsze słowa pożegnania dały się słyszeć, tedy równocześnie z nimi w całej masie ludu rozległ się taki rzewny płacz, niewypowiedziany lęk i głośnie łkanie, że ta uroczysta chwila pożegnania przybrała wzruszający obraz gorzkiej boleści, oplakującej niby zgon ukochanego kapłana i dobroczyńcę swojego. Były to łzy szczere, prawdziwe i nieklamane. Była to chwila przenikająca do głębi duszy. Takie uczucia wylane z czystych serc naszych wymownie świadczą, kim był ks. Ludwik dla ludu.

Wkrótce i ze mną smutno się żegnali rodzice, krewni i znajomi. Czas szybko mi upływał u ks. Ludwika, bo miałem dużo zajęcia przy różnych obowiązkach: msza św., na której grałem i śpiewałem lub do której służyłem, lekcje z zadanych mi przedmiotów, gra na klawikordzie, pianinie, waltorni, a później na fortepianie, śpiewy z chórem co drugi dzień.

W sierpniu 1878 r. stanąłem do egzaminu. Egzaminowany byłem w gmachu seminarium przez ks. Wójcickiego regensa seminarium, Noiszewskiego v-regensa, w asystencji ks. kanonika Woszczyńskiego. Po egzaminie oznajmiono mi, żebym przyjechał we wrześniu, jako kandydat do seminarium, zaopatrzywszy się w rzeczy potrzebne. Wyjechałem do domu rodziców, a w swoim czasie wybrawszy się, wróciłem do Lublina za furtę seminarium; po rekolekcjach przywdziałem sukienkę duchowną.

Wątle zdrowie

Wiele osób dziwi się, dlaczego często zapadam na zdrowiu.

Są ludzie, którzy w życiu swoim nigdy nie chorują, inni bardzo rzadko, a są i tacy, co prawie całe swoje życie zawsze chorzy, z jednej choroby wpadają w drugą. Poznałem w tym roku jednego księdza, który ma przeszło lat 71 i mówił, że przez te 70 lat nigdy nie chorował. Powinszować! Przeciwnie ja, mam 41 lat, a już wiele razy chorowałem. Byłem jeszcze dzieciakiem – chorowałem na ospę, później na gardło, wreszcie na febrę i to dosyć długo. Kilka tygodni nie mogłem się z niej wyleczyć żadnym lekarstwem. Co kto tylko powiedział, wszystko się robiło, aż w końcu poszedłem do stawu, wykapałem się i odtąd już więcej febra nie trapiła mnie, więc kąpielą rzeczną wyleczyłem się z febrą. Miałem wówczas lat około trzynastu.

W seminarium, kiedy kończyłem kurs filozoficzny, zacząłem chorować na płuca. Wyjeżdżając na wakacje, poszedłem do seminaryjnego doktora Koziejowskiego, który zalecił mi używać dużo mleka: słodkie, kwaśne, jaja na miękko, kąpiel w biegu wody i spacer. Lekarstw nie przyjmować żadnych. Zastosowałem się we wszystkim do rad doktora. Kurację przeprowadziłem pomyślnie. W następnym roku stan mego zdrowia pogorszył się troszkę. Znowu udałem się do doktora Koziejowskiego, który przepisał mi proszki i radził, aby mniej używać postnych potraw. W maju, czytając w refektarzu seminaryjnym, rozrzewniłem się treścią i zemdląłem. Koledzy zaprowadzili mnie do łóżka. Odpocząłem. Alumn Jasiński zaprowadził mnie do doktora Ciechońskiego. Wziąłem lekarstwa, wróciłem do seminarium do łóżka, używając je przeleżałem kilka dni, ale do sił nie wracałem. Nawiedził mnie ks. regens Wójcicki, zapytał o zdrowie i skoro się przekonał, że nie było mi lepiej, odwrócił się do okna, pomyślał, rozczulił się. Zwraca się do mnie i pyta: „Może by pan pojechał do domu?”. Odpowiedziałem: „Jeżeli ks. regens łaskaw, to i owszem”. Dałem znać rodzicom; przyjechał po mnie brat Józef. Przedtem przyszedł do mnie ks. Niszewski v-regens, spostrzegł lekarstwa i mówi: „Co panu po proszkach, rzuć pan książki, jedź do domu, myśleć gdzie jaka dziura, wybierać raki, wróble, a co się tyczy studiów to się później zadośćuczyni”. Te słowa ks. v-regensa, dziś prałata, bardzo mnie pocieszyły, otuchy dodały. Spełniając życzenie doktora, udałem się drugi raz do niego z oznajmieniem, że wyjeżdżam do rodziców, ponieważ czuję się bardzo osłabionym, a w seminarium do sił nie przyjdę. Doktor C. zalecił mi słone

kąpiele z otrębami i picie wody Eger-Frans z serwatką ze słodkiego mleka, nie pościć, używać wino reńskie, unikać surowizny, kwasu, jeść mięso i mleko. Zabrawszy z sobą wody, wyjechałem do domu prowadzić kurację. Przy troskliwej opiece rodziców przeprowadziłem kurację dosyć szczęśliwie, tak że po wakacjach wróciłem do seminarium na studia teologiczne, które rozpocząłem w przeszłym roku. Wątle zdrowie nie pozwoliło mi i w następnym roku pozostać do końca roku szkolnego, bo jeszcze wcześniej, mianowicie w kwietniu, przyjechał po mnie brat i zabrał do domu na kurację. Z zalecenia doktora Brauna brałem słone kąpiele z otrębami, piłem sztuczne wody krynickie i odżywiałem się zdrowymi potrawami. Po czterech przeszło miesiącach pobytu w domu, trochę wzmocniony na siłach, pojechałem do seminarium kończyć kurs teologiczny. Koledzy z ostatniego kursu Hartman i Korycki zarekomendowali mnie ks. biskupowi Wnorowskiemu, który okazując mi współczucie i życzliwość, pogłaskał mnie z wielką sympatią, ubolewając powiedział: „To on biedaczek”. Za kilka tygodni z jego rąk przyjąłem tonsurę i mniejsze cztery święcenia, tzw. minores. Wkrótce znowu musiałem opuścić ciche ustronie seminaryjne i wyjechać do rodziców z powodu osłabienia nerwów. W domu czytałem książki i przygotowywałem się do sprawozdania z wymaganych w seminarium przedmiotów. Wtem przynoszą mi papier od naczelnika powiatu pisany do wójta gminy Urzędów, aby wójt dostawił mnie do powiatu janowskiego dla odbycia wojskowej powinności. Zupełnie zapomniałem, że wyszła prolongata dana mi na cztery lata. Bez żadnej w takich razach zwłoki pojechałem do Lublina i zawiadomiłem o tym swoją władzę, najprzód w seminarium, a potem, kiedy do seminarium przyszedł za mną strażnik, ażebym się stawił w magistracie, wstąpiłem do ks. bpa meldując, że prolongata się skończyła i chcą mnie zabierać do wojska. Ksiądz biskup odrzekł: „Pójdiesz do magistratu i powiedz im, że przygotowujesz się do wyższych święceń, a księdza regensa poprosisz o świadectwo”. Serdecznie podziękowałem i poszedłem do referenta zakomunikować to, co powiedział ksiądz biskup. „Dobrze, damy znać o tym do powiatu” – odrzekł. Wróciłem za furtę seminarium, ale nie na długo, ponieważ otrzymałem subdiakoniat. Przed diakonatem na egzaminie był obecny ksiądz biskup i pilną zwracał uwagę na odpowiedzi, szczególnie przy traktacie o czynach ludzkich i powiedział: „Traktat *De actibus humanis* jest najważniejszy, to prawie wszystko”, a chcąc się przekonać czy rozumiem *de involuntario*, dodał: „*Exemplum*”. Przytoczyłem natychmiast przykład... Ksiądz biskup mówi: „*Recte*”. Zadowolony z egzaminu, pyta się: „Czy umiesz *absolutie*?”. „Nie umiem” – odpowiadam wprost. Egzamin nie był jeszcze naznaczony, więc nie czytałem i nie przypomniałem sobie, przy tym byłem chory i nie spodziewałem się, że tak prędko będę święcony na kapłana. Koledzy wnosili z tego, że ksiądz biskup kazał mi mówić *absolutie*, więc koniecznie chciał mnie zaraz święcić na prezbitera. Ja uważałem, że nie zasłużyłem. Chociaż i tak wkrótce otrzymałem prezbiterat. Jednocześnie do święceń przystąpił Stanisław Dąbrowski – diakon, który już był rok na parafii i pełnił obowiązki wikarego. Prymicje odprawiłem w kościele

seminaryjnym. Poprosiłem księdza biskupa, ażeby mi pozwolił wyjechać do rodziców na święta. Pozwolił tylko pod warunkiem, powiedział: „Nie puszcze cię, dopiero po nabożeństwie w Wielki Czwartek. Będziesz mi potrzebny przy święceniu olejów”. Po obiedzie wyjechałem do Urzędowa, gdzie w Wielką Niedzielę odprawiłem prymicję. Ks. Ludwik ślicznie wygłosił kazanie.

Po sumie nastąpiło ściskanie głów rodziców, archidiacona, krewnych, znajomych i innych. Ceremonia kładzenia rąk na głowy obecnych długo się przeciągnęła, bo wielkie było zebranie ludu.

Po skończonych ceremoniach z prawdziwą, serdeczną i staropolską gościnnością podejmował nas szanowny ks. Ludwik Hera, opiekun mój, wraz z matką swoją, pobożną matroną. Po niesporach zaś przyjęcie u najukochańszych moich rodziców.

Zabawiłem parę tygodni w Urzędowie, a kiedy otrzymałem odezwę z konsystorza, aby przyjechać do dalszych rozporządzeń władzy, wróciłem do seminarium, zdałem egzamin na aprobatę, podziękowałem władzy za wszystko, pożegnałem i na powrót do Urzędowa, aby tam czekać aplikaty na wikariat. Nie wiedziałem, gdzie będę posłany, bo dużo było miejsc wakujących, aż 53. Ze wszystkich stron prosili o wikariuszów, a nowo wyświęcony ksiądz był tylko jeden. Nim wyjechałem z Lublina dowiedziałem się, że jestemznaczony do Tarnobrogu na wikariusza. Ksiądz v-regens powiedział: „Krzyż pan gwałtu, aby tam nie posyłali, bo parafia duża, a zdrowie wątłe, choć nie można się sprzeciwić”. Poszedłem do księdza biskupa i prosiłem, ażeby mnie posłał na mniejszą parafię. Tak byłem osłabiony, że nawet księdzu biskupowi oznajmiłem, iż kazania nie będę w stanie mówić. Biskup rzekł: „Teraz będziesz wolny od egzaminów, kiedyś dopiero na beneficjum za trzy lata, jedź do Urzędowa, tam ci przysyłemy aplikatę na parafię. Aprobaty nie dają ci zaraz, aby cię spowiedzią nie mordowali”.

W Urzędowie odpocząłem miesiąc, otrzymałem z konsystorza aplikatę i rozporządzenie, abym się udał do Dzierzkowic, tam zainstalował się na wikariat, a na mieszkanie wyjechał do Bobów i niósł tam pomoc w posługach religijnych miejscowemu proboszczowi.

W Bobach w pierwszym i drugim roku przechodziłem kurację w domu, w następnych zaś latach wyjeżdżałem na kurację do Nałęczowa. W roku 1886 doktor Chmielewski, dyrektor zakładu, umieścił mnie w pałacu, gdzie zamieszkałem i stołowałem się. Do hydroterapii chodziłem cztery razy dziennie. Wysypiać się należało 8 godzin. Mszy św. doktorzy nie pozwalali odprawiać przynajmniej na początku kuracji. Spowiedzi też zabraniali, ani czytania książek poważnej treści. Po 50 dniach przybyło mi wagi 5 funtów. Koszt kuracji 200 rubli. W roku 1887 zamieszkałem w willi księdza proboszcza Strusa. Kuracja tak jak i w roku ubiegłym. Lato było dżdżyste, wilgoć. Zaziębiłem się, dostałem początków febry. Doktor Chełchowski nie kazał mi przychodzić do zakładu, leżeć w pokoju, sam przyszedł do mnie na górę pod kościół.

Zniechęcony byłem, by pozostawać w Nałęczowie dłużej niż jeden miesiąc, chociaż doktor Chmielewski nie zgadzał się na tak krótką kurację. Wyjechałem niezadowolony; później żałowałem tego, że nie leczyłem się dłużej.

W roku 1888 wyjechałem do Warszawy, ażeby zasięgnąć rady sławnego doktora Baranowskiego, który zaopiniował mi wyjazd do Krynicy. Wobec trudności wyjazdu za granicę napisał do doktorów w Nałęczowie, dając wskazówki jak mają mnie leczyć. Pozostawałem tam około 6 tygodni. Brałem tam kąpiele żelaziste i borowinowe, hydroterapię, piłem kumys, zamieszkałem u państwa Raciborskich. Na wadze przybyło mi 7 funtów. Kuracja udała się. A kiedy na jesieni zdrowie moje pogorszyło się, znowu pojechałem do doktora Baranowskiego. Przez parę lat wyjeżdżałem jeszcze do Nałęczowa, siły moje wzmacniały się. W roku 1890 na wadze przybyło mi 17 funtów. W roku 1891 bawiłem tylko dni 10 na kąpielach rzecznych. Kuracja nałęczowska kosztowała mnie około 650 rubli. Państwo Raciborscy z Nałęczowa przez swoje dobre serce nawiedzali mnie i w Bobach, i w Lublinie, i w Wisznicach.

*

Pierwsze pole działalności, jako młodego kapłana, przypadło mi w Bobach, dokąd przybyłem 17 czerwca. Wieś Boby leży na drodze z Urzędowa do Józefowa, obok lasów: rzeczka, staw, łąki, ogrody, góry, pagórki, rozdoły i wąwozy. Kościółek drewniany z 1775 r., skromnie, ale starannie utrzymany. Do parafii należało 14 wiosek. Cała parafia liczyła 550 domów, około 4–5 tys. dusz. Dwa religijne dwory: państwa Zembrzuskich w Moniakach i Witkowskich w Chruślinie. W parafii pracował proboszcz ks. Jan Metelski – 70 lat mający. Otrzymał pomocnika w mojej osobie. Wkrótce po moim objęciu pracy w Bobach przyjechał z wizytą kanoniczną ksiądz biskup Wnorowski w dniach 7–9 lipca. Księża było z alumnami szesnastu.

*

W roku 1888 w kwietniu najukochańsi moi rodzice zakończyli życie. Ojciec 1, a matka 13 kwietnia.

W roku 1891 ks. biskup Jaczewski przybył z wizytą kanoniczną do Bobów, skąd na trzeci dzień wyjechał do Urzędowa na pogrzeb ks. M. Wolskiego, jubilata – proboszcza parafii urzędowskiej. Ksiądz biskup celebrował sumę. Przy końcu sumy wszedł na ambonę ks. Ludwik Hera, serdecznie przemówił do licznie zebranego duchowieństwa, obywatelstwa i wielkiej rzeszy ludu, zarazem wyraził wdzięczność księdzu biskupowi za współudział w pogrzebie. Ksiądz biskup sam też eksportował na cmentarz i przy mogile wygłosił przemowę.

Nieprzyjemne. P. Czernicki, naczelnik straży ziemskiej, pytał się mnie pisemnie, sekretnie, na jakiej zasadzie odprawiłem nabożeństwo żałobne na prośbę włościan z Chruślanek w dzień Najjaśniejszych Państwa. Odpisałem, że żadnego żałobnego nabożeństwa w taki dzień nie było. Wkrótce napisał do ks. Metelskiego, dlaczego pozwolił na to. Ks. Metelski odpowiedział, że żałobnego nabożeństwa w dzień pomieniony nie było. A nadto ten, kto to rozgłosił, winien być ukarany. Znowu pan naczelnik przysłał mi papier z oznajmieniem, że mszę odprawiłem w czarnym kolorze, a w galowe dni nie można. Odpisałem, że w czarnym kolorze mszy nie odprawiałem. Wzmiankowany naczelnik skazał mnie na zapłatę 25 rubli.

Pytali się także z powiatu janowskiego, na jakiej zasadzie i z czyjego pozwolenia uczyć śpiewu młodzieży. Odpisałem, że na zasadzie przepisów Kościoła z polecenia księdza biskupa i zachęty pism publicznych.

Pracowałem w parafii bobowskiej przeszło 10 lat i postanowiłem sobie dłużej w niej pracować. O probostwo nie miałem zamiaru prosić. Ksiądz jubilat Metelski mówił: „Nie masz potrzeby księżę Antoni starać się i szukać innej parafii. Urządź sobie tutaj, jak ci się podoba, pozostaniesz tu proboszczem”. Nie miałem pretensji. Zdawało mi się, iż władza wiedząc o moim wątłym zdrowiu, pozostawi mnie w spokoju tym bardziej, że z księdzem jubilatem żyliśmy w zgodzie, jedności i miłości. Tymczasem inaczej się stało. O niczym nie wiedząc, ktoś mnie podał na probostwo wisznickie. Zostałem przedstawiony do Warszawy i tamże zatwierdzony. Nominacja moja na administratora parafii wisznickiej nastąpiła dnia 19 sierpnia 1894 r. Kto mógł się przyczynić, że zostałem mianowany administratorem wisznickim, jest dla mnie tajemnicą. Wprawdzie byłem przestrzegany przez księdza kanonika: „Pan nie spodziewaj się, kiedy z Bobów zabiorą na probostwo” – zachęcał, aby się przygotować. 21 sierpnia otrzymałem papiery z konsystorza, mianowicie: prezentę na beneficjum wisznickie, wezwanie do konsystorza i bilet na przejazd. Zdziwiłem się bardzo tą niespodzianką, tym bardziej, że nie starałem się, nie okazywałem żadnego życzenia, nie prosiłem o parafię, ani sam, ani przez innych i nie stawałem do egzaminu na beneficjum, przy tym nie byłem zawiadamiany, czy chcę przyjąć probostwo. Wybrałem się do Lublina z księdzem jubilatem. Chcieliśmy sekretnie z księdzem biskupem porozmawiać. Ksiądz biskup raczył przyjść do pałacu, księdza jubilata zaraz poznał, mnie zaś nie mógł sobie przypomnieć. Poprowadził nas do swego gabinetu. Podziękowaliśmy księdzu biskupowi za łaskawą pamięć, mianowicie, że mnie zamianował na proboszcza, zarazem prosiliśmy, aby ksiądz biskup był łaskaw zwolnić mnie z obowiązków proboszcza i nie posyłać do Wisznic. Ksiądz biskup powiedział: „Nic nie zrobimy teraz, już zatwierdzili”. Ksiądz jubilat oznajmił: „Ks. Antoni chory, u nas w Bobach nabożeństwo wcześniej odprawiamy”, ksiądz biskup odrzekł: „Toteż my tu wybraliśmy małą parafię” – około 2000 dusz. Ksiądz biskup rzekł: „Trudno, księży nie mamy”. Wola księdza biskupa stała się faktem spełnionym. W konsystorzu przeczytałem konstytucję i podpisałem. Ksiądz biskup w asystencji ks. jubilata Metelskiego i ks. kanonika Krokowskiego instituował mnie proboszczem, dopełniając pewnych ceremonii i zrobił mi uwagę, ażebym był bardzo ostrożny, abym innowacji nie wprowadzał, a nawet i śpiewów, chyba że „naczalstwo” nie będzie się sprzeciwiać i zwyczajem, jakie tam były, zachować. Pobłogosławił mnie, podziękowałem i pożegnałem. Wróciłem z księdzem jubilatem do Bobów. A ponieważ życzeniem było księdza biskupa, ażeby bezzwłocznie wyjechać na parafię, przeto załatwiwszy niektóre sprawy wybrałem się spiesznie w podróż i na parafię. Odjeżdżając z Bobów do Wisznic, pozostawiłem żal głęboki po sobie. Nowe posłannictwo swoje przyjąłem z mocą ducha, choć rozstanie się ze stroną rodzinną uczulem dotkliwie. Wszystko mnie tu przywiązywało: ksiądz jubilat, księża sąsiedzi,

obywatelstwo w przeważnej liczbie stosunkami sercu bliskie, mogiła najukochańszych moich rodziców niedawno usypana, braterstwo, chóry śpiewaków, spokój, powietrze nadwiślańskie. Niosąc pomoc miejscowemu proboszczowi w posługach religijnych lub go wyręczając, byłem ogniskiem i duszą wszystkich spraw religijnych.

W ostatnich dniach pobytu w Bobach unikałem nader starannie wszelkich owacji, których nie byłem nigdy zwolennikiem. Przyjąłem tylko od życzliwych prywatne przyjęcie pożegnalne, przy którym w serdecznej rozmowie powiedziałem, że w Wisznicach długo nie będę, bo z takim usposobieniem ksiądz tam nie będzie dobrze widziany od popów. Popi nie lubią, jak kto jest usposobienia cichego, łagodnego, przywiązującego ludzi do siebie, to tym bardziej mnie popi nie będą lubić. W niedzielę 9 września wygłosiłem ostatnie kazanie w kościele bobowskim, nie wspominając nic o wyjeździe z Bobów. Pożegnania uroczystego nie robiłem, aby uniknąć wzruszeń, do których dawali powód życzliwie przywiązani parafianie. Na parę godzin przed wyjazdem z parafii bobowskiej zebrało się z kilku małych kolonii sporo parafian, zadowolić się jednak musieli pożegnaniem prywatnym przed domem, na drodze i na cmentarzu. A kiedy siadałem na bryczkę odjeżdżając, co się tam działo trudno opisać. Rzucili się parafianie do ucałowania rąk, zawodząc od placu, nieutuleni w smutku. Odjechałem do Nałęczowa, gdzie zabawiłem parę dni, stąd na kolej przez Lublin, Chełm do Włodawy. Tu przenocowałem u kolegi ks. Pogonowskiego, dziekana, nagadaliśmy się, na drugi dzień odprawili mszę i wyjechaliśmy z ks. P. do Wisznic odległych od Włodawy o 5 mil. Księdza Fr., mego poprzednika, jeszcze zastaliśmy w parafii. Po przywitaniu się z nim poszliśmy do kościoła. Księdzu dziekanowi bardzo się podobał kościół, podziwiając powiedział: „Takiego kościoła drewnianego jeszcze nie widziałem, wygląda jakby murowany”. Nazajutrz ksiądz dziekan wyjechał, a na piąty dzień i ks. Fr. opuścił parafię wisznicką, którą zarządzał lat 8. W kilka dni znów przyjechał ksiądz dziekan z wydelegowanym urzędnikiem z powiatu do protokołu zdawczo-odbiorczego. Ksiądz dziekan i urzędnik krótko bawili. Parafia wisznicka, której zostałem administratorem, była niestety zaniedbana. Poprzednik, lubo dobry kapłan, wszakże z powodu różnych okoliczności nie czynił zadość wszystkim obowiązkom. Przez kilka więc lat zamiast podnosić się, wszystko upadało. Kościółek w dobrym stanie wprawdzie, lecz nieutrzymany w porządku. Dzwonnica mieszcząca trzy dzwony opustoszała, dziurawa, bez drzwi. Cmentarz kościelny i grzebalny zapuszczony, niemający nawet przyzwoitego ogrodzenia. Plebania murowana, odrapana, brudna, wilgotna, dach dziurawy. Brama do plebanii i na dziedziniec połamana, furtka też. Ogród owocowy zapuszczony, dziko rosnący. Płoty połamane. Zabudowania ekonomiczne chylące się do upadku. Słowem wszędzie obraz spustoszenia. Stan ten nie zatrwożył mnie, dodał mi bodźca do gorliwszej pracy nad przekształceniem moralnym i materialnym swej parafii. Całe młodsze pokolenie szło za moją wolą, a również starsi chętnie poddawali się przewodnictwu memu. Kościół zapełniał się ludem w niedziele i święta.

Nieprzyjemności

Zawsze miałem żywo w pamięci słowa J. ks. B.: „Bądź ostrożny, innowacji nie wprowadzaj, zwyczaje jakie mieli zachowaj i nie okazuj się zbyt gorliwym, aby nie ogłosili: »to święty«, już byłoby dosyć”.

Zastosowałem się we wszystkim do woli Jego Ekscelencji. Staralem się tylko sumiennie spełnić ułożone przez Opatrzność obowiązki. Znaleźli się jednakże tacy, mianowicie popi i ich sprzymierzeńcy, że to im się nie podobało. Więc dalejze się na mnie żalić i skargi wnosić, a stąd wynikały różne nieprzyjemności.

Zaraz po pierwszym kazaniu, serdecznie wygłoszonym, któremu wtórowały łkania i płacz ludu licznie zebranego w kościele, dały się słyszeć zdania: „Ten ksiądz w Wisznicach długo nie będzie, Moskale księdza zjedzą”.

Policja mocno była zaniepokojona, że lud się rozrzewnia w czasie moich nauk i mówiła: „Jak tylko ksiądz wzniesie ręce do góry, to już ludzie padają na ziemię i lzy obfite wylewają, przy tym głośno i donośnie mówi kazania, aż na drogach słyhać, a galówki i msze to po cichu śpiewa”. Albo: „Co ten ksiądz robi, oj, oj, będzie on mieć”. Co słysząc, jeden obywatel pan Z. powiedział: „Kiedy ksiądz mówi kazania, to jest obrócony na ambonie do ludzi, więc co mówi wszystko dobrze słyhać, a przeciwnie, kiedy śpiewa sumę i galówkę zwrócony do ołtarza przeto mniej księdza słyhać”. Zaś ksiądz dziekan dodał: „Ksiądz obowiązany głośno mówić kazania, aby lud słyszał i rozumiał, więc zachodzi potrzeba. Summy nie ma potrzeby głośno śpiewać, tylko się modlić, a nawet mógłby po cichu sumę odprawić, skoro ksiądz chory”. Pewien parafianin oznajmił mi w zaufaniu, że J., starszy strażnik, co poczta wysyła o mnie... Pomocnik naczelnika powiatu włodawskiego p. ... miał się wyrazić, jak mi mówiono: „Tamtego księdza zagryzłem, ale tego, tj. mnie, zmiążdżę.” Nie zdążył, bo go wkrótce przenieśli z Włodawy.

W dzień Wszystkich Świętych w czasie kazania lud wyjątkowo serdecznie płakał. Po niesporach według przyjętego tam zwyczaju poszedłem z procesją na cmentarz grzebalny, 3 odprawiłem stacje na mogiłach za dusze zmarłych. Co następne, po wstąpieniu na tron Najjaśniejszego Pana Mikołaja II otrzymałem rozporządzenie z powiatu, aby natychmiast odbierać przysięgę od katolików na wierność tronowi. Czytałem rotę przysięgi w polskim języku, według instrukcji z 1884 r., i telegramy [sic!] otrzymanej od księdza biskupa, później zaś, kiedy nadeszła instrukcja inna, czytałem rotę przysięgi w rosyjskim i polskim języku, a manifest tylko po rosyjsku przeczytałem za przykładem innych diecezji. Łask monarszych wcale nie czytałem, bo przysłali tylko w rosyjskim języku, a znów nastąpiło rozporządzenie biskupie, żeby tylko po polsku czytać manifesty, aby lud rozumiał wolę Pana Najjaśniejszego.

Z powodu różnych raportów składanych o mnie w zarządzie powiatowym, przyjechał najpierw do Wisznic naczelnik straży Z. N. Zacharow. Przez wójta poprosił mnie do kancelarii gminnej w nocy o godz. 1-ej. Bardzo uprzejmie, grzecznie i serdecznie zażądał objaśnienia, mianowicie: 1) na jakiej zasadzie chodziłem z procesją

w dzień Wszystkich Świętych na cmentarz, kiedy to surowo pan gubernator zabronił i policja księdza ostrzegła, że nie wolno robić procesji, 2) dlaczego w języku polskim odbierałem przysięgę? Objaśniłem ustnie i pisemnie: Chodziłem z procesją na cmentarz, bo taki zastałem zwyczaj, że i dawniej chodzili, a nikt mnie nie ostrzegł, że to nie wolno, zaś przysięgę odbierałem w języku polskim na zasadzie instrukcji z 1884 r. Przy [okazji] ten pan Zacharow radził mi, ażebym przedsięwziął jakieś środki niedopuszczające unitów do kościoła, np. postawił przy drzwiach „bratczyków” kościelnych, ażeby nie wpuszczali unitów do kościoła, wreszcie czynił nowe wymówki, że nie żyję z popami miejscowymi...

Powiedziałem: „Nikomusie nie życzę, wiara nasza wszystkich nakazuje kochać... nie z chęcią tutaj przybyłem i nie mam pretensji długo w Wisznicach pozostawać, bratczyków przy drzwiach nie mogę postawić, bo jeden jest potrzebny przy ołtarzu a drugi na chórze, zaś pana naczelnika proszę, ażeby się postarał o to, abym tu nie był”... Po takim *dictum* J. Z. pokornie dodał: „To do mnie nie należy”. Przeprosił mnie, wyrażając się, że powinien był to zrobić ze swego obowiązku.

Nazajutrz był obecny w kościele przy odbieraniu przysięgi. Na cmentarzu w sekrecie zwrócił mi delikatnie uwagę, że za prędko czytam rotę przysięgi, że słowo za słowem trzeba wolno, a lud powinien głośno mówić, nie po cichu, powinien stół stać w kościele. Ja znów objaśniłem, że niekoniecznie stół potrzebny, skoro jest stół Chrystusa – ołtarz, krzyż, ewangelia, świece zapalone, lud powtarza słowa przysięgi za mną, aby miał tylko wolę wypełnić to, co słyszy i mówi, bo na cóż się przydadzą słowa głośne i krzykliwe, jeżeli serce będzie dalekie od spełnienia tego, co usta mówią?

Więc dostatecznie jest w sercu się zobowiązać wykonania tego, co przysięga zawiera. Panu Z. zdawało się, że za wiele uciska unitów, tymczasem otrzymał naganę z góry, że za mało. A ponieważ był uczuć szlachetnych i nie chciał ciemnić biednych unitów, przeniósł się z Włodawy do Węgrowa w strony łańskie.

Z rozporządzenia pana gubernatora, zacytowano mi urzędownie na piśmie doręczonym przez umyślnego gońca konnego, a wysłanego z powiatu włodawskiego od naczelnika tegoż powiatu, ażebym bezwarunkowo przybył do biura wzmiankowanego naczelnika powiatu w tej samej sprawie, w której śledztwo prowadził pan Zacharow.

Natychmiast pojechałem do Włodawy na noc a nazajutrz stanąłem w biurze. Książę Oboliński, naczelnik powiatu, rozgniewany, podniesionym głosem począł badanie: Nazwisko i skąd? Dlaczego tak długo nie przyjeżdżam? Co tam robię w Wisznicach? Za takie rzeczy nie miałem być 24 godz. Prosił siadać.

Kiedy chodziłem z procesją? Na jakiej zasadzie?

Nie wolno urządzać procesji, a księdzu nie dopuszcza się nie-wiadomości. Trzeba było do mnie przyjechać, a byłem was we wszystkim objaśnił, poinformował, teraz macie!

Ile lat służby? Na jakiej zasadzie przysięgę odbierałem w języku polskim? Później w jakim? Manifesty w jakim języku czytałeś? Pokazałem telegramy. Kto podpisany?

J. Jaczewski będzie wywieziony. Na wszystko odpowiedziałem najpierw ustnie, a później podano mi na papierze trzy zarzuty, objaśniłem zaraz w biurze pisemnie dla pana gubernatora.

Przeczytał książę objaśnienie, pyta się, czy nie mam jeszcze co do powiedzenia. Oznajmiłem: „Nie”. Książę zawołał: „Płoch budiet, płoch budiet!, kakije tam słowa brosjetie iz ambona?” Zeznałem: „Nic przeciwnego nie mówię, staram się, abyście mieli dobrych poddanych, sprawiedliwych, trzeźwych, moralnych, [żeby] oddawali, co jest cesarskiego cesarzowi, a co jest boskiego Bogu”. Patrzył mi książę w oczy, nic na to nie powiedział. Robił mi wymówkę, że nie wstrzymałem się z odbieraniem przysięgi. Odrzekłem: „Wszak książę polecił, żeby zaraz odbierać, a pisarz zegnał lud do kościoła, do przysięgi”. „Co tam ja – odpowiedział książę – ja tylko naczelnik!” Prosiłem księcia, aby względnie przedstawił papiery panu gubernatorowi, wstawił się za mną. Książę dodał: „Ja naczelnik, gdyby kto inny”. Myślał książę, że sobie kpię z niego, i że się zląkłem jak dziecko – wynurzył się: „Cóż było robić? Trzeba było przebaczyć”.



Cerkiew na Podlasiu (rysunek Tadeusza Surdackiego)

Powróciwszy z Włodawy, życzliwi napisali dodatkowo objaśnienie uniewinniające mnie, wmieszali do tej sprawy gminnego pisarza, że on przetłumaczył przysięgę na język polski, zgromadził ludzi z całej gminy do kościoła i żądał, abym odebrał przysięgę, więc byłem zmuszony według instrukcji z 1884 r. odebrać przysięgę w języku polskim, nie czekając innego rozporządzenia, było w tym dodatku obszerniej nieco nadmienione. Koniecznie byłem proszony o podpis i przesłano do pana gubernatora siedleckiego.

Pisarz gminny Chomik wiele mi ułatwił, bo nie tylko, że mi rotę przysięgi przetłumaczył, ale nadto z archiwum przysłali mi dawną rotę przysięgi drukowaną w języku polskim. Inaczej chciałem sam tłumaczyć...

Z odbieraniem przysięgi zeszło mi cały miesiąc, ponieważ [w] parafii wisznickiej jest kilka gmin, a przeto wielu we właściwym czasie nie przysięgało z powodu nieobecności niektórych osób w gminach.

Unitów pędzili do cerkwi, ale unicy nie chcieli w cerkwiach przysięgać, tylko życzyli sobie w kościele, a nawet

uciekali do kościoła i niektórzy mieszały się z katolikami, chcąc razem przysięgać, policja jednak nie pozwalała unitom być obecnymi w czasie czytania przysięgi przez księdza, wprost wyprowadzała unitów z kościoła, mnie nie pozwalali czytać przysięgi.

Jednego dnia mnóstwo unitów zgromadzili na rynku przed cerkwią, zmuszając ich do cerkwi do przysięgi. Oparli się unicy, więc przynajmniej chcieli odbierać przysięgę od nich na cmentarzu cerkiewnym, nie przystali unicy, powiedzieli: „W kościele albo przynajmniej na rynku przysięgać będziemy”. Nie zgodzono się na to, podobno stolarz M. nie chciał, zabrał się i poszedł...

Wójt gminy Rossosz zebrał unitów i oznajmił im, że już nie w cerkwi, ale w kancelarii gminnej będzie przysięgę odbierać. Poszli unicy do kancelarii, a skoro się dowiedzieli, że pop przyjdzie, zaczęli wychodzić. Zamknięto drzwi, stał się popłoch, uciekali kądędy kto mógł, nawet oknem, mówiąc przed wójtem: „Będziemy przysięgać ale nie przed popem”. Wójt prowadził ich do powiatu w Białej, spotkał ich naczelnik dążący do Rossosza, pyta się: „A co, przysięgali?” Otrzymał odpowiedź: „Nie chcą przysięgać w cerkwi”. Krzyknął naczelnik: „Niech gdzie chcą przysięgają, aby tylko przysięgali”. Wójt wrócił z unitami w nocy, poprowadził ich do przysięgi do kościoła...

Tyle o przysiędze, a teraz zastanówmy się nad przykrymi stosunkami z duchowieństwem cerkiewnym. Przytoczę kilka faktów, które dadzą poznać, jaka ich była niechęć, zazdrość względem mnie.

Polubicze, [...] umarłego do kościoła. Zwyczajem powszechnie przyjętym szedłem pieszo i po każdej zwrotce ps. *Miserere* śpiewali wierni licznie zebrani: *Wieczny odpoczynek*. Pop tamtejszy spisał protokół i zaniósł skargę, że ksiądz pomimo błota szedł pieszo przez całą wieś a unicy wylegli z całej wsi i śpiewali po polsku. Skarga jego została bez skutku. Mazanowski z Wisznic, bardzo obrażony z całą swoją rodziną za to, że ich prędko nie nawiedziłem i nie pozdrowiałem w święta i inne dni, naspisywał różnych wieści i przesłał takowe tam, gdzie będzie najodpowiedniej, wskutek czego i innych skarg wniesionych do powiatu włodawskiego przyjechał na śledztwo p. Czygajew naczelnik s. z.

P. Czygajew, który dawniej na samo wspomnienie o księdzu cały trząsł się, a od pewnego czasu zmienił swoje przekonanie, kiedy wszedł na probostwo do mego pokoju, zostawiwszy swoich strażników w przedpokoju, nie przywitawszy się, spojrzał na mnie z uśmiechem i zawołał podniesionym głosem: „B...”, zdziwił się i powiedział: „Wam tylko spokojnie siedzieć jak Sajdziński, o tu co to na was, patrzcie”. Kładzie plik papierów na stole i rozwija. Nastąpiło badanie: „Co mówiliście na kazaniu w D...?” Oznajmiłem: „Nic przeciwnego nie mówiłem, mogę pokazać kazanie, bo z karty głosiłem”. „Ot, wy dodali” – przerwał naczelnik... Zdawało mu się, że jestem wielkim patriotą i kaznodzieją, myślę o odbudowaniu Polski i lud do tego przysposobiam, że miną prześladowania...

Kiedy przejrzał kazanie i przekonałem policję, że wyraz „prześladowania” ma takie a takie zastosowanie

w danym wypadku, zanotował w protokole na moją stronę przychylnie, zaś strażnikom wytłumaczył, że trzeba tak to pojmować, jak ksiądz objaśnił. Na zarzut, że ludzie płaczą w czasie kazań odpowiedziałem: „Na występki powinienem się oburzać i dawać poznać ludziom złość grzechu, pobudzać do pokuty... trzeba mówić z przejęciem kazania, bo taka jest metoda, od tej nie odstępę i nadal będę serdecznie mówić!”.

Wysłuchała policja uwagi z zajęciem i nic nie powiedziała. Następnie zarzucono mi, że chorągiew i krzyż przyjąłem ze składek unitów. Objąłem: chorągwi za mojej bytności nie sprawiono, krzyż zaś kupił bratczyk i ofiarował do kościoła. Koszty poniosła w połowie kasa kościelna, a on resztę dołożył. Zawołali bratczyka i pytają: chorągiew za ks. obecnego przyjęta? „Nie” – odrzekł bratczyk. A krzyż za czyje pieniądze kupiony? Ile za niego dano i ile rubli dał wam ksiądz i skąd resztę wzięliście? „Dałem za krzyż – oznajmił bratczyk – 25 rubli, ksiądz proboszcz dał mi 12 rubli, a resztę swoich dołożyłem”.

Spisał protokół p. Cz. według naszych relacji i podpisałiśmy, a chociaż w skardze Mazanowskiego było daleko więcej zarzutów dotyczących się mnie, powiedział Cz. do strażnika kiedy ja wyszedłem do drugiego pokoju: „Nabętał banialuków sam nie wie jakich, a to, to, że unicy się zbierają, różańce polskie śpiewają... Czyż to gubernator nie wie? Wie od trzech lat, że oni po polsku śpiewają”. Rozgniewany był pan Cz. na popa M. Ode mnie nie żądał więcej wyjaśnień obecnie, tylko radził mi i zachęcał, aby jakoś godzić się z popami i żyć z nimi. Oznajmiłem mu, że jestem dla nich grzeczny i źle nie życzę... Domagał się w końcu pan Cz. żebym publicznie przemawiał do unitów, aby tak do kościoła nie chodzili, bo może cesarz kazać zamknąć kościół. Powiedziałem, że tego nie zrobię. A cóżby to parafianie powiedzieli, gdybym ludzi odwoził od kościoła? Jak wyglądałoby to?

Dałem mu poznać, że wolę ją opuścić parafię aniżeli coś podobnego wyprawiać. Prosiłem, żeby się przyczynił do tego, pomyślał i po chwili dodał: „I tak nie dobrze i tak nie dobrze, można by wam zaszkodzić”. Wyciągnąłem go na słówko, co myślał... Wreszcie zwierzył się pan Cz., że „świaszczenniki” mają jeszcze to do zarzucenia nawet, że ksiądz – to święty, chodzi tylko z książką pod pachą z domu do kościoła, z kościoła do domu i po ogrodzie. I oni spokojnie siedzieliby, żalów i narzekań nie rozwodzili i każdy oddałby im uznanie, ludzie poznaliby się na tym. Wszak cesarz w chorobie swojej nie wezwał jakiegoś tam metropolity tylko O. Jouna. Ciągłe skargi wnoszą do konsystorza, zwraca się do naczelnika, że nie pomagamy, policja nic nie robi, a kiedy wrócił do Włodawy powiedział: „Ksiądz w Wisznicach nic nie winien, że unicy chodzą do kościoła”.

Głosiłem przedślubne zapowiedzi pewnej młodej pary, młodzian miał pewne dowody, że był katolikiem, panna zaś chrzczona w kościele była zapisana w aktach jako katoliczka, miała książeczki rodziców, że są zapisani w księgach ludności katolickiej. Za takimi dowodami uważałem, że można dać im ślub. Przysyłają mi jednak z gminy papier zastrzegający, żeby przekreślić zapowiedzi, bo panna jest prawosławna. Książeczki świadczące, że są katolikami – mylnie wydane, a więc zatrzymać,

ponieważ niektórzy z członków tej rodziny byli unitami. To też sprawka Mazanowskiego, o którą miał później pretensję do mnie, robił mi wymówki, że chciałem dać ślub N. bez metryk rodziców. Wytłumaczyłem się jednak.

Młodzi wszystko jedno nie brali ślubu i błogosławieństwa w cerkwi, tylko gdzieś poza moją parafią, po krakowsku, jak słyszałem.

W zaufaniu od paru osób dowiedziałem się, że z powiatu przysłana była odezwa do kancelarii gminnej w Wisznicach, ażeby zaprzestano mnie oskarżać, tylko aby uważano, czy nie mieszam się do prawosławia. Widocznie było już za wiele błahych skarg.

Mój poprzednik w Wielki Piątek i Sobotę, poświęcając chleby po parafii, brał z sobą na bryczkę strażnika, ja zaś udając się w objazd parafii, kiedy błogosławiłem chleby, nie brałem ze sobą policjanta i nie meldowałem policji o takiej wizycie pasterskiej. Chociaż policja miała żal do mnie, że parafianie dają konie dla księdza tylko, a strażnicy, jeżeli chcą jeździć za mną i widzieć co robię, komu święcę chleby, to niech jadą stójkowymi końmi, albo idą i śledztwo robią...

Wiedziałem dobrze z doświadczenia, o ile podnosi nabożeństwo kościelne śpiew harmonijny, melodyjny, postanowiłem zaprowadzić taki. Nim jednak to nastąpiło, ażeby nie narazić się na nieprzyjemności, musiałem przy sposobności meldować o moich zamiarach panu Czygajewowi. Pan Czygajew oznajmił, że z jego strony nie zachodzi żadna przeszkoda, na śpiew zapatruje się jako na rzecz kościelną, aby tylko nie uczestniczyli unicy na lekcjach i [żeby]m] dzieci nie uczył czytać. Zapowiedziałem lekcje śpiewów z ambony i młodzież chętnie przychodziła we wtorki, czwartki i soboty na próby przygotowawcze. Udało mi się w krótkim czasie nauczyć chór trzy msze i kilka pieśni, które wykonywali śpiewacy na chórze w niedziele i święta z wielkim zadowoleniem modlących.

Mazanowski powiedział, że śpiew nie potrzebny u nas, katolików, bo mamy organy w kościele. Razu jednego Cz. zażartował: „Ile ochrzcziliście dzieci unickich i ślubów daliście im?”. Odpowiedziałem: „Oni nie wymagają tego ode mnie, umieją sobie radzić”. „W waszym imieniu – dodał Czygajew – potajemnie kto inny robi?”.

Istotnie był parafianin, który umawiał się z przewodnikiem unitów, udając mnie, i w nocy po kątach, na przykład w dzwonnicy, w ogrodzie na plebanii dawał śluby unitom i przyrzekał im wydać metryki; przewodnik doprowadzał im pary i był świadkiem przy ślubie. Unicy płacili im za to około 20 rubli do 25 rubli. Policja dobrze o tym wiedziała.

Złość ludzka wymyśliła intrygę, ofiarą której stała się Marianna, kucharka na plebanii. Padło na nią podejrzenie, iż sprzedawała książeczki legitymacyjne po zmarłych katolikach unitom, aby ci mogli swobodniej chodzić do spowiedzi w kościele. Policja miejscowa, mianowicie strażnicy, zrewidowali jej rzeczy, nie jednak podejrzanego nie okazało się między jej rzeczami, protokołu o tym na miejscu nie spisała policja.

Jakobiński, starszy strażnik, był silnie przekonany, że ona książeczki gdzieś przechowała, że takie sprzedawała na pewno, a z tego powodu, jako podejrzana, nie można

nadal pozostawać w takim miejscu, gdzie się znajdują różne dowody, przy tym jest unitką, do bractwa przyjmuje, pieniądze zbiera z drugą unitką a księdzu nie oddają, do kościoła chodzi, a w cerkwi u spowiedzi i komunii nie bywa. Zostawił jej czas do namysłu, aby odeszła z plebanii, w przeciwnym razie zagroził jej aresztowaniem. Ona zaś powiedziała, że nie odejdzie, bo tym samym utwierdziłaby wszystkich w przekonaniu, że książeczki sprzedawała, a to jest nieprawda. Toteż po pewnym czasie, kiedy się dowiedział Jakobiński, że jest M. na probostwie, przyszedł ze swoją policją, kandydatem W. i sołtysiem, aresztowali ją pomimo prośby i gotowości odejścia z plebanii, rzeczy zaś jej wynieśli do kościelnego, żeby czasami nie przyszła po co z rzeczy i znowu nie porwała książeczki z plebanii. Zbyt ostrożność, właściwie chęć dokuczenia, zawiść, zemsta!...

Trzy dni trzymali ją w areszcie wisznickim nim przygotowali papiery, a następnie odesłali ją do Włodawy, gdzie znów siedziała kilka dni do czasu spisania protokołu, po którym ją uwolnili, ponieważ nie było jasných dowodów potępiających biedaczkę. W skardze nie było zanotowane: Kiedy książeczki zabrane? Za jakiego księdza? Jaka Marianna? Jak nazywają się te kobiety unitki? Którym książeczki były sprzedane?

Czygajew oznajmił kucharce, że na plebanii nie może być, chyba że będzie chodzić do cerkwi do komunii. Na życzenie Czygajewa, wezwał mnie i organistę ksiądz dziekan do powiatu dla wyjaśnienia powyższej sprawy. Pytano mnie czy nie podejrzewam kucharki lub organisty o zabranie książeczek i sprzedawanie takich. Objaśniłem, że nie podejrzewam i wszystkie książeczki mam w porządku, szafa jest pod kluczem.

Ochrzcilem dziecię i pochowałem takowe w parę dni, na zasadzie metryki i książeczek świadczących, że matka dziecka i babka są katoliczkami. Podobało się strażnikowi z Łomaz donieść naczelnikowi, strażnikowi Z. w Białej, że ochrzcilem i pochowałem dziecię matki prawosławnej, jedynie na książeczki zważając. Naczelnik z Białej odniósł się do Włodawy. Czygajew pisze do mnie, dlaczego nie domagałem się metryk tylko polegałem na książeczkach, zaś wójt gminny tłumaczy się, że nie pamięta, aby pisał w książeczce wyznanie katolickie. Objaśniłem pisemnie i przesłałem metryki matki i babki gdzie wypadalo.

Niedługo znów wymagają dowodu, tj. książeczek. Odpisałem: świadek zezna pod przysięgą, że widział w książeczce wydanej p. W. pod N. za N. było wyrażone NN. nr kat..., zaś książeczki właścicielek... Więcej nie pytano.

Był zwyczaj, że kiedy prowadzono zwłoki z cerkwi na cmentarz, w kościele dzwoniono. Nadużycie to nieznacznie zniosłem. Chociaż nie obeszło się bez nieprzyjemności. Tak na przykład umarł bratczyk cerkiewny, były unita, przyjął prawosławie, drugi bratczyk przyszedł do mnie z prośbą i z oznajmieniem, że Mazanowski zezwała, aby w kościele dzwoniono, kiedy będą prowadzić ciało na cmentarz, przechodząc obok kościoła, więc prosił mnie ażeby tylko ja na to zgodziłem się i pozwoliłem dzwonić. Otrzymałem odmowną odpowiedź, pomimo że trzy razy przychodził prosić, powiedziałem: „Naczelnik nie kazał się do prawosławia mieszać”. Krewni zmarłego narobili

wrzawy, plotek. Mazanowski wniósł skargę do powiatu, że okropnie jestem nieprzychylny dla prawosławia. Naczelnik powiatu przysłał sekretny papier do kancelarii gminnej, że wskutek doniesienia Mazanowskiego na księdza, tj. na mnie „krajnie wrednej diejatielnosti ks. wisznickiego w diele prawosławia”, aby mnie na każdym kroku pilnowano i zwracano pilną uwagę na moje zachowanie się, słowem, co ja robię.

Długo mi pamiętali cerkiewni, że ja nie pozwoliłem dzwonić. Pan Czygajew przyjechał poświadczyć księgi w gminie, znów przed nim nowe skargi na mnie, mianowicie: że spowiadałem z Włodawy N., unitę, że przyjął do kościoła kościelny świece od unity z Rozwadówki, kościelny wziął podarek od unity za protekcję za nim, abym go spowiadał – tak twierdzili strażnicy, odprawiałem nabożeństwo unity z Polubicz, N., spowiedzi słuchałem N. z powiatu Rowin, szlachta narzekała, że jeszcze kościół nam zamkną przez księdza, więc będą prosić księdza biskupa, aby mnie zabrał z Wisznic; sługa u księdza bardzo sekretna, nigdy nic nie powie.

Cztery ostatnie punkty przytoczył Rowczak, były zdegradowany strażnik, za to, że trzymał w sekrecie szajkę złodziei, teraz za parę złotych gotów fałszywie przysięgać, pijak i kazirodca, kombinator... Wytłumaczyłem: osób NN. nie słuchałem spowiedzi, nabożeństwa F. nie było, kościelny powiedział, że przyjął podarek za robotę domową, drugi kościelny oznajmił, że miał pozwolenie od popa aby ofiarować świece w kościele, wszystko inne fałsz więc moja prawda.

Pan Czygajew przeprosił mnie za niepokój, a gniewał się na plotkarzy, starszego strażnika strofował, że nie zdał szybko raportu o mnie, drugiego strażnika za to strofował, że mnie źle pilnuje; powinien świadka namówić a nawet pieniądze mu dać, które jednak będą mu zwrócone i to niedługo. Później dowiedziałem się, że Jakobiński, starszy strażnik, namawiał strażnika i strażniczkę, aby świadczyli w kancelarii przed naczelnikiem przeciwko mnie, że widzieli, jak słuchałem spowiedzi unity.

Nie chcieli, bo obawiali się przysięgi. Strażniczka powiedziała: „Widziałam unitę N. na środku kościoła, kiedy ksiądz spowiedzi słuchał, ale nie widziałam, żeby się spowiadał lub komunię przyjmował, więc nie mogę mówić tego, czego nie widziałam”.

Prosiłem pana Czygajewa, aby przeprowadził śledztwo, ale nic nie okazało się. Niektórzy radzili mi, abym zaskarżył plotkarzy, darowałem... „znikczemnieli w myślach moich”, „mnie pomsta”...

Pan Czygajew powiedział w powiecie: „Tam w Wisznicach jest ktoś taki, co wicherzy i dokąd ta osoba będzie w Wisznicach nigdy spokoju nie będzie mieć”. Wzywał do Włodawy unitę, który ofiarował świece, popa pozwalającego dać świece i unitę, czy jego nabożeństwo – oznajmił, że nie jego.

W czasie uroczystości koronacyjnych Najjaśniejszych Państwa w maju, bardzo dziwne były wymagania Chomika, pisarza gminnego i popleczników jego. Chcieli, ażeby katolicy wspólnie z prawosławnymi estradę stawiali i upiększali, uczestniczyli w ich nabożeństwie a oni w naszym, przy tej estradzie zbudowanej na rynku; dali im lamp z kościoła dla oświetlenia około cerkwi, sta-

wiali flagi przy kościele, bramce i na starej dzwonnicy, bili w dzwony po całych dniach i [żeby] głosił mowę. Odpowiedziałem: „Zastosuję się do przepisów Kościoła i rozporządzeń biskupa, bo Kościół nie podlega przepisom stosującym się do cerkwi”. Co słysząc, Mazanowski rzekł do pisarza: „Nie wtrącajmy się do nich, ksiądz ma swoje przepisy, otrzyma rozporządzenie od swojej władzy, ja zaś od swojej władzy nie spodziewam się rozporządzenia, przeto muszę się zastosować do przepisów administracyjnych”.

Ażeby pogodzić wszystko i [żeby] zapanowała harmonia, już w wigilię Zielonych Świątek świątynia nasza ubrana w rozmaite wianki, drzewka, kwiaty, przedstawiała się wspaniale, około kościoła ładnie było piaskiem wysypane. W sam dzień koronacji brama prowadząca do kościoła i bramka od plebanii we wianki i drzewka gustownie przystrojone a okno plebanii pięknie umajone było, wieczorami zaś przez trzy dni setki lamp gorzało na facjacie kościoła, w piasku na ziemi przy kościele, na bramach, bramkach cmentarza i plebanii, gankach, ogrodzeniu, sztachetach. Z lamp i festonów było urządzone kilka monogramów, jak to na kościele między filarami, bramie, bramce i w ganku na plebanii.

Uroczu, efektownie i majestatycznie wszystko wyglądało tak, że nie można było prawie oka oderwać od tego wspaniałego widoku.

Administracji, policji, sądownictwu, słowem wszystkim, a szczególnie Żydom bardzo się podobało, wywołało nawet entuzjazm, podziw nie do opisania, różne zdania dały się słyszeć: „Jeszcze nigdy nie było tak ładnie w Wisznicach”, „Teraz tylko trzeba żeby przyjechała jakaś znakomitsza osobistość i widziała to wszystko, a oceniłaby i oddała uznanie księdzu”, „Wszystko dobrze”. Okazywano mi wdzięczność. Policja powiedziała: „Teraz ksiądz to już pozostanie w Wisznicach, dokąd sam będzie chcieć”. Mazanowski upokorzony, bo go wszystko drażniło, gniewało...

Jednodniowy spis ludności dokonany w lutym 1897 roku

Osiemnastego stycznia, na probostwie, pan Titarenko, pomocnik naczelnika powiatu włodawskiego, powiedział do mnie: „Ksiądz ma wielki wpływ, o tym wiem, nie ma co mówić”. Wziął mnie do ostatniego pokoju, obejrzał się na wszystkie strony i rzekł: „Pomożecie nam w spisie, jak pójdzie dobrze, przedstawię was u gubernatora i otrzymacie medal, a przeciwnie, jeżeli się źle skończy spis, tak wam zrobię, że w przyszłości już niczym sobie nie poprawicie! Jedźcie z nami do Polubicz i będziecie rachmistrzem na Polubicze, bo ja już słyszałem, jakie tam będą trudności”.

Nie zgodziłem się. Oznajmiłem, że nie mam czasu, obowiązany jestem być przy kościele, bo mogą przyjechać do chrztu lub do chorego mnie wezwać. „Chociażby – zawołał Titarenko – gromy padały musicie z nami jechać”. Dałem mu do zrozumienia, że unicy nie zapiszą się prawosławnymi. „Dobrze – powiedział Titarenko i zaraz dodał – pójdę do cerkwi a ksiądz niech się namyśli, za godzinę wróć”. Nie wrócił, tylko pojechali sami na wieś.

Dziwne było wymaganie Titarenki, chciał ażeby ksiądz wpływał na unitów, iżby ci zapisywali się, że są wyznania prawosławnego, gdy unicy wyznają wiarę katolicką. Tak postępując, działałbym wbrew instrukcji a nawet przeciw woli monarchy, ponieważ instrukcja potwierdzona została przez Najjaśniejszego Pana. Wszak w instrukcji powiedziano, chociażby ruski wyznawał wiarę inną niż prawosławna, powinien się zapisać według tego wyznania, jakie wyznaje w sumieniu. Toteż unicy dobrze wiedzieli o tym punkcie instrukcji i według niej chcieli się zapisywać i zapisani zostali, bo w sumieniu wyznają wiarę katolicką.

Nim jednak to nastąpiło, że ich, tj. unitów, zapisali do wyznania rzymskokatolickiego, wiele ach! wiele nieprzyjemności z tego powodu mieli wszyscy. Rachmistrz wbrew życzeniom unitów zaczął pisać „wyznanie prawosławne”, skoro jednak unicy się spostrzegli, że ich pisze prawosławnymi, nie pozwolili na to, tak nawet, że nie dopuszczali rachmistrzów do swoich domów, zamykając przed nimi drzwi i mówili: „Jeżeli będziecie nas pisać, jak chcemy to nas zapisujcie, a jak nie będziecie nas pisać według naszego życzenia, to się nie pozwolimy zapisywać”.

Nie mogli unicy znieść tego, aby niesprawiedliwość była pełniona. Wołali: „My nie chcemy okłamywać Najjaśniejszego Pana, zapisując się prawosławnymi, skoro my katolicy, więc takimi, tj. katolikami, powinni nas panowie zapisywać, niech wie monarcha, że my w sumieniu wyznajemy wiarę katolicką. Najjaśniejszy Pan chce prawdę wiedzieć, sumienia się pyta nie ksiąg”. W księgach ludności unicy zapisani są wyznania prawosławnego i komisja chciała ich pisać według ksiąg, nie według instrukcji, wymawiając się przyparta: „Nie możemy ich zapisywać katolikami, jak chcą unicy, bo nie mają dowodów, że są katolikami”. Unicy znów tłumaczyli: „W instrukcji nie ma wzmianki o dowodach, sumienie jest dowodem, monarcha nie wymaga metryk”. „Kozaków na was” – powiedział naczelnik. Unicy zawołali: „Na Kozaków są kosy”.

Blankiety, w których byli unicy zapisani mimo ich woli prawosławnymi, starali się wykradać i palić takie lub niszczyć. Skutkiem czego unicy wysłali skargi do gubernatora, ministra a nawet do Najjaśniejszego Pana, zarazem prośby z tego powodu posypały się na imię monarchy, że unicy chcą być katolikami. Niektórzy z nich sami jeździli do Petersburga i byli z gorącymi prośbami w kancelarii cesarza, że tak oni z rodziną jak i ich znajomi, rodacy, wioski całe pragną i ze łzami błagają, aby byli przyjęci na łono rzymskokatolickiego Kościoła, a jakież serdeczne modły zanosili przed tron Najwyższego Stwórcy, ażeby byli przyjęci do katolicyzmu publicznie, trudno to opisać, wyrazić niepodobna...!

Z rzewnym płaczem zadawali sobie pytania, czego my się doczekamy...? Nie odstępimy od wiary, pod nóż pójdziemy, krew przelejemy, jużemy tyle wycierpieli przez 25 lat, to i resztę zniesiemy...! Biedni my, biedni...! O Boże! zmiłuj się nad nami...!

Komisja przystała w końcu pisać ich wyznanie... jednak obawiając się, ażeby nie byli oszukani, domagali się blankietów drugich, kopii na ręce.

Wpada do mnie Titarenko, żaląc się na parafian, że nie chcą się zapisywać, tylko wymagają takich rzeczy, na co

nie pozwala instrukcja, zarazem żąda ażebym wpłynął na parafian i zagroził im, że tracą mnie tym sposobem, jeżeli się nie zapiszą. Odpowiedziałem: „Z ambony już zapowiedziałem i jeszcze mogę ich zachęcić, aby się zapisywali, bo taka jest wola Najjaśniejszego Monarchy, na wieś zaś nie pojedę, bo gotowi mi ubliżyć i utracić mnie niżeli nie dopiąć tego, co wymagają; panowie nic nie mogą zrobić z nimi, a cóż ja bezbronny sam jeden na to poradzę, kija na nich nie wezmę. Nie mam pretensji, aby być w Wisznicach, postarajcie się o innego księdza”.

Pan Titarenko złagodniał i już więcej nie wymagał, abym jechał na wieś. Przyjechał sam ksiądz, prezes komisji, też nic nie zrobił, tylko doświadczył wiele nieprzyjemności, a wróciwszy do Włodawy powiedział Titarence, niech sobie robi co chce, a nawet żałował tego, że przyjeżdżał do Wisznic. Zmuszeni byli dać im, tj. unitom, blankiety na ręce na własność z nadmienieniem że wyznają katolicyzm, czyli raczej są wyznania rzymskokatolickiego z pieczęcią i podpisami odpowiednimi.

Starosta z Paszenek, były unita, dziś prawosławny, pijaczyna, puścił plotkę, że ksiądz wisznicki mówił: „Trzymajcie się, trzymajcie się” do niego i jego towarzysza unity, parobka świąszczeniaka cerkwi paszenkowskiej. Strażnicy z Milanowa, powiatu radzyńskiego, posłyszawszy to, zarządzili śledztwo, kilka razy pytali się parobka, czy ksiądz rzeczywiście mówił: „Trzymajcie się”.

Parobek, chociaż pobity został przez strażników, zawsze jedno powtarzał, że ksiądz tego nie mówił, tylko pytał się skąd jesteście i dokąd jedziemy, a kiedy oznajmił, że jesteście z Paszenki, ksiądz powiedział: „To z mojej parafii”. Pomimo tego, strażnicy zapewne raportowali, bo przyjeżdżał na śledztwo sam Czygajew, któremu objaśniłem, że tych słów: „Trzymajcie się” nie mówiłem, zaś świadek mój oznajmił, że przy tym nie był obecny, nic nie słyszał, co mówiłem.

Starosta bardzo żałował, że taką plotkę głosił, bo siał z tego powodu wiele kłopotu, pogardy od wszystkich mieszkańców nie tylko tej wsi, ale i sąsiednich miasteczek, wiosek. Dla parobka chleba...

Obłożnie zachorował ksiądz Tertulian, proboszcz parczewski, sąsiad, którego przy okazji pojechałem nawiedzić, rozumiejąc, że może będzie potrzebować jakiejś pomocy duchowej. Strażnik parczewski dał znać o tym naczelnikowi. Czygajew przez gminę zażądał tłumaczenia, za jakim paszportem i czym pozwoleniem byłem w Parczewie. Objąłem, w jakiej intencji jeździłem, a przy tym na uwadze miałem rozporządzenie o paszportach z r. N. za N., N... do zrozumienia, że w takich wypadkach nie trzeba pozwolenia władzy administracyjnej lub policyjnej. Uwzględnił.

Cygajew najpierw sam był u księdza Tertuliana i pytał się, co tam robiłem, a następnie był też i u mnie osobiście. Wytłumaczyłem mu wszystko dobitnie, w jakim celu jeździłem do sąsiada.

Chomik, pisarz gminny, za wcześniej i niepotrzebnie głosił, że za wyjazd do Parczewa ksiądz zapłaci podatku sto rubli, tymczasem wkrótce wpadł do mnie pan Czygajew i powiedział: „Sprawę o paszporcie zażegnałem”. Przeto kary nie płaciłem, tylko podziękowałem panu Czygajewowi, a kiedy odjeżdżał do Włodawy prosiłem ażeby

poparł moje podanie o pozwolenie poprawienia sztchet, bo wkrótce rocznica koronacji Najjaśniejszych Państwa, przeto mamy zamiar stawiać lampy dla iluminowania wieczorem, a ogrodzenie... zniszczone... Czygajew zażartował: „Chcecie się okazać, a tu wszystko na was...” „Ot plotki – powiedziałem – jak zawsze”.

Zapewne znów policja miejscowa różnych raportów naskładała, bo w czasie spowiedzi wielkanocnej ciągle mnie pilnowali, najpierw jeden, później dwóch, wreszcie trzech. W końcu uprzykrzyło się im, strażnik młodszy powiedział: „Jakobiński myśli, że ksiądz taki głupi jak on, ksiądz przy strażnikach nie słucha spowiedzi unitów, będzie miał czas później”. Jakiś czas zaprzestali latać do kościoła, wyjąwszy kazań, bo na takie zawsze przychodzili, chociaż wiele razy źle mnie zrozumieli i niestworzone rzeczy donosili naczelnikowi. Tak, na przykład, z rozporządzenia biskupa ogłosiłem dyspensę, że można w poście w ciągu jednego roku używać z nabiałem, wynagradzając to zwolnienie od postu miłosiernymi uczynkami, na kościół, ubogich itp. Policja zdała raport naczelnikowi, że sprzedają indulgencję.

Nieprzyjemności wynikłe wskutek spełnienia posług religijnych niektórym osobom w Rossoszu

Poświęciłem dom katolicki. Znaleźli się zaraz tacy, którzy gadali, że w tym domu mieszka unita. Pokropiłem ciało zmarłego żebraka, policja twierdziła, że prawosławny i nagle zmarł. Dowiodłem, że katolik i naturalną śmiercią umarł.

Odprowadziłem kondukt nad mogiłą śp. Marianny N., na której pogrzeb pojechałem, ale urząd gminny Rossosza przysłał mi zastrzeżenie, że Józefa N. [była] prawosławną. Musiałem z organistą wrócić do domu, przerzucić akta i zbadać, czy rzeczywiście śp. M. była katoliczką. Okazało się, że zmarła, o którą nam chodziło, była katoliczką, a jej siostra, także zmarła, była unitką.

Odpisałem wójtowi gminy, że N. obecnie zmarła jest katoliczką, ponieważ znajduje się w aktach katolickiej parafii. Więc na tej zasadzie, chociaż już śp. N. była pogrzebana bez współudziału mego w pogrzebie, pojechałem jednak na jej mogiłę i odprowadziłem kondukt, rytuałem przepisany, aby dowieść wszystkim, że śp. N. była rzeczywiście katolickiego wyznania, inaczej mogliby powiedzieć, że śp. N. była prawosławną.

Byłem u chorej katolicki mieszkającej w nowym domu unickim. Wiadomo, że przed udzieleniem sakramentów świętych i błogosławieństwem apostołskim robi się pokropienie wodą święconą. Niektórzy powiedzieli, że ksiądz poświęcił dom unity. Urząd gminny występował z wymówkami, żaląc się między innymi i przed starszym bratem parafii Rossosza. Co słysząc, powiedziałem: „Dajcie im rytuał, niech przejrzą ceremonie przy chorych a przekonają się, że ksiądz obowiązany jest robić aspersję nawet chociażby był wezwany do chorego katolika mieszkającego w domu popa”. Miałem na myśli świąszczeniaka rossoskiego.

Jakobiński zdał raport osobiście we Włodawie przed naczelnikiem Czygajewem, że unicy rossoscy bardzo

księdza oszukują, udając katolików, a ksiądz słucha spowiedzi...

Kucharka z probostwa pojechała do Rossosza nabyć za kilka złotych u znajomych nabiału. Świaszczennik rossoski zawiadomił protojereja w Białej, że kobieta od księdza z Wisznic wpływ swój wywierała na unitów, szerząc między nimi katolicyzm. Plotka!

Pojechałem na pogrzeb pewnego staruszka, a ponieważ trumna nie była jeszcze przywieziona od stolarza, przeto korzystając z czasu porozmawiałem z dziećmi w duchu religijnym. Jedna z niewiast zgorszyła się tym i mówi: „Co to za ksiądz, zamiast pójść do duchownego popa w sąsiedztwie, porozmawiać, posiedzieć, to woli dzieci katechizmu uczyć itd.” Inne znów, chcąc się przypodobać, a może ta sama swojego czasu poszła do popa z oznajmieniem, że ksiądz słuchał spowiedzi dwóch unitek. Pop źle to przyjął i powiedział: „Żadnych skarg nie przyjmuję”. Bardzo rozumnie postąpił...

Ochrzcilem dziecię w dobrej wierze z rodziców katolików. Tymczasem okazało się później, że ojciec i świadkowie prawdy nie powiedzieli, bo nie podali aktu matki dziecka tylko innej, zmarłej. Mianowicie, ojciec dziecka pierwszą żonę miał katoliczkę a drugą, unitkę, zapisał na zmarłą katoliczkę i to fałszywie, bo zmarłej wziął nazwisko a żywej imię. Kiedy mnie o tym zawiadomiono, powiedziałem, że ja za to nie odpowiadam, ponieważ ochrzcilem dziecię z rodziców katolików.

Dałem ślub niemłodej już parze, opierając się na dowodach katolickich. Po kwartale z urzędu gminy Milanów pytają się, za jakimi dowodami wziął ślub N. Odpisałem: N. wziął ślub za dowodami świadczącymi tak jego, jak i ojca, wyznanie rzymskokatolickie, mianowicie przedstawił świadectwo wójta gminy Milanów za N. pod datą N. wydane i książeczkę ojca za N.

Sprawdzili i okazało się, że świadectwo młodziana i książeczka jego ojca fałszywie wydane przez wójta gminy. Następnie polecono urzędowi gminnemu w Wisznicach sprawdzić moje dokumenty, na zasadzie których dałem ślub. Przekonali się, że były dowody młodziana i metryka jego żony (wdowy), a nawet kopię świadectwa wydanego przez wójta Milanów dałem. Książę, naczelnik powiatu włodawskiego, nie zbadawszy dobrze w gruncie sprawy wzmiankowanej, powiedział: „Oto ksiądz wisznicki nie tylko dał ślub unitowi, ale nadto sporządził akta”. Słyszając to, ksiądz Ignacy tłumaczył księciu: „Już to nieprawda, jeżeli ksiądz dał ślub i spisał akta, to miał dowody...”

Przybyłem do Rossosza pogrzebać śp. S. Jeszcze nie zdążyłem zejść z wozu, soltys wręcza mi papier od urzędu gminnego, że śp. S. w księgach ludności zapisany prawosławny, ponieważ rodzice jego byli unitami. Nie zważając na to zawiadomienie, a polegając na metrykach, jakie mi przedstawili, wykazujących, że tak śp. S. jak jego ojciec i dziad byli wyznania rzymskokatolickiego, pogrzebałem uroczyście śp. S., mego parafianina, zaś do wójta gminy przez grzeszność posłałem odezwę, że śp. S., jego ojciec i dziad zapisani są w aktach kościelnych wyznania rzymskokatolickiego. Wójt jednak, [jak] mi mówiono, raportował do powiatu w Białej, że pochowałem uroczyście śp. prawosławnego. To jest rozum polegający na tym, aby

tylko księdza skarżyć. Wskutek takich skarg bezsensownych w powiecie, jak słyszałem, zawrzało na mnie. I nic dziwnego, jeżeli różnych plotek słuchali, nie dotarłszy do gruntu rzeczy. „Usta nieopatrznych będą mówić głupie rzeczy – mówi Eklezjasta – a słowa mądrych na wadze będą rozważone”.

Wspominam często o Rossoszu, ponieważ parafia Rossosz przyłączona jest do Wisznic, nadto zniesiono parafię Opole, chociaż przyłączona do Sosnowicy, opiekuje się ksiądz z Wisznic, jako najbliższy z księży, a nawet w części ksiądz z Wisznic obsługuje i zniesioną do czasu parafię Huszcza, np. Kopytnik, położony tuż przy parafii wisznickiej. Ongi tę niwę Chrystusa obsługiwało pięciu księży katolickich, dzisiaj tylko jeden. Wiemy, że pomagali też księża unicy, których było w wzmiankowanym punkcie 10–12, ponieważ unitów w obwodzie parafii wisznickiej jest dzisiaj ok. 20 000, o których mówiliśmy wyżej...

Do spowiedzi, szczególnie przed Wielkanocą, zbiera się dosyć, a nawet nieraz dużo, około setki, wiernych i spowiadają się jak prawie wszędzie za kartkami, metrykami, książeczkami, wyjąwszy tych, których ksiądz zna dobrze i nie mają zwyczaju brać kartek itp. W cerkwi spowiedź trwa tylko jeden dzień, bo chociaż popi liczą parafian 1000–2000, jednak do spowiedzi idzie garstka, od 15 do 50 osób... Unicy, gdy są pytani, gdzie chodzą do spowiedzi, odpowiadają: „Tam, gdzie i inni”.

Popów i ich popleczników bardzo drażniło, że lud idzie i idzie do spowiedzi bez końca, toteż strażnicy ciągle wpadali do kościoła, uważając czy nie spowiadają się unicy. Chodzili nawet do organisty sprawdzić, komu kartki wydaje. Pilnując spostrzegli, że jednemu, a może więcej dał kartki do spowiedzi bez książeczki, więc zwrócili mu uwagę. Na co organista odpowiedział: „Kogo znam, że katolik, nie potrzebuje książeczek...”. Bardzo słusznie. Wszyscy gorszyli się z tego ustawicznego kręcenia się strażników wokół kościoła, [w] kościele, chowania się za ściany, organy, siadania w ławce, łażenia wkoło plebanii, dzwonnicy, ukrywania się po sklepikach żydowskich i śledzenia z nich za unitami, gdzie się obróć i co ksiądz robi, gdzie pójdzie i co mówi. Lud dobry widząc to szemrał i powtarzał: „Lepiej żeby strażnicy złodziei pilnowali, nie księdza, trzech strażników w kościele siedzi, zaś Jakobiński lata około kościoła i nimi dyryguje, a kradzieże popełniają się co drugą noc, złe bezkarnie szerzy się, powiedzieć im o popełnionej kradzieży, to pogniewają się i nie chcą robić śledztwa”. Obawiałem się, żeby niegodziwi ludzie nie okradli świątyni, zmuszony byłem ustanowić stróża nocnego, na którego parafianie składali się po kilkanaście kopiejek przy braniu kartek do spowiedzi wielkanocnej. Słyszałem, że kilku parafian Mazanowskiego dopuszczało się kradzieży, jedną noc jedli, pili, odpoczywając, a drugą noc kradli, należało też do tego kilku Żydów. Jednakże niedługo im się to udawało, ponieważ zmienili Jakobińskiego a nazaczyli i przysłali Myka, który wytropił szajkę złodziejską i oddał w ręce sprawiedliwości. Tylko biedni rossoszanie mieli prawdziwe utrapienie z paroma łotrami, którzy nie tylko okradali, ale nadto i palili tych, których nie cierpieli, na przykład nie dających się okraść lub ich prześladujących. Ci łotrzy też nie moi parafianie.

Dobrański, urzędnik do szczególnych „pouczeń” od Synodu, robił mi wymówki swojego czasu, że nie byłem na ślubie jego kuzynki, córki Mazanowskiego. Ślub odbył się w cerkwi. „To boleśnie – mówił D. – że nie byli. Ksiądz P. to bywał na takich uroczystościach”.

Pop Łącki, dawniej unicki, zapraszał mnie na rocznicę śmierci swojej kuzynki bo będą, mówił, wszyscy duchowni z całego dekanatu. A ponieważ nie uczestniczyłem w ich uroczystościach, skutkiem tego spotkały mnie wymówki, szemrania, docinki i rozwodzili swoje żale przed kim tylko mogli, tak np. Łącki mówił do Obywatelstwa, narzekając na mnie: „Zrobiłem uwagę mojej parafiance, czemu nie poświęca chleba?”. Odpowiedziała: „Już w Wisznicach oświęciłam”. Drugiej mówię: dlaczego nie idzie do spowiedzi, w Wisznicach też już była u spowiedzi – odrzekła. „Mam już nawet jednego świadka tylko jeszcze drugiego znajdę, ale co temu księdzu, kto co robi, jemu nikt nic nie zrobi”.

Razu jednego Łącki, chcąc się okazać bardzo gorliwym wobec Dobrańskiego i popów licznie zebranych, uniósł się na jakiegoś bratczyka, żaląc się na niego, że chrzczył unickie dzieci i doprowadza pary do ślubu za Białą do jakiegoś księdza, pytając się czy ja nie wiem, jak się ta miejscowość nazywa. Rozumie się, że otrzymał odpowiedź: „Nie wiem”.

Narzekał też na policję, że źle śledztwo prowadzi, dawał znać naczelnikowi i nic nie zrobił. Odgrządzając się, powiedział: „Ja jemu napiszę”. Słyszał to Dobrański, oznajmił: „Chociaż się daje znać wyżej, mało zwracają na to uwagi – wyższa [...] obojętna, lekceważy sobie. Gdyby nie katolicyzm, sprawa z unitami już by dawno była skończona, ale katolicy przeszkadzają, a nie podtrzymują ją. Obecnie właśnie w Rzymie kwestię unicką [...] rozbiegają i niedługo będzie skończona i o tym księża będą mieli wiadomość od papieża...”. Mazanowski myślał, że to mnie robił jakieś wymówki Łącki, przeto zbliżył się do nas i powiedział wobec wszystkich: „Ja jako najbliższy sąsiad wiem najlepiej, ksiądz spokojny, nie miesza się w podobne kwestie”. Pewnego czasu mówił, że jestem bardzo ostrożny, święty, zajęty tylko kościołem, domem, porządkowaniem wszystkiego, na przykład z ogrodu zrobiłem prawdziwy raj itp. Robił mi wymówki, że nie bywam u nich. Odpowiedziałem: „Nie bywam, bo może jestem źle widziany”, przerwał: „O! Ksiądz u nas wszystkich jest bardzo dobrze widziany, szanowany i ma uznanie u Obywatelstwa, prawosławnych, słowem wszystkich”.

Jednakże, mimo tego wszystkiego, skargi na mnie wnosił – może mu się zdawało, że ja o tym nic nie wiem, a tu przeciwnie było, najmniejsza rzecz – wiedziałem. „Biada człowiekowi dwoistego serca i ustom złośliwym, i rękami źle czyniącym, i grzesznikowi, który po ziemi chodzi dwiema drogami” (Ew. 2 r. 14). Zaś św. Paweł daje przestrożę: „Opowiadamy wam bracia w imię Pana naszego Jezusa Chrystusa, abyście się odłączyli od każdego brata nieporządnie chodzącego” (II 3 r. 6).

Byłem zawsze dla nich grzeczny, uprzejmy, gościnnie, bo „miłość bliźniego złego nie czyni, łaskawa jest”. Wszak sam powiedział Mazanowski do pomocnika Dobrańskiego, kiedy byli u mnie w domu: „Powiedzcie tam... (Dobr.)

jak to nas ksiądz mile, gościnnie podejmował”. Było to bardzo małe i krótkie przyjęcie z okazji zwiedzania kościoła przez nich.

Przy oglądaniu obrazów w ołtarzach prawie wszystkie im się podobały, a szczególnie Ukoronowanie Maryi Najświętszej i Rodzina Święta...

Przykrości wyrządzone przez Czeberaka, młodszego strażnika. Słyszałem, że ten strażnik swojego czasu zdierał ze ścian unitom obrazy katolickie i tłukł takowe. Bóg, który powiedział: „Mnie pomsta”, spuścił na niego dotkliwą karę, albowiem ciężko zachorował na rękę, zmuszony był udać się do szpitala, gdzie przebywał długi czas i zupełnie nie wyleczył się a chociaż wrócił do zajmowanych „stupajkowskich” obowiązków, zawsze cierpiał i narzekał na ból ręki. Najwięcej kręcił się do uprzykrzenia wszystkim około kościoła i stał lub nawet siadał w ławce w kościele...

Drugi strażnik widząc to, że siada w ławce, gorszył się tym i mówił: „Ksiądz mógłby go zaskarżyć za to, że siada w kościele, on powinien stać na służbie”. Mnie to nie przeszkadzało, kazali mu zwracać baczność. Ze wszystkich strażników on najbardziej nie pojmował kazań, a z wielkiego uprzedzenia do księdza zwykle, chociaż nigdy przeciw prawu rządowemu nic nie mówiłem, jako ograniczony prostak źle nauki rozumiał, przekreślał i błędnie donosił do urzędu, a stąd do powiatu.

Jak np. mówiłem o porządku w czasie nabożeństwa i procesji, on zrozumiał i tłumaczył sobie, że ksiądz występował przeciwko prawosławnej procesji. To jeszcze dobrze, że był drugi strażnik pojmujący język polski – zwrócił mu uwagę, że ksiądz nic przeciwnego prawosławnym procesjom nie powiedział...

Albo było kazanie o poście i uczynkach miłosiernych. Czeberak myślał i później doniósł, że ksiądz sprzedaje indulgencje, o czym już wyżej nadmieniałem. Gdy ksiądz dziekan dowiedział się od Czygajewa o tym, uśmieł się i wytłumaczył naczelnikowi, że żadnej wzmianki nie było o indulgencjach.

Czeberak zwykle wszystko donosił Jakobińskiemu, a ten dawał znać wyżej, jeden od drugiego niewiele więcej miał rozsądku i oświecenia. „Gdy ślepy ślepego prowadzi, obaj w dół wpadną”.

W Królestwie Polskim, w dzień zaduszny przypada rocznica wstąpienia na tron Najjaśniejszego Pana Mikołaja II, i z pozwolenia monarchy w ten dzień odprawia się nabożeństwo za pomyślność Domu Panującego, nie zważając na to, że przedtem odprawia się jutrznia, msza i procesja w czarnym kolorze za wszystkie dusze zmarłych.

Jak przeszłych lat, tak i w 1897 roku zastosowałem się we wszystkim do rozporządzenia władzy duchownej, mianowicie odprawiłem najpierw nabożeństwo za zmarłych, a po usunięciu oznak żałobnych, w białym kolorze odprawiłem znów nabożeństwo za Dom Panujący, zaś 18 grudnia wysłuchałem kilku osób, odprawiłem mszę śpiewaną we właściwym czasie, dałem komunię, następnie zaintonowałem hymn *Ciebie Bogu*, odśpiewałem modły za Dom Panujący i wszystkie stany, jak w *Directo* wskazane, a ponieważ w tym dniu wypadło śpiewać suplikacje, więc przy końcu takowe odśpiewałem z obecnymi na nabożeństwie.

Strażnicy dali znać do powiatu, że ksiądz w dniu elekcji przed modłami za Dom Panujący, odprawił nabożeństwo za duszę śp. Elżbiety. Czygajew zrobił do mnie odezwę, prosząc w tym względzie wyjaśnienia i zarazem dołączył strażników zawiadomienie. Spojrzałem na podpis, zauważyłem, że był podpisany Myc, pomyślałem sobie zaraz: „Wiele wiesz”. Odpisałem naczelnikowi, że nabożeństwo jedno i drugie w dniu 2 listopada odprawiłem na zasadzie rozporządzenia danego pod datą N. za N. zaś nabożeństwo za duszę śp. Elżbiety było nie 6/18 ale 2/14 grudnia. Te same papiery, jakie posłałem Czygajewowi, zwrócono do mnie, z nadmienieniem, że „osobiście wyjaśnić”... Długo leżały one u mnie, wreszcie przyjechał sam Czygajew, więc pytam się, co mam z nimi zrobić, a on zaczął gniewać się na swojego pisarza, że zamiast wysłać je do Myca to on, taki a taki, przysłał do księdza. Pokazałem mu przy tej sposobności rozporządzenie odnośnie odprawiania galówki w dniu 2 listopada. Pyta się: „To od kogo?”. Przegląda, kto podpisany. Spostrzegł, że Oboliński, naczelnik powiatu włodawskiego, mówi: „A to od nas” i dodał: „My sami zgłupieliśmy”. Zawstydzony... „Kto z mądrymi chodzi, mądrym będzie, mówi mędrzec. Przyjaciół głupich stanie się im podobny” (Pr. 13 r. 20). Co do nabożeństwa, które jakoby miałem odprawiać dnia 18 grudnia za duszę śp. Elżbiety, zapewne Czeberak wnosił z tego, że mąż śp. Elżbiety, jego i jej matka byli u spowiedzi i komunii tego dnia i zarazem uczestniczyli w nabożeństwie galowym i suplikacjach. Wszystko celebrowałem w białym kolorze, więc bardzo mnie to dziwi, skąd Czeberakowi przyszło do niemądrej jego głowy, że służyłem „panichida” za duszę śp. Elżbiety, a może sądził, że suplikacje oznaczają „panichidę”. Chociaż to był wielki błąd z ich strony, tj. policji, popełniony, a nawet potwarz rzucili na mnie i można było przeciw niej wystąpić, darowałem, ponieważ policja się upokorzyła. Ale kiedy Czeberak zaczął zabierać do gminy kobiety wychodzące z kościoła po komunii świętej, podejrzewając je, że są unitkami, chociaż twierdziły, że są katoliczkami i mają na to dowody. Jak jedna z nich okazała książeczkę, druga mówiła, że ma książeczkę w domu, tylko zapomniała wziąć ze sobą, trzecia zaś powiedziała, że mogą metrykę przedstawić i inni świadczący za nimi jako katoliczkami, nie wierzyli w kancelarii gminnej, tylko odnieśli się do gminy Rossosz z zapytaniem, o które się kwestia toczy, czy to katoliczki? Otrzymali odpowiedź, że N. i N. prawosławne, jak się okazuje z ksiąg ludności, o trzecią kobietę już im nie chodziło, bo przedstawiła zaraz metrykę urodzenia wyjętą z akt Kościoła katolickiego w Wisznicach ułożonych. Pierwszej i drugiej kobiety książeczki świadczące o ich wyznaniu rzymskokatolickim złożono u mnie, abym miał się czym bronić niepokojony. Takie postępowanie Czeberaka oburzyło wszystkich dobrze myślących, zawiadomiłem o powyższych zajściach naczelnika, aby taki strażniczyzna nie wprowadzał nowości. Na wszelki wypadek przygotowałem sobie tłumaczenie, nawet gdyby mnie zapytali, na jakiej zasadzie służyłem spowiedzi i komunii dałem Tekli Trocewicz i Miczuk? Mógłbym odpowiedzieć, że na zasadzie książeczek wydanych, pierwszej – pod datą 31 maja 1875 r. za N. 113 przez wójta Maćkiewicza, a drugiej pod datą 15 czerwca

1882 r. za N. 112 przez wójta Steckiewicza, świadczących o ich wyznaniu rzymskokatolickim. Zaświadczenia też brałem i innych, że one ochrzczone, ślub brały i uczestniczyły w innych obrzędach w kościele, czyli zawsze były obsługiwane religijnie przez księży katolickich od dzieciństwa.

Nie od rzeczy będzie przytoczyć na tym miejscu tłumaczenie dosłowne mego zawiadomienia przesłanego w języku rosyjskim naczelnikowi straży ziemskiej powiatu włodawskiego o wrażeniach wywołanych aresztowaniem kobiet wychodzących po komunii z kościoła wisznickiego przez Czeberaka, młodszego strażnika.

W miesiącu maju, dnia 9, 1898 roku dwie mieszkanki osady Rossosz, wisznickiej parafii rzymskokatolickiej, wychodzące z kościoła po komunii świętej były zabrane do aresztu przez strażnika Czeberaka, który nie zważał na zaświadczenie organisty, że są katoliczkami, ani też na to, że miały książeczki świadczące o ich wyznaniu rzymskokatolickim, dopiero były wypuszczone na drugi dzień za poręczeniem.

Dwudziestego dziewiątego maja strażnik Czeberak zrobił nieporządek przed kościołem, znów aresztował dwie mieszkanki z Rossosza rzymskokatolickiego wyznania, wychodzące z kościoła po komunii i nie zważając na zaświadczenie bractwa i innych katolików, że są katoliczkami, nie chciał ich wypuścić tylko wymagał metryk, gdy tymczasem w rozporządzeniu p. generał-gubernatora warszawskiego, wydanym pod datą 14 października 1896 r. za N. 2000, powiedziano, że wymaganie metryk od osób znanych księżom, że są katolikami, uważa się za zbędne.

Wszyscy dziwili się bezprawnemu wymaganiu władzy przez strażnika Czeberaka i teraz przy takiej samowoli strażników [nikt] nie jest pewny bezpieczeństwa, wychodząc z kościoła. Po takim zawiadomieniu naczelnik natychmiast wezwał strażników do powiatu i zapewne dał im dobre upomnienie i nagane, bo kiedy wrócili starszy strażnik Myc zalił się przed kościelnym, że policja jest za księdzem, a ksiądz jeszcze skargi wnosi na policję. Czeberaka wkrótce przenieśli do Sosnowicy, do innego uczastku. Smutny wyjeżdżał z Wisznic...

Wielka niewłaściwość popełniona w kościele przez pana Titarenkę, pomocnika naczelnika powiatu włodawskiego

Bardzo łatwo będzie można się przekonać z raportu przesłanego J. E. biskupowi lubelskiemu 28 kwietnia/10 maja br., [że kiedy] po skończeniu nabożeństwa ja z pasterskiego swego obowiązku uczyłem w kościele zebrane dzieci katechizmu, w tym czasie przyszli do kościoła żandarmi włodawskiego uczastku i miejscowy gminny pisarz Chomik ze swoim młodzieńcem, niewiadomego nazwiska, pomocnikiem, na czele pomocnika naczelnika powiatu włodawskiego, pan Titarenko, który nie zważając na świątynię rozporządził się w zamknięciu wszystkich do wychodu służących drzwi z kościoła i grożąc dzieciom aresztowaniem ich potrzebował, aby one okazały swoje imiona i nazwiska, a także przyznały się, że są prawosławnymi; dzieci zlekły się, zrzuciły zamieszanie

i krzyk, lecz z celem oswobodzenia się przyznawały się, że są prawosławnymi, z tego powodu były puszczane po zapisaniu ich imion i nazwisk. Stojący na podwórzu do dwóch godzin pomocnik gminnego pisarza bez ustanku pluł w kościele na podłogę. Przywiedzione kwestie mogą potwierdzić mieszkańcy osady Wisznice: Stanisław Koc i Julian Krukowski.

O wyżej przytoczonym zbezczeszczeniu świątyni dokonanych wzmiankowanymi osobami mam zaszczyt donieść Waszej Ekscelencji i na zawisłe rozporządzenia z najpokorniejszą prośbą o ograniczenie kościoła od mogących się powtórzyć pośmiewisk stawiających wszystkich parafian w niedorozumieniu. Po czym znów przybył 2/14 maja ten pomocnik naczelnika pan Titarenko z miejscową policją i zrobił rewizję w moim domu a nawet i w kufrach mojej sługi, nie objaśnwszy swego zlecenia, po dokonanej rewizji nic nie okazało się.

Przedtem, nim przesłałem raport powyższy, pojechałem do Włodawy zawiadomić dziekana, nie zastałem go w domu, więc wróciłem do Wisznicy a nazajutrz znów wyjechałem do Białej do dziekana, też nie było go w domu, więc wprost koleją udałem się do Siedlec i chciałem osobiście zdać raport panu gubernatorowi o zajściach w Wisznicach, lecz i pana gubernatora nie zastałem, wyjechał bowiem do Warszawy. Otóż nic nie pozostało w takim razie tylko najpierw zdać raport do księdza biskupa, kiedy powróciłem do parafii a następnie przesłałem taki sam raport do naczelnika guberni, pierwszy pod datą 2/14 maja 1898 r. za N. 45, a drugi pod datą 7/19 maja 1898 r. za N. 46.

Titarenko tłumaczył się przedtem, że miał sekretne polecenie od gubernatora do przeprowadzenia rewizji, chociaż na piśmie takiego mi nie przedstawił, ani mi nie oznajmił, czego właściwie szukał. Czy miał pozwolenie sekretne od gubernatora, to o tym bardzo wątpię, ponieważ w protokóle, którego zaraz nie spisywał na miejscu, tylko dopiero po rewizji u państwa Szczudłowskich w kancelarii gminnej spisał i przysłał nam przez wójta do podpisania, nadmieniał, że był zmuszony przeprowadzać rewizję u księdza i u państwa Szczudłowskich. Świadców z sobą też nie wziął, musieliśmy z moich stawiać.

Zanim Titarenko zażądał ode mnie wytłumaczenia się, jeden z urzędników radził mi, aby stanowczo nie tłumaczyć się zaraz Titarence, tylko domagać się, aby zostawił na piśmie zarzuty i dobrze się najpierw namyślić nad każdym słowem, nim się napisze objaśnienie dla Titarenki. Inni znów przestrzegali mnie, ażeby z nim mało rozmawiał, ażeby nie przyjął tego, co powiem, za tłumaczenie. Zastosowałem się do rad życzliwych mi, tym bardziej że była niedziela, więc nie miałem czasu na tłumaczenie się i wypadł pogrzeb. Kiedy Titarenko poprosił mnie przez wójta do kancelarii gminnej poszedłem, ale nie chciałem się tłumaczyć zaraz tylko prosiłem ażeby zostawił mi zarzuty na papierze, a ja sam odpiszę objaśnienia ponieważ jutro niedziela i muszę przygotować się z kazaniem. Titarenko uśmiechnął się i powiedział: „O! Ksiądz da sobie radę... to ja pójdę do księdza, pomogę i napiszemy”. Podziękowałem za grzeczność, jednak i na tę propozycję nie zgodziłem się... Więc przyrzekał mi przysłać zarzuty następnego dnia.

Nazajutrz nie dotrzymał danej obietnicy, bo zamiast zarzutów przysłał mi przez sołtysa kartkę tej treści: „Wielmożny ojciec Antoni! Nie odmówicie, wielmożny ojciec Antoni, pofatygować się do mnie (do domu pisarza) na krótki czas w wiadomym Wam interesie. Z należnym uszanowaniem. Wasz pokorny sługa (podpisał) A. T.”

Pan M., obywatel, były profesor uniwersytetu, później prezes osad rolniczych, wysoko wykształcony i mający uznanie, zasiadający na sesjach rozmaitych towarzysko w Warszawie, obsypany orderami, gdy ujrzał taką kartkę powiedział: „Lubo, grzecznie i z szacunkiem napisał, ale to jest ułóżenie dla księdza, na takim świstku papieru prosić księdza do siebie, jeżeli chciał pisać to mógłby poufnie listownie, albo powinien oficjalnie poprosić do gminy. Zachować tę kartkę, można z niej zrobić użytek swojego czasu, jeżeli będą zaczętnie działać...”. Miał zapewne na myśli pan prezes, kiedy nastąpią większe jakieś przykrości wówczas będzie można i ową kartkę pokazać, komu wypada. Przez grzeczność poszedłem i drugi raz do domu pisarza, dokąd mnie prosił Titarenko. Jak tylko wszedłem do pokoju, po przywitaniu się z nim, powiedział: „Niech ksiądz nie myśli, że jestem nieprzyjacielem księdza, ja waszego miejsca nie zajmę, a wy mego, tylko żaden z prawosławnych nie byłby wdzięczny i nie podziękowałby za to wszystko, co robicie, wy takiej »propagandist«... każde wasze słowo to przeciwne, kiedy to jeszcze X Wniebowstąpienie (była to niedziela przed Wniebowstąpieniem Pańskim) a wy już dzisiaj czytaliście ewangelię”. Nie dałem panu T. wiele mówić, bo każde jego zdanie zbijałem, jako niemające żadnej zasady.

Ewangelię czytałem przeznaczoną na dzień dzisiejszy. Chrystus Pan wkrótce miał do nieba wstąpić, dlatego też uczniów swoich uprzedził, a na dowód tego, każę przynieść Ewangeliczkę z kościoła i przekonam p. N. (właśnie jest tu nawet kościelny, był bowiem w przedpokoju). Nie dał posłać po Ewangeliczkę, rzekł: „Myśli ksiądz, że ja nie znam Ewangelii? – Znam”. Okazało się właśnie, że nie znał, bo gdyby znał dobrze, coś podobnego nie bredziłby, ale wiedziałby, że ewangelia na niedzielę 5-tą po Wielkanocy mówi wyraźnie: „Wyszedłem od ojca, a przyszedłem na świat, znowu opuszczam świat a idę do Ojca...”

Chociaż T. miał już gotowe wyciągi z protokółów dla mnie, jednak zaraz nie chciał ich dać tylko trzymał je między papierami, a mnie koniecznie chciał nakłonić do tłumaczenia się zaraz albo żebym sam pisał, a ponieważ mówiłem, że byłem zmęczonym, więc gotów był T. sam pisać objaśnienie, stanowczo nie zgodziłem się na to. Zachęcając powiedział: „Będzie księdzu łatwiej przy mnie napisać, bo wszystko jest u mnie spisane, kiedy się co działo, mam zanotowanych czterdziestu ośmiu świadków i to nawet takich, którzy więcej księdzu przychylni, bo przeciwnych nie brałem”. Świadców powtarzających plotki nie przyjąłem albo źle usposobionych względem mnie, dałem T. zaraz do zrozumienia, przy tym mówiłem, dlaczego mnie nie wezwał wówczas, kiedy badał świadków a byłbym wszystkich wyprowadził z błędu, wytłumaczył się. Wreszcie dałem poznać T., że łatwo mogę się wytłumaczyć pisemnie z zarzutów, których mi wypisał 13, a nawet już z wielu wytłumaczyłem się dawniej i mogę też przedstawić świadków, którzy dowiodą,

że to co mi zarzuca nie jest prawdą. Tak np. zarzucał mi, że ochrzciłem J. W., tymczasem M. Wortelec mówiła do mnie, że J. W. ochrzczona sześć lat temu i wie nawet gdzie jest ochrzczona, wtajemniczyli ją w to W.W. Kiedy T. wspomniałem o tym wypadku, że mogę świadka stać, zamilkł.

Ziściła się obietnica Pańska, którą dał uczniom swoim: „Ja wam dam usta i mądrość, której nie będą mogli odeprzeć, ani się sprzeciwić wszyscy przeciwnicy wasi”. Przekonałem T., że jestem pewny siebie i niczego się nie lękam, dodał więc: „To jedno księdzu zaszkodzi, że cerkwie puste, a tak blisko kościoła. Unici wszystko idą do kościoła, ksiądz zaś nie przeszkadza temu, nie przedsięwzięcie środków odpowiednich, ażeby unici nie chodzili do kościoła”. Odpowiedziałem: „Nie mój obowiązek nie puszczać unitów do kościoła! To do mnie nie należy”. Oznajmił też i to T., że dawniej nie było takiej wiary i pobożności w parafii wisznickiej, więc skutkiem tego robił mi delikatne wymówki, np. wspominał o zawieszaniu obrazów i stawianiu figur przy drogach i rzekł: „Ja wiem, że wy nie kazaliście im tego robić, ale to wasza praca, działalność, wpływ wasz, takie skutki sprawia”. W końcu zmuszony był dać mi zarzuty pisemnie, prosił także, aby mu jak najprędzej objaśnienie przesłać przez gminę, bo musi jechać do gubernatora, tylko wpięć wpadnie do domu...

Wyznał organiście, że: „Ksiądz jest mi kością w gardle, ja jemu pamiętam jednodniowy spis ludności, nie darmo siedziałem w Wisznicach dwa tygodnie kiedy prowadził śledztwo!”. Wyjeżdżając z Wisznic, T. kazał sobie kościelnemu otworzyć drzwi kościoła w czasie mojej nieobecności i oglądał chorągiew najnowszą, która sprawiona była przed moim przybyciem do Wisznic a on twierdził, że ja przyjąłem od unity M. – kłamstwo.

Kościelny mówił, że pytał się T. ile lat ma chorągiew, na co odrzekł kościelny: „12 lat”. „Razem z tobą” – odpowiedział Titarenko i to jeszcze podniesionym głosem.

Przyjechał dziekan na grunt, a ponieważ wiedział, że zdałem raport do J. E. biskupa, przeto stąd wnosił, że będzie delegowany przez konsystorz do sprawdzenia, więc przy nadarzonej sposobności spisał zaraz protokół ze wszystkich niewłaściwości popełnionych przez Titarenkę, później zaś kiedy konsystorz przysłał polecenie, ażeby dziekan sprawdził zajście w Wisznicach, odpisał dziekan konsystorzowi, że katechizację prowadziłem według rozporządzenia. (B.nn.)

Protokół

Ja, niżej podpisany, administrator wisznickiej rzymskokatolickiej parafii ksiądz Antoni Pajdowski, na żądanie pana Titarenki, pomocnika naczelnika włodawskiego powiatu w sprawach administracyjnych, mam zaszczyt dać następujące objaśnienia na poczynione mi zarzuty:

1. W bieżącym roku święcił paschę unitom nawet publicznie w Wisznicach, w kościele, na placu folwarcznym w Curynie, gdzie unici znieśli swoje chleby ze wsi Rowiny, w 1897 r. w osadzie Horodyszcze.

W bieżącym roku święciłem paschę na cmentarzu przy kościele parafialnym, katolikom wobec strażników ziemskiej straży wisznickiego uczastku, którzy usuwali chleby

należące do byłych unitów. W Curynie święciłem paschę w domu właściciela folwarku Władysława Ługowskiego, który może zaświadczyć tę okoliczność. W folwarku Horodyszcze w 1887 roku i bieżącym święciłem paschę w domach właściciela i rządcy, do którego bywa znoszona pascha służby dworskiej wyznania katolickiego, co może poświadczyć zarządzający dobrami Horodyszcze pan Gładysz. Przy poświęceniu paschy w razie zebrania narodu oznajmiam, że tylko katolikom będą święcić chleby i błogosławieństwo takim stosuje, wszystkich niekatolików intencja nie obejmuje.

2. Ksiądz spowiadał i dawał komunię upartym byłym unitom: Pelagii Mikołajewnie Lewczuk, Juliannie Izidorownie Makarewicz, Antoniemu Usikowi, Franciszce Iwaniuk.

Wymienionych w zarzucie osób zupełnie nie znam, nigdy spowiedzi ich nie słuchałem i komunii im nie dawałem. Bez przekonania się co do wyznania rzymskokatolickiego ja nigdy niczyjej spowiedzi nie słucham.

3. Nauczają łacińsko-polskiej katechizacji i historii św. dzieci prawosławia, utwierdza je w katolicyzmie.

Na zasadzie cyrkularnego rozporządzenia księcia Pana Naczelnika kraju, pod datą 14 października 1896 r. za N. 2000 i polecenia diecezjalnej władzy pod datą 18/30 listopada 1896 r. za N. 1810 po mszy świętej przygotowują dzieci zebrane w kościele, uczyć je prawd wiary i pacierza. Czy znajdują się i dzieci innych wyznań mnie nie wiadomo, chociaż ja takich dzieci nigdy nie zauważyłem. Katechizacja odbywa się przy otwartych drzwiach kościoła.

4. Dopuścił wielu unitów osady Wisznice do członków kościelnego bractwa, gdzie członkowie unicy mają swoje oddzielne świece.

Członkami kościelnego bractwa są wyłącznie tylko katolicy. Świece znajdują się w kościele w oddzielnej skrzyni i na procesję rozdaje [je] służba kościelna tylko katolikom, parafianom.

5. Ochrzcił byłą unitkę, Juliannę Mikołajewną Wójtowicz, 16 lat mającą.

Wójtowicz nie chrzciliem i nikogo nie chrzczę, dopóki rodzice nie złożą dowodów świadczących, że należą do rzymskokatolickiego kościoła.

6. Dał ślub byłym unitom: Janowi Józefowiczowi Jaroszewiczowi z Marianną Romanówną Kanoniuk, Teodorowi Szubińskiemu z Katarzyną Fronczuk, Leonowi Fronczukowi z Pauliną Marczak, Józefowi Kulikowi z Marcelą Cybulską.

Wymienione w zarzucie osoby nie są mi znane. Nikomu ślubu nie daję bez przedstawionego zaświadczenia o tym, że osoby należą do wyznania rzymskokatolickiego i bez spisania wymaganego aktu Urzędu Stanu Cywilnego.

7. W ogóle wiadomo z zeznań świadków, [że] ksiądz Pajdowski dał ślub wszystkim nieprawie żyjącym byłym unitom, pochrzcilił wszystkich unitów dzieci, obiecał wydać im i akty ślubu i chrztu i słucha spowiedzi unitów.

Ani świadkowie ani ich zeznania nie były mi przedstawione, a na postawiony ogólny zarzut, sam z siebie nieprawdziwy, mogę dać tylko przeczącą odpowiedź.

8. Odprawił zamówioną mszę byłemu unicy Tomaszowi Dudce.

W czasie pogrzebu Dudki byłem w mieście Włodawie w interesach (obowiązku), żadnej zamówionej mszy od Dudki nie przyjmowałem.

9. W uroczystość Narodzenia Chrystusa 1897 roku rozdawał wino byłem unitom.

W trzeci dzień świąt Narodzenia Chrystusa przy obrzędku rozdawania wina parafianom nie zauważyłem unitów, wszyscy jednak przybliżający się do kielicha powinni być przypuszczani, między nimi mogą zjawiać się osoby nie dla dopełnienia religijnego obrzędku, ale wprost z łakomstwa.

10. Przyjął do kościoła chorągiew ofiarowaną przez Michała Marczyka.

Ofiary na korzyść kościoła powinienem przyjmować od wszystkich i każdego. Chorągwi za mojej bytności w Wisznicach nikt dla kościoła nie ofiarował, co mogą poświadczyć mieszkańcy osady Wisznice – Stanisław Koc i Julian Krukowski. Od Michała Marczyka żadnej ofiary na korzyść kościoła nie otrzymałem.

11. W mieszkaniu ksiądz bywają częste zebrania byłych unitów wsi Rowiny, Dubicy, Polubicze i innych miejscowości.

Żadne zebrania w moim mieszkaniu nie odbywają się, w kancelarii zaś akt cywilnego stanu stawiają uczestniczący w aktach ze świadkami, a niekiedy i krewnymi, dla zestawienia odpowiedniego aktu. Innych zebrań nie bywa.

12. Zajeżdża często do opornego byłego unity w Dubicy Jana Osypiuka, u którego zbierają się unicy tej wsi i ksiądz wiedzie z nimi biesiadę.

Czy zbierają się u Osypiuka byli unicy mnie nie jest wiadomo. Ja u Osypiuka dla prowadzenia biesiad nie bywam. Zdarzyło się, że jadąc saniami i nie mając możliwości przedłużyć podróży inaczej jak na kołach, zaszedłem do jakiegoś to włościanina, który okazał się Osypiukiem i zabrałem od niego wóz. Za mojej bytności u Osypiuka nikogo nie było.

13. Ksiądz Pajdowski jeździ do dóbr Romanów, jak zeznają świadkowie, gdzie odprawiał msze i religijne potrzeby byłem unitom w tamtejszej kaplicy.

Jacy mianowicie świadkowie, co twierdzą, mnie przedstawione nie było. W kaplicy znajdującej się w dobrach Romanów ja w rocznicę śmierci rodu Kraszewskich odprawiam co rok mszę żałobną, lecz żadnych potrzeb byłem unitom nie spełniałem i nie spełniam, co mogą potwierdzić właściciele dóbr Romanów. W zakończeniu mam honor zwrócić uwagę na pełną gołostowność czynionych mi zarzutów i pokornie proszę o przedstawienie mi odpowiednich dowodów, spisu świadków, ich zeznania i dać możliwość mi odeprzeć bezpodstawnie zarzucane na mnie obwinienia.

Wisznice, maj 1898 roku

W tym miesiacu przesłałem pocztą powyższe objaśnienia panu Titarence do Włodawy.

Ponieważ w czasie śledztwa jeździłem do Włodawy i Siedlec bez paszportu, z powiatu włodawskiego przysłali mi papier z zapytaniem, co za przyczyny skłoniły mnie do wyjazdu bez paszportu w dniu... do Włodawy i Siedlec? Natychmiast dałem pisemną odpowiedź, że do Włodawy jeździłem dać dziekanowi do poświadczenia księgi... odebrać pensję i wziąć kwalifikacje na paszport..., zaś

do Siedlec jeździłem w ważnym i nie cierpiącym zwłoki interesie.

N. 53, 17/29 maja 1898 rok...

Zdałem raport o wyjeździe bez paszportu do Siedlec: Panu Jaśnie Wielmożnemu Gubernatorowi guberni siedleckiej.

Administrator wisznickiej rzymskokatolickiej parafii
Ksiądz Pajdowski

Raport

W uzupełnieniu odniesienia się mego pod datą 7 maja br. za N. 46 mam zaszczyt donieść Jaśnie Wielmożnemu, że 30 kwietnia br. jeździłem do miasta Siedlce bez paszportu, ponieważ dziekana nie było w domu i nic nie mogłem wziąć, a chciałem osobiście donieść Jaśnie Wielmożnemu o nieporządkach dokonanych w kościele przez pana Titarenko, lecz że niestety nie zastałem Jaśnie Wielmożnego w domu.

N. 59, 2/14 czerwca...

Zawiadomiłem też naczelnika powiatu włodawskiego, że zdałem raport panu gubernatorowi o wyjeździe bez paszportu do Siedlec:

P. Naczelnikowi powiatu włodawskiego.

Administrator wisznickiej parafii

Zawiadomienie

Mam honor donieść Panu Naczelnikowi, że zdałem raport pod datą 1 czerwca br. za N. 59 Panu Gubernatorowi o moim wyjeździe bez paszportu do miasta Siedlce i o przyczynach wydalania się do Jaśnie Wielmożnego

N. 60, 9/21 czerwca.

Cyrkularz. Wójt gminy Horodyszczce przyniósł mi na plebanię cyrkularne rozporządzenie naczelnika powiatu włodawskiego, że mam zapłacić 12 rubli za wyjazd do Siedlec, albo też mogę apelować do pana gubernatora w przeciagu 30 dni i prosił żeby mu dać rozpisę, jeżeli zaraz nie zapłacę powyższej sumy, tylko będę apelować, więc dałem raport panu wójtowi gminy Horodyszczce.

Administrator wisznickiej rzymskokatolickiej parafii.

Rozpiska

Daję w tym one, że 10 czerwca br. wójt gminy Horodyszczce przedstawione mi było cyrkularne rozporządzenie pana naczelnika powiatu włodawskiego pod datą 1 maja br. za N. 6696 o nałożeniu na mnie „sztrafu” 12 rubli za wyjazd 30 kwietnia br. do miasta Siedlce bez paszportu. Przy niniejszym oznajmiam, że zawiadomiłem raportem pana gubernatora siedleckiej guberni o przyczynie mojego wyjazdu, z tego powodu czekam rezolucji Jaśnie Wielmożnego...

N. bs., czerwiec.

Chociaż nie apelowałem, kary pieniężnej nie płaciłem za wyjazd do Siedlec bez paszportu. Zapewne skoro pan gubernator był uprzedzony o tym, powiat milczał.

O ile moje objaśnienia były dobre, bo oparte na pewnych danych, o tyle bardzo źle się tłumaczył organista. Tak na przykład, kiedy go pytał pan Titarenko, co ksiądz robi w nocy, kiedy się kładzie na spoczynek, gdzie chodzi itp., odpowiedział między innymi: „Ptaszek, jeżeli siedzi w cudzym gniazdku, powinien być spokojnym, nic nie mówić”. Słyszając to, zganilem mu to, że w wątpliwość mnie podaje u pana Titarenki. Znaczy się, że wiele wie, tylko na swego chlebobawcę nie wypada mówić.

Dowiedziałem się od pewnej osoby, że u pana Titarenko było zapisane, iż organista B. wiele powiedziałby na księdza, tylko mówił, że obawia się parafian. Kiedy go zagadnął ksiądz dziekan, o co się pytał Titarenko, odpowiedział, że ni to ni owo.

Księdzu dziekanowi bardzo nie podobało się jego zachowanie przy protokóle. Nadto Kasprowicz, pomocnik gminny pisarza, dał znać Titarence, iż organista mówił, że Czygajew uprzedził księdza o mającej się odbyć rewizji na plebanii, więc dlatego się nie udało, z czego pan Titarenko był bardzo niekontent, że nie znalazł tego, czego szukał. Wreszcie ów organista od czasu do czasu w większe cerkiewne uroczystości uczestniczył w obrzędach religijnych, a nawet śpiewał, jak mi mówił. Opowiadano mi też, że żył i pił po nocach z takimi osobami, które były dla mnie nieprzychylnie.

Pewnego razu Mazanowski oburzony żalił się na organistę, że był obecny na procesji cerkiewnej, a nie poszedł z procesją, tylko stał z ludźmi na cmentarzu cerkiewnym, więc dał z siebie zły przykład, bo skoro on nie poszedł i inni nie poszli, umyślnie tak zrobił. „Strażnicy widzieli to i radzili się mnie, że skargę na niego wniosą, ale ja im nie kazałem, tylko powiedziałem, że sam doniosę o tym księdzu proboszczowi, aby mu jako swemu organiście naganę dał”. Chociaż może bywać na nabożeństwie, nie ma nic w tym złego, owszem, ale na procesji lepiej, żeby się nie pokazywał i poszedł sobie. Inni oburzali się na organistę, że poufale poprzestaje z pannami i jedną po drugiej zwodzi a z żadną się nie żeni.

Robiłem mu uwagi, upominałem, żeby się żenił, spokojnie siedział, powtarzał: „Kiedy nie mam zapału...”.

Titarenko doniósł panu gubernatorowi, że Czygajew przeszkadza mu w prowadzeniu śledztwa, bo uprzedził księdza wisznickiego o mającej się odbyć rewizji w jego mieszkaniu i taka się nie udała. Pan gubernator natychmiast wezwał Czygajewa i [ten] musiał się tłumaczyć, najpierw ustnie a później pisemnie dowodząc, że nie mógł uprzedzić księdza, bo kiedy był w Wisznicach u księdza na śledztwie to już Titarenko wpierw dokonał rewizji i ksiądz się oburzał na jego nieprawne postępowanie, przy tym jak może pan gubernator wierzyć takim wieściom, aby urzędnik naczelnikowi przeszkadzał w prowadzeniu śledztwa.

Pan gubernator przesłał pisemną naganę księciu Obolińskiemu, naczelnikowi powiatu włodawskiego za nieporządku i nieład, jakie się działy w powiecie.

Ksiązę Oboliński miał do mnie żal, że jego wpierw nie uprzedziłem o zajęciach dokonanych w Wisznicach podczas prowadzenia śledztwa przez Titarenkę. Byłem poinformowany, aby do księcia się nie zwracać, ani też do gubernatora, bo nic nie skorzystam.

Do pana Szczudłowskiego pan gubernator powiedział: „Mówią, że księża chrzczą i dają śluby unitom a nikt nie widzi ani słyszy. Zaś Titarenko był u mnie i przywiózł z sobą plik papierów, kazałem mu zabrać, co mi po nich, rób sobie z nimi, co chcesz”.

Pan W., urzędnik, mówił do M., że pan gubernator kazał sprawę księdza Pajdowskiego łagodnie „rozbiierać”.

Konsystorz raport mój przesłał do gubernatora siedleckiego z nadmienieniem, że jeżeli Titarenko chciał

robić rewizję dzieci, niech był zabrał sobie je do kancelarii gminnej a nie w kościele... Pan gubernator polecił odesłać papiery do powiatu i sprawdzić księciu Obolińskiemu, naczelnikowi powiatu włodawskiego. Niektórzy radzili mi jechać jeszcze do pana gubernatora, inni do naczelnego, ale nie chciałem sobie wrażeń robić i nieprzyjemności.

Titarenko do powiatu wzywał moją służbę i innych i chciał się koniecznie dowiedzieć czy to wszystko prawda, co na śledztwie słyszał. Wszyscy na moją stronę jak najlepiej powiedzieli, że ksiądz niewinny, Titarenko zwrócił się do strażnika i rzekł: „Mówicie, że ksiądz wasz niewinny”, otrzymał odpowiedź: „Niewinny”, na co Titarenko, podnosząc ręce do góry: „O! Wasz ksiądz prosto pójdzie do nieba”, służba zaś powiedziała: „Daj Boże!”. Do innych rzekł: „Wszystko jedno, księdza nie będziecie mieć w Wisznicach”. „Zobaczymy” – odpowiedzieli parafianie znękani podróżą 40 wiorstową i różnymi pytaniami oraz uwagami czynionymi im przez Titarenkę.

Titarenko masę skonfiskował po domach unitów ksiązek, broszurek, obrazków Serca Zbawiciela i Matki Jego Najświętszej, św. Piotra w okowach, nawet kropielnicę zabrał i wszystko lakiem przypieczętował, mówił chlubiąc się: „O! Co to nazbierałem – przygotowałem prokuratorowi, oddam mu to”. Książki były do nabożeństwa i treści religijnej, moralnej. U mnie w kuchni też zauważył obrazek z otwartym sercem, chciał zabrać ze ściany, ale zwróciliśmy mu uwagę, że wszak w Lublinie, Warszawie są ołtarze pod wezwaniem Serca Jezusa... po kościołach. Kazał tylko strażnikowi zanotować ów obrazek, lecz nie ruszał.

Nareszcie po długich oczekiwaniach przyjechał ksiązę Oboliński do Wisznic i stanął w szkółce wisznickiej, aby na gruncie sprawdzić zachowanie się Titarenki w czasie prowadzenia śledztwa przez tegoż. Poprosił mnie do siebie przez pomocnika pisarza gminnego bardzo grzecznie i uprzejmie mnie zachęcił, abym usiadł, kazał sekretarzowi swemu przeczytać mi paragrafy prawa policyjnego o rewizjach, łagodnie zażądał, abym zeznał wszystkie przykrości wyrządzone mi przez pana Titarenkę, na przykład może mi ubliżył. Zeznałem mianowicie, że pan Titarenko spisywał dzieci w kościele w czasie przeznaczonym na nabożeństwo, więc naruszył spokój kościoła. Podczas mojej nieobecności, w godzinach nienaznaczonych na nabożeństwo, robił rewizję rzeczy, podniesionym głosem mówił niepotrzebne słowa w świątyni, więc nie uszanował jej, pisał do mnie kartkę (kawalek papieru), prosząc ażeby przyszedł do niego, do mieszkania pisarza gminnego, więc nie urzędownie albo listownie, stał w czapce wobec mnie, kiedy byłem u państwa Szczudłowskich, siedząc bez czapki, podniesionym głosem przemawiał do mnie, źle był usposobiony, narzekał, że ksiądz kością mu w gardle i pamięta mi spis jednodniowy. Przeczytał spisany protokół ksiązę i prosił o podpis. Podpisałem. Ze służby kościelnej też ściągnął zeznania, na przykład, co widzieli i co słyszeli i jak się zachowywał Titarenko.

Ksiązę miał mówić do pana D., referenta: „Co ten Titarenko tak... myśli, że będzie naczelnikiem powiatu? O! Prędzej mi na dłoni włosy urosną, niżeli on będzie naczelnikiem...”.

Słyszałem od pewnego unity znajomego O., który w zaufaniu powiedział temu unicie, że trzech czy czterech naczelników jeździło do pana gubernatora z wielką prośbą, ażeby pan gubernator koniecznie księdza piszącego te słowa z Wisznic usunął.

W wigilię Wniebowzięcia Matki Najświętszej z poczty przyniesiono mi list od dziekana z Włodawy zawiadamiający mnie, że wyrok zapadł, wyjadę do Lublina. Był u dziekana, zdaje się w środę, tj. 10 sierpnia, Czygajew z oznajmieniem, że mają zaraz jechać do Wisznic, bo ma polecenie od pana gubernatora, aby z księdzem załatwił się w przeciągu trzech dni, ale ksiądz wyrok zawiesił, powiedział, że nie pojedzie dotąd aż nie otrzyma rozporządzenia swojej duchownej władzy...

W samą zaś uroczystość Wniebowzięcia Maryi Najświętszej po niesporach otrzymałem rozporządzenie z konsystorza.

*Lubelski rzymskokatolicki duchowny konsystorz,
Nr 1269 1/13 sierpnia 1898 roku, Lublin*

Administratorowi rzymskokatolickiej parafii Wisznic księdzu Pajdowskiemu

Przeprowadzając na drugiej stronie tego, kopię odniesienia się Kancelarii Warszawskiego General-Gubernatora z wydziału dla duchownych spraw obcych wyznań na imię Jego Ekscelencji Biskupa tutejszej diecezji pod datą 22 lipca N. 1675 poleca Waszej Wielbności, po zdaniu zarządu parafią, za pośrednictwem Dziekana Włodawskiego Dziekanatu, otrzymującego jednocześnie rozporządzenie wikaremu parafii Radzyń, księdzu Feręzewiczowi, przybyć do miasta Lublina, gdzie i zamieszkiwać wpród do dalszych rozporządzeń. Na przejazd ten dołącza się przy niniejszym bilet, który nim się wyjedzie wypada przedstawić we Włodawskim powiatowym Zarządzie dla poświadczenia.

Sędzia Surogat, prałat katedralny (podpis) ksiądz Kogłars, za Regensa kancelarii (podpisano) ks. A. Zajkowski

*Kancelaria Warszawskiego Jenerała Gubernatora.
Z wydziału dla duchownych spraw obcych wyznań*

N. 1675 22 lipca 1898 roku, Warszawa, Jego Ekscelencji Lubelskiemu r. k. Biskupowi

Wskutek przedstawienia Siedleckiego Gubernatora o bardzo szkodliwej działalności administratora r. k. parafii Wisznic, powiatu włodawskiego księdza Antoniego Pajdowskiego, wyrażającej się jawnym mieszaniem się tego księdza w sprawy prawosławia, Pan Główny Naczelnik kraju pod datą 22 lipca za N. 132, raczył postanowić bezwarunkowo usunąć pomienionego księdza od wzmiankowanego obowiązku z poleceniem mu udania się na mieszkanie do miasta Lublina. O przytoczonym Kancelaria Jenerała Gubernatora ma zaszczyt uwiadomić Waszą Ekscelencję wykonania rozporządzeń oznajmiając, że o tym wraz z niniejszym zawiadomiony jest siedlecki gubernator.

Zarządzający kancelarią (podpisano) Ew. Mienkin, za zawiadującego referentorstwem (-) J. Tworowski

Następnego dnia około południa przyjechał najpierw ksiądz Feręzewicz do mnie a następnie ksiądz dziekan w towarzystwie Czygajewa, który nie bardzo chętnie

jechał do Wisznic w takim poselstwie, mówił bowiem w drodze, [że] skoro Titarenko tego narobił, tj. przyczynił się mi do opuszczenia Wisznic, niech był on sobie jechał. Zdałem zarząd parafią, a nazajutrz po mszy cichaczem, bo tylko w dwóch domach w zaufaniu powiedziałem o swoim wyjeździe, pożegnawszy się z niektórymi osobami, w towarzystwie księdza dziekana, który jechał na śledztwo do Parczewa i mego kuzyna Ignasia (Ignacy Pytlakowski z Urzędowa, krewny, późniejszy kurator Okręgu Szkolnego w Lublinie i Warszawie) wyjechałem z Wisznic żegnany po drodze przez bolejących parafian, którzy domyślili się, że ich opuszczam. Stanałem na kilka godzin u księdza proboszcza w Parczewie, gdzie wkrótce nagawędziłem się nie tylko z kks. Michałem, Stanisławem, ale nadto z kks. Tadeuszem, dziekanem z Radzyna, i wikariuszami parczewskiej parafii. Około północy pożegnawszy kks., pojechałem z Ignasem na stację i koleją do Lublina.

Gdy to piszę, chwytam „Słowo” N. 32 i między innymi czytam: „Co się tyczy opornych byłych grekounitów, to ich położenie jest nadzwyczaj smutne. Do spowiedzi nie chodzą, dzieci nie chrzczą, ślubów nie zawierają, zmarłych grzebią samowolnie, zapomniawszy o wszystkich obowiązkach, jakie religia wkłada na chrześcijanina. Duszą zupełnie spleśnieli. Nawet powinowactwo krwi straciło dla nich swoją siłę i znaczenie. Nieprawi, nieochrzczeni rodzice dają dzieci, także nieochrzczone również pozostają. Oporni odnoszą się do prawosławia z gniewem, unikają spotkania i rozmowy z duchownymi prawosławnymi. Do zmarłych nie przypuszczają wcale duchowieństwa prawosławnego.

Według danych statystycznych za 1897 rok na 377 733 mieszkańców guberni lubelskiej, siedleckiej i w części suwalskiej, przyłączonych do prawosławia, liczba zupełnie opornych, niełączących się z Cerkwią prawosławną byłych grekounitów dochodziła do 83 000 osób płci obojga. Oprócz tego wahających się w 1897 roku było około 9214 osób. Nieochrzczonych dzieci w dniu 1 stycznia 1898 roku było 26 877. Ze wszystkich 276 przyłączonych parafii, znajdujących się w 1897 roku w diecezji, tylko w 35 nie było zupełnie ani wahających się, ani opornych. We wszystkich innych liczyć ich można było na dziesiątki i setki.

Rok 1897 był dla prawosławia w diecezji chełmsko-warszawskiej niepomyślny. Z powodu spisu jednodniowego i zmiany głównego naczelnika kraju ludem wstrząsały najróżniejsze pogłoski. Ciemny, mało oświecony lud przekonywano, iż będzie pozwolone byłym grekounitom wyznawać swobodnie religię i rozpuszczano inne temu podobne pogłoski. Ukazywały się proklamacje zagraniczne, które tajnymi drogami dochodziły do wiadomości ludu. Wszystkiemu oporni wierzyli i zapisywali się jako katolicy. Tu i ówdzie miały miejsce nieporządki. Księża jawnie nieśli opornym potrzeby religijne i odwiedzali ich w domu. W propagandzie tej pomagały księżom różne osoby.

Pod wpływem agitacji i gróźb, wielu nawet z oddanych prawosławiu byłych grekounitów zapisało się jako katolicy i przestało uczęszczać do świątyń prawosławnych.

Na zakończenie przeglądu wszystkich stron życia diecezji chełmsko-warszawskiej, sprawiedliwość wymaga zaznaczenia, iż wobec tak trudnych warunków, w jakich

się znajduje prawosławie w kraju, nie można oczekiwać szybkiego postępu w uspokojeniu opornych i w zupełnym zlanu się tej ludności z cerkwią prawosławną”.

Pobyty w Lublinie w 1898 roku

Po przyjeździe do Lublina tymczasowo stanąłem w hotelu „Europa”, gdzie też zarazem i stołowałem się. Najpierw udałem się do konsystorza z myślą widzenia się z Jego Ekscelencją biskupem, prałatem, kanonikiem, regensem i sekretarzami. Przed konsystorzem spotkałem się z księdzem Dąbrowskim, proboszczem z Bystrzycy, od którego dowiedziałem się, że Jego Ekscelencja, bardzo chory, nikogo nie przyjmuje, bo nie puszczają osób, aby nie męczyć księdza biskupa, wyjąwszy tylko ksiądz prałat Kogłarski zachodzi do Jego Ekscelencji, co słysząc zaniechałem zamiaru widzenia się z ks. biskupem, ponieważ moja wizyta mogłaby ujemnie wpłynąć na bardzo osłabione siły chorego. Do siedzących nas na ławce w cieniu pod konsystorzem na przewiewie lekkiego wiatru, prawie jakby go zupełnie nie było, w czasie upałów sierpniowych, zbliżył się *Illustrisimus* prałat ksiądz Kogłarski wracający od księdza biskupa, a widząc nas przed sobą stojących bez kapeluszy powiedział: „Skoro kks. pp. z odkrytą głową, to ja też muszę odkryć głowę”. Miał cylinder na głowie i zaraz zdjął go, a chociaż prosiliśmy ks. prałata, żeby nie krępował się nami, nie wpierywając cylinder na głowę, dopóki ja nie nakryłem głowy. Porozmawiał trochę prywatnie, a następnie zapytał się mnie: czy może chce do konsystorza? Gdy otrzymał odpowiedź twierdzącą, naznaczył mi godzinę.

W oznaczonej godzinie poszedłem znów do konsystorza na audyencję oficjalną. Zdałem relację ks. prałatowi, w końcu pyta się: „Cóż ksiądz żąda od nas... Może chce miejsce, na wikariatach moglibyśmy znaleźć”. Zagadnąłem ks. prałata, że życzyłbym sobie probostwo jakie małe, wołałbym sam być aniżeli na wikariacie, bo czuję się zmęczony, a księża proboszczowie nieraz są wymagający i nie można się zgodzić z nimi. Ksiądz prałat odrzekł, że probostw wakujących nie ma, będzie to zależało od księdza biskupa. Odpowiedziałem, że nie śpieszę się, mogę zaczekać, a obecnie chciałbym jakiś czas odpocząć po przejściach przykrych i zamieszkać w Bobach przy księdzu jubilacie. Księdzu prałatowi bardzo się to podobało i dodał: „Tak będzie najlepiej, u księdza Metelskiego. Zrób ksiądz podanie, a my prześlemy do Warszawy”. Toteż zaraz napisałem podanie, a konsystorz przedstawił do naczelnika kraju.

Nosiłem się z myślą zamieszkania przy którymkolwiek kościele nim przyjdzie odpowiedź od naczelnika kraju, niestety nie nadarzyła się sposobność, bowiem przed moim przyjazdem do Lublina już czterech księży było zesłanych, którzy zamieszkali przy kościołach i jeszcze się spodziewano więcej, np. księdza Arciszewskiego proboszcza z Sosnowicy i innych.

Opatrzność zrzadziła, że państwo Krasnowolscy Feliksowie sprzedali folwark Zacisze pod Wisznicami i sprowadzili się do Lublina, kupili dom na ulicy Powiatowej i po pięciu dniach zamieszkania w hotelu, skoro się dowiedzieli, zabrali mnie do swego domu jako swego

pasterza i otoczyli serdeczną życzliwością, przyjaźnią, staropolską gościnnością, słowem zupełną opieką. Co widząc, inni mówili: „Szczęśliwy ksiądz”, a ksiądz Bogdanowicz powiedział: „Ksiądz mieszka sobie jak u Pana Boga za piecem”.

Nawiedzali mnie parafianie z wisznickiej parafii, urzędowskiej, bobowskiej i lubelskiej. Mszę pierwszą w Lublinie odprawiłem wówczas na intencję udających się do Częstochowy lublinian w kościele pobernardynskim, następnie dwie w kościele św. Józefa na targu, inne w kościele św. Ducha, a później w kościele szpitalnym św. Wincentego.

Życzliwi zredagowali mi prośbę do naczelnika kraju, w której charakteryzowali Titarenko, mnie broniąc, domagając się powtórnego śledztwa i pozostawienia mnie na posadzie. Ksiądz prałat, którego się radziłem w konsystorzu oficjalnie czy można przesłać taką prośbę, zostawił mi do woli jak uważam i jak tam radzili w Wisznicach. A ponieważ koniecznie domagano się w Wisznicach, żeby wysłać prośbę do generał-gubernatora, przeto uczyniłem zadość życzeniom niektórych, a nawet wielu, i posłałem taką na imię Jaśnie Oświeconego, która w dosłownym tłumaczeniu tak brzmi:

Jaśnie Oświeconemu Panu General Gubernatorowi Warszawskiemu. Księdza Antoniego Pajdowskiego byłego administratora wisznickiej rzymskokatolickiej parafii

Prośba

Dziewiątego sierpnia br. usunięty zostałem z posady administratora wisznickiej rzymskokatolickiej parafii, powiatu włodawskiego, guberni siedleckiej, jakoby okazał się szkodliwym dla prawosławia. Przypisywano mi »szkodliwość« niczym nie dowiedziona i nie uważam się w tym winnym, tak jako z prawosławnymi ludźmi żadnych stosunków nie miałem.

Wiadomo mi tylko, że o mnie po doniesieniu gminnego pisarza gminy Wisznice Chomika prowadził śledztwo pomocnik naczelnika powiatu włodawskiego w sprawach administracyjnych p. Titarenko, osobistość używająca dosyć złej reputacji, znana wszystkim w powiecie ze swojego rozpustnego życia, grająca z pisarzami w stukółkę, naciągająca pisarzy [na] datki i zajmująca się zbieraniem wiadomości o mnie od osób niezastępujących na zaufanie, jak np. od pomocnika gminnego pisarza gminy Wisznice Kasprowicza, ukrywającego złodziei, mającego z nimi stosunki i będącego obecnie pod saldem za wydanie fałszywych świadectw złodziejom. Wszystko złożone mną o p. Titarence mogą zaświadczyć nie tylko postronne osoby, ale i urzędnicy zarządu powiatowego, zaczynając od samego naczelnika ziemskiej straży tego powiatu a kończąc na starszym strażniku wisznickiego uczastku Myca.

Przy pośrednictwie takich osób pan Titarenko prowadził o mnie śledztwo, a w tym czasie gminny pisarz Chomik w swobodny od gry w karty czas zbierał po gminie z narodu dla pana Titarenki datki. Ja biedny, nic nie mogłem dać panu Titarence, który w swojej bezczelności nic nie mówiąc swoimi natręctwami i uprzykrzeniami dawał mi znać, że tu bez datku nie obejdzie się.

I rzeczywiście na to jak raz wyszło. Jeżeli bym ja podczas bytności pana Titarenki w Wisznicach miał pieniądze

i dał mu chociaż sto rubli, to na pewno nie zrobiłbym się w oczach władzy »szkodliwym« dla prawosławia.

Prowadzone [przez] pana Titarenko śledztwo przy podobnych okolicznościach, czyż można przyznać prawdziwym i sprawiedliwym, kiedy on szuka sposobności na datki. Pan Titarenko zachowywał się względem mnie z uprzedzeniem i całe jego śledztwo o mnie to kłamstwo. Przejawiająca się pana Titarenki działalność z tego, że nie wziął ode mnie datku, pozbawiła mnie kawałka powszedniego chleba. Okoliczności te skłaniają mnie przybiegnąć do opieki Jaśnie Oświeconego i jak najuprzejmiej prosić: okazać łaskawą rezolucję o prowadzeniu powtórnego śledztwa o mnie dobrze sumienną osobą, przyznać mnie niewinnym i pozostawić na posadzie administratora parafii.

Miasto Lublin, sierpień 1898 rok, podpis proszącego...

Na podanie moje, inaczej prośbę, wniesioną do Jego Ekscelencji, abym mógł jakiś czas zamieszkać w Bobach dla wątłego zdrowia na powietrzu nadwiślańskim i przedstawienie konsystorza do pana naczelnika kraju, przysłała do konsystorza odpowiedź nieprzychylna naszym życzeniom.

Widzimy z powyższych danych, ileż to czasu upłynęło nim raport mój wywołał jakikolwiek skutek, bo czekać musiałem dni 40, doprawdy już i odechciało mi się jechać na wypoczynek na wieś. Lato miało się ku końcowi, a nawet nastąpiła jesień. Zachodzące słońce rzucało ostatnie promienie, przedłużając niezmiernie cienie drzew.

Z powodu prośby podanej na imię Jaśnie Oświeconego Naczelnika kraju, został wysłany urzędnik z Siedlec, pan Iwanow, pomocnik kierownika kancelarii, do Lublina, aby spisał protokół ze mnie na pana Titarenko. Po wezwaniu mnie przez strażnika do policji pan Iwanow zestawił protokół niepochebny dla Titarenki, podpisałem swoje zeznanie i podziękowałem, a pan Iwanow przytoczył krótko zdanie: „Teraz sprawa Titarenki rozpatruje się właśnie, okaże się kto będzie winny, odpowie taki urzędnik, nie może być cierpiący. Będę w tym, aby sprawę dobrze przeprowadzić!”. Stał wyjechał do Włodawy, Wisznicy i Radomia wysłuchać świadków, których podałem. Wszędzie nieprzychylnie odzywano się na pana Titarenkę.

W jakiś czas wieczorem dają mi znać przez strażnika, aby udać się do policmajstra – ten oznajmia mi, że muszę jechać do Petrozawodzka na pięć lat. Pyta się na jaki koszt, czy na urzędowy, odpowiedziałem: „Jak lepiej?”. Mówi, że na swój koszt będzie swobodnie. Podpisałem blankiet przysłany z departamentu policji i „rozpiszę”. Zaniepokojony powiedziałem: „Cóż to jest, śledztwo się prowadzi, sprawa nieukończona, a tu czeka mnie zsyłka” – policmajster rozłożył się. „Więc prośbę wyślę, aby wyjazd powstrzymać”. Można. Pobiegłem do księdza prałata meldować i rady zasięgnąć, powiedział: „Niech ksiądz jutro przejdzie do kancelarii gubernatora, najlepiej doradzą, i o tym mnie zawiadomić”.

Udałem się nazajutrz do kierownika kancelarii, co mam robić, czy można depezę posłać lub prośbę? Odpowiedział: „Macie siedem dni na wybranie się, prośbę piszcie”. Zawiadomiłem księdza prałata i zająłem się

przesłaniem depezy do M.S.W. Powrócił szczęśliwie z kuracji ksiądz Pop. Złożyłem na jego ręce raport, który został wysłany do naczelnika kraju. Tym sposobem wszystkie wyższe władze poruszone.

Zdrowie zaczęło nie dopisywać. Zmuszony byłem iść do szpitala. Przyjęto mnie i zapisano. Doktorzy zrobili konsylium i zostałem na kuracji. Siedem dni upłynęło, przyszedł do mnie pan policmajster z oznajmieniem, że na następny dzień wyjazd, ale wy „bolen” nie pojedziecie. „Trzeba było przyjść do mnie, poinformowałbym, co zrobić”. „Chodziłem dwa razy – odpowiedziałem – pana naczelnika nie zastałem i zaraz się rozchorowałem”. Doktorzy mieli zdać raport do biura policji. Spiesznie poszedł pan policmajster do kancelarii doktorskiej zobaczyć moją kartę, gdzie wystawiono diagnozę, a ponieważ karta była zamknięta w biurku przeto sprowadził doktora około godziny 10-tej w nocy. Okazało się, że jestem bardzo osłabiony, bezsilny. Doktor mówi: „Ksiądz wam jeszcze w drodze zembrze”, a policmajster powiedział: „Ksiądz musi być suchotnik” i poszedł zdać raport panu gubernatorowi. Nazajutrzznaczono komisję, na czele której przyszedł pan policmajster, doktor wojenny, pułkownik, bo tak sobie życzyłem, aby nie podejrzewano, że udaję chorego.

Doktor miasta Jarnuszkiewicz i doktor Klamer, opiekujący się mną w chorobie, zaopiniowali dwutygodniowy pobyt w szpitalu, o czym zawiadomiłem księdza biskupa prosząc, aby wystąpił do naczelnika kraju w moim interesie, co też przychylnie uczynił Jego Ekscelencja.

Po paru tygodniach zdrowie pogorszyło się, przesłałem „zajawienie” panu policmajstrowi i zarazem wystąpiłem z prośbą do gubernatora, aby był łaskaw naznaczyć komisję, jeżeli uzna, że stan zdrowia nie pozwala wyjechać do Petrozawodzka tylko na południe do ciepłego klimatu – to niech wystara się u swojej władzy, aby wydała przychylną opinię na korzyść mego wątłego zdrowia i jeżeli koniecznie trzeba wyjechać, to przynajmniej na południe Rosji, do ciepłego klimatu. Piątego dnia przysłała komisja: pan policmajster, inspektor lekarski T., naczelny doktor Dobrucki, doktor miasta Jarnuszkiewicz i doktor Klamer – naznaczyli jeszcze parę tygodni, abym pozostał w szpitalu. Panu gubernatorowi nie podobało się, więc kazał zmienić akta doktorom – trzecia komisja, wszyscy urzędowi doktorzy zadecydowali, iż nie mogą wyjechać do Petrozawodzka tylko na południe, ponieważ mam początki suchot.

Akt został spisany przez pana doktora Klamera i podpisany oraz potwierdzony. Wkrótce z guberni zrobili odezwę i przesłali papiery do Warszawy.

Pisma po przetłumaczeniu ich na język polski brzmiały:

Wielmożnemu Panu Naczelnikowi Ziemi Straży i Policmajstrowi miasta Lublina

Zawiadomienie

Mam honor zawiadomić W.P., że zdrowie moje nie tylko nie polepszyło się, ale przeciwnie, jeszcze pogorszyło się w ostatnim czasie i dlatego ja nie jestem w stanie przedsięwziąć utrudniającej podróży do Petrozawodzka. Oprócz tego za dług sobie poczytuję załączyć, że ja zwróciłem się do odpowiedzialnej władzy z prośbą o naznaczenie miejsca mojej zsyłki, jeżeli taka będzie nieunikniona, gdziekolwiek

na południu Rosji, tak jako wątki z natury mój organizm zupełnie się rozstroi surowym klimatem północy. Na potwierdzenie tego mego zawiadomienia ja jestem gotów poddać się nowemu lekarskiemu opatrzeniu naznaczonej władzą komisji.

Zamieszkujący w szpitalu św. Wincentego w mieście Lublinie (podpis zawiadamiającego), Lublin 30 października (11 listopada) 1898 roku.

Jaśnie wielmożnemu Panu Naczelnikowi Guberni Lubelskiej

Uwolnionego z posady administratora rzymskokatolickiej parafii Wisznice, powiatu włodawskiego, księdza Antoniego Pajdowskiego

Prośba

Ja skazany zostałem na wygnanie do Petrozawodzka, w tym z powodu rozstrojonego zdrowia ja nie jestem w stanie tam udać się. Skutkiem tego ośmielam się utrudzać Jaśnie Wielmożnego pokorną prośbą o naznaczenie komisji dla poddania mnie nowemu medycznemu opatrzeniu i jeżeli wysłani przez Jaśnie Wielmożnego Pp. doktorzy zaopiniują, że surowy klimat północy Rosji w rzeczy samej ujemnie wpłynie na mój chorobliwy organizm, to ja pokornie proszę Jaśnie Wielmożnego nie odmówić w swoim przychylnym zniesieniu się z odpowiednimi władzami o pozwolenie mi, na wypadek jeśli pięcioletnia zsyłka dla mnie nieunikniona, to przynajmniej mieszkać w południowych miejscowościach Rosji z ciepłym klimatem.

Miasto Lublin, 31 października (12 listopada) 1898 roku.

Czas w ciągu kilkumiesięcznego pobytu w Lublinie bardzo pożytecznie nie wpłynął pod każdym względem.

Poza mszą, pacierzami kapłańskimi i medytacją czytałem książki naukowe, robiłem z nich wyciągi, czytałem pisma periodyczne, jak: „Przegląd katolicki”, „Tygodnik ilustrowany”, „Ziarno”, „Wieki” i inne, pisałem listy do znajomych życzliwych, kreśliłem na życzenie księdza prałata N. w rodzaju opowiadania pamiętnik z czasu bytności mojej w Wisznicach i takie skreślone „opowiadanie” ofiarowałem J. E. prałatowi, bo mnie o to prosił. Taki sam pamiętnik pt. *Notatki* napisane w skrócie dałem do przeczytania księdzu regensowi konsystorza, aby je podał J. E. biskupowi Jaczewskiemu, aby mieli w przybliżeniu jakie takie pojęcie, co przechodziłem na parafii w Wisznicach. Bardzo to było dla wszystkich ciekawe. Zajęcia moje przeplatałem parogodzinnym spacerem, co dzień przed obiadem i wieczorem przed zachodem słońca najczęściej wychodziłem na spacer w stronę Urzędowa ku Sławinkowi.

Ze szpitala to już prawie nigdzie nie wychodziłem przez dwa miesiące, bo często byłem mocno osłabiony, a gdy było mi lepiej od czasu do czasu to znajomi nie radzili mi wychodzić na ulicę, aby ktoś nie myślał, że udaję tylko chorego i mogą mnie wysłać do Petrozawodzka. Jednak nie byłem pozbawiony towarzystwa, ponieważ codziennie przychodził doktor, ksiądz kapelan prawie co dzień, często przychodził ks. Leon Wydźga, ks. Przyłuski, ks. Miłkowski, odwiedzali mnie i inni, brat Józef, krewni, przyjaciele, znajomi, parafianie z wisznickiej i bobowskiej parafii, słyszałem, że gromadami przychodzili do furty szpitalnej, jak mi opowiadał furtian.

Przed podróżą do Astrachania

Kiedy otrzymałem zawiadomienie z Kancelarii Generala Gubernatora Warszawskiego, że sprawa moja nie będzie powtórnie rozpatrywana, zacząłem się wybierać do podróży. Pan policmajster miasta Lublina utrzymywał, że żadnych względów mi nie okażą, nie ma czego się lękać. A ponieważ nie było jeszcze wyraźnej odpowiedzi na moją depezę wysłaną do ministra S. W., któremu dałem znać, że powtórne śledztwo w toku, w tym naznaczony wyjazd na pięć lat do Petrozawodzka, gdy ja czuję się niewinnym a przy tym jestem chory i tak dalekiej podróży utrudzającej nie będę mógł odbyć, nadto nie miałem rezolucji na raporty podane do J. E. biskupa diecezji lubelskiej, który też wystąpił za mną z odezwą do naczelnika kraju i wreszcie nie miałem żadnego zawiadomienia na prośbę wniesioną do J. W. pana gubernatora lubelskiego, była więc jakaś nadzieja, że okażą mi pewne względy, pan policmajster odzywał się ze współczuciem: „Ksiądz nie podpada takiej karze, nie można jej zastosować...”

Skoro „Bóg nasz ucieczką i mocą” zdwojone zostały żarliwe modły w klasztorze sióstr miłosierdzia, szpitalu, w kościele św. Ducha, w kaplicy seminaryjnej, przytulku św. Antoniego, w kościele św. Stanisława i innych parafiach – wisznickiej, bobowskiej i urzędowskiej. Zakupywano msze św. na pocieszenie mnie, przyjmowano komunię św. na moją intencję, odprawiano nowenny do Niepokalanej Maryi, do św. Antoniego, odmawiano różaniec, litanie, różne modlitwy, udzielano jałmużny, poszczono i spełniano inne dobre uczynki. O! Ileż chwały Bóg miał, odebrała czci Maryja Najświętsza i św. Antoni a ludzie życzliwi otrzymali zasług, ja zaś niegodny sługa ołtarza – pożytków.

Opatrzność Boża to zrządziła, że spadły na mnie troski, bez których, jak powiedział J. W. ks. prałat Nojrzewski: „Nie można sobie życia wyobrazić”.

S. S. historyk zauważył, że kks. najgorliwszych zwykle wysyłają do Rosji, więc to nie dzieje się bez Mocy Wyższej, J. E. biskup Jaczewski, kiedy byłem u niego pożegnać się, wyrzekł ze współczuciem: „Chociaż chcielibyśmy inaczej, nie możemy. Z Mocy Wyższej się dzieje, mów sobie... bądź wola Twoja, bądź wola Twoja...”

Dnia 26 grudnia przyszedł pan policmajster do mnie z zapytaniem: „Jak zdrowie? Lepiej? Ja uważam, że lepiej. Zmienili do Astrachania, tam piaski i ciepło. Kiedy ksiądz chce jechać?”. „Chciałbym jak najprędzej, bo tutaj się nie uspokoję”. „I ja uważam, że tak będzie lepiej”. „Proszę na koszt rządowy i wskazanie mi jak najkrótszej drogi, którą mam jechać”. „Dobrze”. „Kiedy mam jechać?”. „Dam znać”. Rozmawiał pan policmajster dosyć długo w moim numerze 4. Wtajemniczyłem go, jak się odbywał spis jednodniowy pod kierownictwem pana Titarenko. Bardzo panu policmajstrowi nie podobało się postępowanie pana Titarenki i powiedział: „To on kompromitował Rząd – tak jakoby Najjaśniejszemu Panu chodziło o tę garstkę unitów i Rosja nie może bez nich istnieć...”. Dodał, że nietaktownie postępował.

Nazajutrz przybiegł pan intendent szpitala z oznajmieniem mi, że pan policmajster pyta się przez telefon czy ksiądz pojedzie na swój koszt, to stróża nie damy i będzie

wygodniej, nam nie zależy wiele na tym, czy ksiądz dzień lub dwa wcześniej lub później zajędzie. Zauważyłem, że wiele osób radziło mi na swój koszt jechać, więc zgodziłem się na to...

Kilka dni czekałem nim mnie sami zawiadomią, kiedy mam jechać w podróż. Dopiero 2 stycznia wieczorem, kiedy byłem na kolacji w refektarzu u siostr miłosierdzia, przyszedł pan intendent zaniepokojony ze starszym strażnikiem, zawiadamiając, że pan policmajster prosi mnie do policji w celu porozumienia się ze mną kiedy wyjadę w podróż. Wszyscy podejrzewali, że już mogą mnie nie puścić z policji, toteż pan intendent napomniął policjanta, że tylko pod tym warunkiem pozwala mi pójść do policji, aby mnie nie zatrzymywali, ponieważ ksiądz nie wypisany jeszcze przez doktora ze szpitala, więc on byłby odpowiedzialny, że chorego pozwolił zabrać ze szpitala bez wypisania.

Skoro tylko wszedłem do gabinetu pana policmajstra, po przywitaniu się z nim zaraz się pyta: „I cóż, kiedy ksiądz jedzie?”. „Kiedy pan naczelnik każe – otrzymał odpowiedź – mogę w środę”. „Proszę jutro przyjść wieczorem i upewnić nas, bo może znów co zająć u księdza” – powiedział pan policmajster. Dobrze, poszedłem jeszcze raz na drugi dzień wieczorem i upewniłem pana policmajstra, że wyjeżdżam rannym pociągiem następnego dnia. Dali mi bilet na pięć lat i kartę, którą jechać...

Podróż do Astrachania

Dnia 4 stycznia 1899 roku o godzinie 9 rano po mszy św. wysłałem z rzeczami na stację Kolei Żelaznej Nadwiślańskiej siedemnastoletniego Michasia, który ofiarował się towarzyszyć mi w podróży i na wygnaniu. Sam zaś o godzinie 10-tej, pożegnawszy się, dziękując siostrom i państwu Krasnowolskim zarazem i innym za wszystko, przeprowadzony przez nich do dorożki stojącej na ulicy, siadłem na dorożkę z kks. Leonem Wydźgą i D. Przyłuskim, którzy towarzyszyli mi i pojechaliśmy na foksal [dworzec – przyp. red.]. Tutaj dosyć jeszcze czasu mieliśmy do pogawędki, bo pociąg się opóźniał. W Chełmie na foksalu zaznajomiłem się z panem R., kontrolerem, osobistość wesola, grzeczna, uprzejma, gościnna, poprosił mnie do swego przedziału I klasy, narozmawiałem się dosyć i jechałem z nim do Domaczewa, gdzie się serdecznie ze mną pożegnał.

W Brześciu byliśmy wieczorem, bardzo nam się podobał nowy, piękny foksal, elektrycznością oświetlony, przy ciemnej nocy ślicznie wyglądało. W Brańsku stanęliśmy o północy, zabawiliśmy kilka godzin, też ładny i duży foksal. Ponieważ tutaj wiele było czasu, przeto mogłem dosyć spacerować i rozmawiać z urzędnikiem tej kolei, warszawiakiem, który niedawno wrócił z Moskwy – bardzo był kontent, że spotkał księdza z Królestwa, by wynurzyć się przed nim. Na tej stacji został mój parasol... i mój Michaś był bardzo niezadowolony, że odszedłem rzeczy i mógłby kto je łatwo zabrać.

Na Polesiu miejscowości nie bardzo mi się podobały, wyjąwszy około Homla. Pałac Paszkiewicza zwrócił moją uwagę i to, że na poleskiej kolei opalają drzewem a nie węglem, więc dosyć mają drzewa. Chociaż lasy przy

kolei widziałem drobne i niskie, wprawdzie jeszcze są obszary, ale na dobre zaczynają w niektórych miejscach ten drobiazg wycinać.

Od Brześcia do Homla dotrzymywał mi towarzystwa parafianin homelski, jakiś budowniczy, podróżujący po Rosji, zawsze mi znikał na stacjach. Na pamiątkę zapoznania się dałem mu obrazek, był wdzięczny.

Orzeł ujrzeliśmy 6 stycznia o godzinie 8.00 rano i mogliśmy się tam rozglądać cztery godziny. Pragnąłem bardzo w Orle odprawić mszę św. jako w uroczystość Trzech Króli n. s., a w Boże Narodzenie według s. s., ale musiało się skończyć na pragnieniach, bo do kościoła za daleko od stacji, około 5-ciu wiorst, przy tym wąpiłem, czy by mi pozwolił tamtejszy ksiądz odprawić mszę w orłowskim kościele z różnych powodów, jakie by sobie wyobrażał i wreszcie obawiałem się, aby się nie spóźnić na pociąg gdyby coś zaszło w drodze. Na foksalu słyszałem harmonijne na głosy śpiewy, jakie wykonał przed obrazami chór męski z powodu uroczystości Bożego Narodzenia.

Okolice orłowskie swymi górami, dolami i wąwozami w różne strony ciągnącymi się, przypominały lubelskie, tylko w lubelskich są lasy a w orłowskich nie ma. Gdzieniedzie wprawdzie zaprowadzają lasek, jak np. widziałem w kilku miejscach pod Orłem dębowy mały lasek i przy linii kolejowej dla zabezpieczenia jej od nasypów śnieżnych z jednej i drugiej strony po trzy szerokości ciągnie się przez cały step wąski, ludzką ręką urządzone lasek, ale to nie można nazwać lasem. Linia kolejowa wśród drzewek, zwłaszcza w stepie, gdzie nie tylko lasu ale nawet czasami i drzewka trudno dopatrzeć, bardzo ładnie wygląda, przynajmniej oko widza z wagonu ma na czym odpocząć, ptaszek usiąść, gniazdko uwić i zaświergotać, a tym sposobem podróżnemu niejedną chwilę uprzyjemnić, rozerwać, jakiegoś uroku dodać. Mój Michaś miał przygodę na stacji orłowskiej, bowiem zostawił blaszankę na gorącą wodę w wagonie, przeto biedaczek musiał biec parę wiorst do składu, bo już tam była przez żandarma złożona i odebrać. Wrócił ze swoją zdobyczą bardzo zmęczony, bo do tego był ciężko ubrany. Przedtem zgubił gdzieś swój stary kapelusz i zbił szklanę...

Za Orłem po wioskach widziałem bardzo nędzne domy, domki, a nawet lepianki – mało gdzie dom spotkałem, aby miał na dachu komin wystający, inaczej nazywany dymnikiem, Michaś nie mógł się z tym zwyczajem pogodzić.

Skutkiem Świąt wagony prawie puste całego pociągu wracały z Orła do Grazi, a stąd do Carycyna [obecnie Wołgograd, d. Stalingrad – przyp. red.], np. nas tylko dwóch było w wagonie. Zupełna swoboda. Na niektórych stacjach ktoś wsiadł i znowu wysiadł...

Carycyn. W Lublinie, nim wyjechałem w podróż, zaznajomiłem się z panem Białym, inżynierem, naczelnikiem dystansu, mieszkającym w Carycynie przy wołkodońskiej żelaznej drodze. Temu to panu Białemu dnia 24 grudnia o 11-tej w nocy 1898 roku umarła w szpitalu św. Wincentego, w tym samym pawilonie, w którym i ja miałem numer, matka – śp. Zofia. Na pogrzeb właśnie jej przyjechał pan Biały z bratem swoim, przebywającym czasowo u niego. I przy tej sposobności, gdy się dowiedzieli o wszystkim, że w tamte strony wyjeżdża ksiądz

ze szpitala lubelskiego, nie omieszkali mnie nawiedzić z siostrą, która była przy matce, śp. Zofii, i na wszystko prosili, żeby wprost z kolei z rzeczami zajechać do domu państwa Białych, a nawet pan inżynier list do swojej żony zostawił na moje ręce, abym miał wyraźny adres gdzie mam zamieszkać przynajmniej kilka miesięcy a może i dłużej jeżeli się uda zrobić, że zostanę w Carycynie.

Toteż jak tylko przyjechałem do Carycyna, chociaż było późno w nocy, a wiedząc, że długo u państwa Białych siedzą wieczorem, natychmiast kazałem się wieźć dorożkarzowi do inżyniera, naczelnika dystansu, pana Białego. A ponieważ brama już była zamknięta u państwa Białych i trudno było się dostukać do stróża, przy tym nie kazałem niepokoić, chociaż jeszcze się świeciło w mieszkaniu, poleciłem dorożkarzowi, aby nas zawiózł do porządnego lokalu i tam stanąłem. Nazajutrz posłałem Michasia do państwa Białych, że życzę sobie mieć mszę, bo to była niedziela. Wkrótce przyjechał po mnie pan K., doktor, teść pana Białego i zabrał do domu państwa Białych. Pan Biały już wrócił z Warszawy przed paru dniami. Mszy św. nie mogłem mieć tego dnia, ponieważ nic nie było gotowego a moje aparaty zostały na foksalu i było za późno po wszystko posyłać, zaś zarządzający kaplicą gdzieś o pięć wiorst mieszkał. Przynajmniej następnych dni odprawilem dwie msze prywatnie po misjonarsku.

Dom modlitwy katolicki zaopatrzony w ładne rzeczy – aparaty, utensylia, bardzo mi się podobał. Państwo Białowie też, bo religijni, dbający o dobro kaplicy i całej katolickiej kolonii, kochający swoją narodowość, patrioci, uprzejmi, serdeczni, gościnni. Koniecznie chcieli, żebym zgodził się na zebranie doktorskiej komisji w Carycynie, ale mnie już się uprzykrzyły komisje i przekonałem się, że lekarz miasta – niechętny. Kiedy z panem Wojewódkim, urzędnikiem z biura pana Białego, zameldowaliśmy policmajstrowi, że jestem chory i chciałbym w Carycynie pozostać, pan pułkownik powiedział, że to od niego nie zależy tylko od pana Iwanowa, lekarza. Poszliśmy natychmiast do pana Iwanowa raz, drugi, trzeci, bo trudno go było zastać w domu. Nareszcie zrobił oględziny pobieżnie i oznajmił, że będzie odpowiedź w policji, z nami mało chciał rozmawiać, a na wtrącone słowa pana W., że ksiądz się chce leczyć, odpowiedział, że trzeba latem. Udaliśmy się do policmajstra, tam nam oznajmili, że pan Iwanow utrzymuje, że zdrowie księdza dobre na miejsce naznaczenia. Pojechał sam pan B. do policmajstra zaświadczyć, że ksiądz chory, pan policmajster radził ażeby napisać zawiadomienie do niego o naznaczenie komisji, bo pan Iwanow może się mylić. Nie przystałem, bo uważałem, że komisja nie będzie chciała kompromitować pana I. i sobie nie chciałem robić nieprzyjemności, wrażeń, również i innym kłopotu, jakiejś różnicy. Stanowczo dałem znać do policmajstra, że chociaż ksiądz chory to jedzie w drogę, [jak] będzie zachodzić potrzeba [to] poprosi gdzie dalej o komisję. Droga była ani po wodzie ani po lodzie, ani sanna ani też wozowa, wybrałem tę ostatnią.

Wyjazd z Carycyna. Tatarzy astrachańscy na 15 wozach jednokonných przywieźli towar do Carycyna i wracali wieczorem 11 stycznia do domu. Otóż z tą konną karawaną tatarską wysłałem naprzód Michasia z rze-

czami, a sam późno wieczorem odprowadzony zostałem przez pana W. na stację kolei. Pożegnałem go, dziękując mu za jego dobre serce, zanotowałem go sobie w pamięci i pojechałem koleją do Sarepty, aby się połączyć z karawaną, gdzie na mnie czekała z Michasiem. Od stacji kolei żelaznej do Sarepty około trzech wiorst drogi. Poszedłem pieszo, bo nie było żadnej furmanki. Wśród ciemnej, 12-stopniowej mroźnej nocy kierowałem się światłem, jakie widziałem w Sarepcie. Na drodze spotkałem człowieka jadącego do kolei i niedługo karawanę dążącą do Carycyna, wreszcie wracał ów człowiek od kolei, dałem parę złotych i przywiózł mnie do zajazdu. Po długim szukaniu nareszcie znalazłem w kącie karawanę, przy której jechał Michaś z rzeczami. Tej nocy oka nie zmrużyłem.

Sarepta dosyć mi się podobała, są ładne domy. O godzinie 9 rano siadłem na tatarski ciężki stepowy wóz, wysłany sianem, rogożami i dywanami, koło mnie Michaś, na drugim wozie mój kufer i ruszyliśmy w step.

Zwyczaje karawany. Jadą przez step bardzo wolno, noga za nogą, od 7 do 8 mil robią na dobę, co 3 lub 4 mile odpoczywają, konie poją, karmią – „popas”. Tatarzy nazywają to „prażka”, wiozą ze sobą baraninę, krupy, suche obwarzanki, przynajmniej raz na dobę na stacjach po siolach każą sobie kacapkowi gotować ową baraninę z krupami w rodzaju zupy i samowar ogromnych rozmiarów lub dwa mniejsze nastawiać, swoją herbatę zasypują, gdy już wszystko gotowe siadają około stołu, do syta najadają się i w końcu herbatą zapijają, cukier na zakąskę i obwarzanki, czasami tylko samą herbatę piją, zaś baraniny nie jedzą, czyli owej zupy tatarskiej. Apetyt mają wielki, wilczy, i nic dziwnego, ludzie młodzi, zdrowi, na świeżym powietrzu przy uciążliwych podróżach i raz lub dwa razy na dobę się posilają, ale porządnie. Na stacjach odpoczywają, przesypiając się, razem wzięwszy, od pięciu do siedmiu godzin. Po drodze zabierają pasażerów dążących do Astrachania lub gdzie dalej na Kaspijskie Morze, np. jak ja jechałem, oprócz nas dwóch przyłączyło się do karawany dziesięć osób, wiodących karawanę czterech ludzi.

Hasło karawany. „Tapta” wołają przeciągłym głosem i „adzia” krótko, urywkowo. Na „tapta” staje karawana, a na „adzia” rusza się, te słowa bardzo często dają się słyszeć, bo na 15 wozów i 17 koni musi coś zajść, np. zepsuć się, koń zachoruje, niepokoi się lub spotykają się karawany obok przechodzące. Karawany konne bardzo rzadko można widzieć, ale wielbłądów to co godzinę, a czasami i częściej. Zwykle przewożą w beczkach dużych ryby mniejsze, a duże ryby w rogożach, najwięcej przewieźli sandaczy.

Śmiałość Tatarów posunięta do wysokiego stopnia, było ich kilku przy karawanie. Najśmielszy był do bezczelności Baraban, „prowodyr” karawany. Wszędzie musiał zajrzeć, widzieć, wypytać się, wiedzieć co myjemy, pijemy, robimy z Michasiem. Dziwił się dlaczego tak go lubię, ufam mu, że wszystkim dzielię się z nim, a do tego ów Baraban był zazdrosny, niedowierzający, chciwy, złośliwy, prędki...

I tak dostrzegł, że daliśmy furmanowi, kacapkowi, będącemu na ich stole tłustej wędliny, którą zjadł zaraz, robił mu brutalne wymówki, mówiąc: „Byłeś na pół Ta-

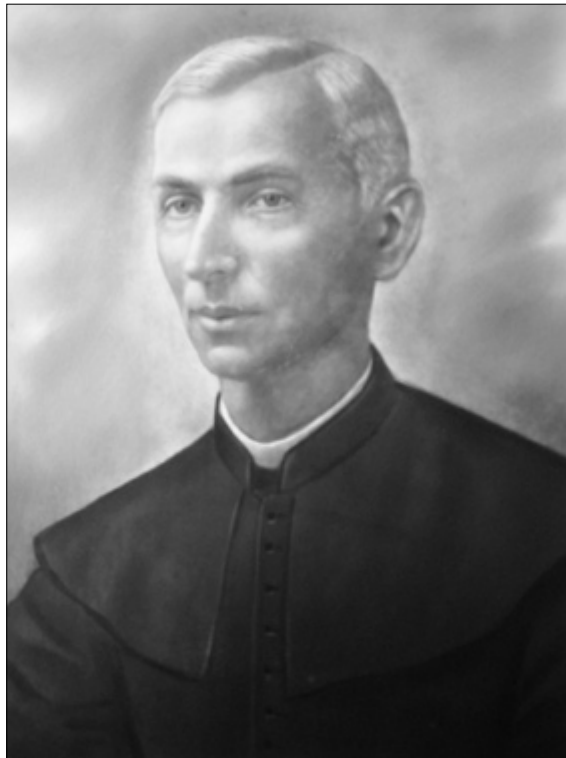
tarem, a obecnie... nie wiadomo co...". Kacap odciął mu się i zmieszał go z błotem...

Sternik, pasażer, popędził konia na dobrej drodze, cała karawana zaczęła jechać klusem. Baraban krzyczał: „Co to na was, pożar?” i inne wtrącił słowa. Kacapka jechała na trzecim wozie od końca karawany, podobno w becze, jak mi mówił Michaś, koń jej, a za nim zaraz przedostatni i ostatni z wozami, puścił się do koni kirgiskich pasących się po prawej stronie Wołgi, konie kirgiskie przez rzekę i za rzekę w step, tatarskie konie za nimi. Kacapka zamiast wołać na konie powstrzymująco, to ona przeciwnie, ze strachu wołała podburzająco: ala! ala! Natychmiast Tatarzy wyprzęgli z wozów konie, popędzili na koniach za rzekę i połapali swoje konie z wozami. Biedna baba miała dużo nieprzyjemności od złośliwego Barabana, wymyślał jej, bluźnił, że woła „ala! ala!”, długo jej pamiętał. Ona tłumaczyła się, że nie wiedziała czy żyje na świecie. To szczęście jeszcze, że w tym miejscu była Wołga zamarznęta dobrze, bo w wielu miejscach był bardzo słaby lód albo wcale go nie było. Przerazenie nasze było wielkie, że to napad na karawanę i to wśród nocy, daleko od wsi.

Zwyczaj po wsiach, jakie widziałem nad dolną Wołgą.

W każdej wsi lub mieście jest cerkiew prawosławna, jedna do drugiej podobna: na przedzie wysoka wieża, w której mieszczą się dzwony. Domki drewniane z kilku oknami i małymi izbami, zwykle kuchnia, pokój i sypialnia. W pokoju w kącie zawieszono obrazy, urządzone w rodzaju ołtarzyka, przed którym lampka się pali. W takim pokoju nie śpią, papierosów nie palą, wszyscy czapki zdejmują. Wchodzący prawosławny najpierw zęgnie się i kłania przed obrazem, następnie dopiero pozdrowia mieszkańców, wita się i życzliwie życzenia składa, jeżeli jest jaka uroczystość. Mnie zawsze prosili do takiego pokoju. Wszędzie zastawałem w domkach czysto, podłogi, ściany, ławy, kanapki umyte, w niektórych mieszkaniach kolorowymi papierami, jeżeli nie cała ściana, to przynajmniej kawałek wyklejony, spotykałem sianem podłogi wysłane. Słyszałem śpiewy, jakie wykonywały poza oknami najpierw gromadki dzieci, a później młodzież wieczorem w wilię Nowego Roku. Coś w rodzaju naszej kolędy. Ale zauważyłem, że jak tam u nas, tak i tutaj nie są zadowoleni z tego zwyczaju, bo nic dzieciom nie dali z tego domu, w którym mieliśmy popas, wypoczynek, a nawet szemrano, że bez kawałka chleba trzeba by zostać, gdyby chcieć wszystkim gromadkom wynagrodzenie dać. Dzieciaki to jeszcze zwinnie szczebiotały delikatnymi głoskami, ale młodzież to po prostu trzeszczała, pisk. Na okólniki obok domków prowadzą bardzo ładne wysokie

bramy, wcale nie odpowiadają wielu domom. Z frontu od drogi jest wysoki parkan i taka brama, a poza domem okólnik ogrodzony też wysokim, z łożyny plecionym płotem i tu się mieści obórka, stajnia, wystawka, stosownie do gospodarstwa. Na okólnikach bardzo często można widzieć karawany: jedne wyjeżdżają, drugie przyjeżdżają. Nasza karawana najwięcej tamtejszych mieszkańców interesowała, konie. Tatarzy mieli dobre, ładne, pierwszy szczególnie się wyróżniał, postępował z silnym dzwonkiem, dalej wysoki mój kufer, różnej narodowości osoby i w odpowiednich ubraniach, nasz wóz wysłany rogożami, dywanami, obok nas tobołki, na nogach futro, po bokach, aby było wygodniej i bezpieczniej we dwóch siedzieć, kazaliśmy przynajmniej z drążków zrobić oparcie, a później dali nam jeszcze drugiego konia i przywiązali



Ks. Antoni Pajdowski (w późniejszych latach)

dzwonek. Postawiłem od burki kaptur, to już paradowaliśmy, jak jacy mandaryni – skutkiem czego powtarzali: „Kakoj to baryń jediot” – bawiło wielu, dziwiło.

Widok stepu. Uczucie.

W dzień znośniej podróżować, czasami ogrzewało, więc cieplej, można widzieć karawany, telegraf rzucony przez step, Wołgę, obok których jedzie się i służą za drogowskaz, gdzieś pagórki, niziny, wąwozy, drzewka nad „matuszką”, tj. Wołgą, rzadko siola a jeszcze rzadziej miasta. Natomiast przed nami pusta, bezludna i niezmiernie rozciąga się równina. Gdziekolwiek rzucimy okiem, wszędzie widzimy tylko smutną, jałową pustynię, pozbawioną wszelkiego ruchu i życia. Po krótkim pobycie wśród tego okropnego pustkowiecia uczuwa każdy mimowolne przygnębienie i dziwny smutek. Może, drodzy moi, niejednym z was wzdychał i tęsknił już nieraz za samotnością i będąc znudzony całodzienną pracą lub przygnębiony troskami pragnął znaleźć się choćby na chwilę w zupełnym odosobnieniu od ludzi i ich gwaru. Tu przeciwnie, każdy całkiem odrębnego doznaje wrażenia i pragnie czegoś zupełnie innego. Przeraza go samotność i głucha cisza panująca dookoła oraz nieubłagana konieczność ciągłego podróżowania. Oprócz odgłosu karawany nie słychać zresztą żadnego innego dźwięku, grobowe zaś to milczenie dziwnie ponuro nastroja duszę.

Nie widać nigdzie najmniejszego śladu życia, choćby nawet dymu z ogniska, roznieconego w jakiejś wiosce lub obozie. Często tylko zimny powiew wiatru dziko i posepnie zagwizdże koło uszu albo ustawicznie dmie dojmująco, zgryźliwie. Znudzony wędrowiec natęży uwagę, nadśluchuje, przygląda się powierzchni gruntu, starając się na niej odkryć jakąś roślinność, lub mierzy okiem cały otaczający go widnokrąg. Czasami ujrzy wieże cerkwi,

nim zajdzie do sióła, to znika kilkanaście razy, bo przedziela wielka przestrzeń.

Wzrok ma gdzie bujać swobodnie po tych niezmiernych stepach, które wyobrażnia zaludnia dzikimi hordami minionej przeszłości, napelniającymi przerażeniem, trwogą w owe czasy połowę Europy aż po Niemen i Wisłę. Dziś tu cicho i spokojnie, a ci władcy sprzed czterech wieków legli w prochu zapomnienia i z ich potęgi śladu nawet nie zostało. Nie lubię w zasadzie podróży odbywać w nocy, w tym wypadku musiałem się zastosować do zwyczajów karawany i nie uważać na noc, ciemność, wiatry, zimno, nudy, przykrości, niewygody, zmęczenia, bezsenność, głód, pragnienie i nieprzyjemne wrażenia. Nieraz przeprowiadając się w nocy, do tego ciemnej, nad przepaściami Wołgi, zdawało się, że jedno złe poruszenie konia przyprawi nas o wypadnięcie, potłuczenie, kalectwo, zamoczenie, zaziębienie albo i samą śmierć.

„Strach ma wielkie oczy” – mówi przysłowie. Wszystko, co widziałem w nocy z daleka a nawet i z bliska, przybierało w moich oczach jakieś kształty dziwne, wszędzie coś dostrzegałem niby niebezpieczeństwo, albo że ktoś idzie, jedzie lub tuż domy, wioska, góry, aż wreszcie przekonawszy się, że to co brałem za postać ludzką, karawanę, domy, wieś, drzewa, lasek było po prostu polem, step, obłoki, przestrzeń, chwasty... złudzenie, biedny, zniechęcony podróżnik z gorzkim zawodem w sercu w dalszą puszcza się drogę, chociaż pragnął zaraz odpocząć, ogrzać się, przyjąć lekarstwo, posilić się, położyć do snu – musiał parę mil jechać albo iść przy karawanie, kiedy był bardzo zziębnięty, aby ogrzać się przynajmniej tym sposobem i urozmaicić czas, przerwać nudy. Michaś ubrał się w moje futro, siadł obok mnie, przytulił się do mego ramienia i spał w najlepsze, tylko mu czapka często spadała, której po każdym przebudzeniu zaniepokojony szukał koło siebie z narzekaniem: „Oj! Oj!”, obawiając się, aby w stepie nie została sama, szczęście, że zawsze po usunięciu się z głowy umieszczała się na wozie, przeto łatwo była odszukana i zaledwie zdażyła się ogrzać, znów swobodnie używała ruchu po wozie... Dobrze, że mógł spać w czasie pochodu karawany, ponieważ miał zajęcie na stacjach. Jak na głośniejszych stacjach kolei żelaznej, gdzie przesiadaliśmy się, wynosił rzeczy z wagonu na foksal, z foksalu do wagonu, pamiętał o ruchu pociągu, przygotowywał do herbaty; tak samo na popasie karawany znosił rzeczy do izby, przygotowywał do stołu, spania malutkiego, jedno futro służyło za materac, drugie za poduszkę a burka za koldrę, znów sprzątał ze stołu, pakował, wynosił rzeczy na wóz, nakrywał, szykował co było potrzeba do stołu, np. chleb, cukier w sklepie kupił, zuch. Ja już o nic nie potrzebowałem się troszczyć, zupełnie byłem sobie spokojny. Michaś swoją grzecznością, potulnością, dobrocią, wszystkich sobie zjednał, lubili go i pieszczotliwie nazywali „Miszą”. Bawił wszystkich naiwnością.

W końcu zaznaczyć trzeba na pochwałę stepowych mieszkańców, że doznałem od nich grzeczności, uprzejmości, szacunku. Ja dla nich wiele dobrego zrobić nie mogłem, bo oprócz też grzeczności z mojej strony, wdzięczności i tego, że mogli mi się przyglądać ze wszystkich stron, mówić o mnie, ponieważ nigdy nie widzieli księdza

katolickiego, innej przyjemności im nie uczyniłem. Idąc za przyjętym zwyczajem, za „kipiatok” i izbę płaci się kilka kopiejek, ale ja, jako ksiądz, „buryń”, kilkanaście kopiejek, tj. trochę więcej, dodawałem, dziękując, przepraszałem za różnicę i kłopot z nami. Byli z tego bardzo radzi i miłe uczucie w nich wywoływało – uspakajali po swojemu, że nie szkodzi.

Tatarom również oprócz należności 10 rubli dodawałem 2 ruble na herbatę, za ich grzeczność. Byli też kontenci i podziękował mi Baraban. W ogóle na całą podróż rozeszło mi się do 100 rubli, bo nas było dwóch, towarzysza wzięłem na swój koszt.

Michaś mówił, że matka jego poleciła mu prowadzić rachunek rozchodów w podróży i koszty wspólnie ponosić, lecz ja na to nie zgodziłem się. Mnie łatwiej. I tak doceniam ich dobroć, tym więcej, że chociaż odradzałem Michasiowi podróży, on jednak przygotował się i pojechał...

Skutkiem lekkiej zimy i krótkich mrozów w Astrachaniu był słaby lód na Wołdze, pękał więc we wszystkie strony i pełno było szczelin niebezpiecznych. Przeto nie wolno było po lodzie przejeżdżać końmi, tylko niektóre osoby i rzeczy przeprowiadali na lekkich sankach lub przechodzili pieszo, myśmy wybrali to ostatnie. Rzeczy dwóch ludzi przewiozło na sankach, a ja z Michasiem i Tatarzy, zostawiwszy swoje konie w zajęździe, przeszliśmy bardzo ostrożnie pieszo. Dowiedziałem się od Tatarów, że kościół katolicki jest od Wołgi niedaleko, bo tylko parę wiorst. Poleciłem Michasiowi jechać z rzeczami w tę stronę a sam poszedłem jeszcze pieszo przez kilka krętych ulic, pytając się po drodze od czasu do czasu o kościół katolicki. Nareszcie znalazłem się w kościele katolickim, na drugiej stronie miasta, ulica Łukowska, obok Katolicka, blisko kanału i mostu. Kościół murowany, duży, nadspodziewanie piękny, swoją strukturą tak zewnętrzną, jak i wewnętrzną, bardzo miłe robił i robi na mnie wrażenie. Wychodząc z kościoła, wywołałem zakrystiana i spytałem się, czy nie można obok kościoła znaleźć mieszkania, przynajmniej tymczasem, gdziekolwiek złożyć rzeczy, aby furmanka nie stała z rzeczami na ulicy. Otrzymałem miłą odpowiedź, że można tutaj, wskazał zakrystian ręką na probostwo.

Gdy tak rozmawiamy, widzę szanownego księdza proboszcza miejscowego przed sobą, który na widok przyjeźdnego księdza powiedział ucieszony nadzwyczaj: „Anioł mi księdza zesłał! Właśnie staramy się o drugiego księdza, bo ja jako chory wyjeżdżam na kurację za granicę. Proszę”. Zaprowadzony zostałem na piętro do gościnnego pokoju, gdzie i moje rzeczy złożono. Jakiś czas ze mną i Michaś mieszkał, a później przeniósł się do zakrystiana.

Data przybycia mego do Astrachania przypadła na dzień 7/19 stycznia 1899 roku rano. Mszy św. tego dnia nie miałem, skutkiem wielkiego zmęczenia utrudniającą podróżą. Koleją żelazną jechałem blisko cztery dni, odpoczynku w Carycynie też cztery dni i furmanką przez stepy siedem dni, pieszo z rozmaitych powodów szedłem parę mil, czyli około 9 godzin. Na stacjach główniejszych dosyć używałem ruchu, spacerując, a nawet i w wagonach na kolei.

Biogram ks. Antoniego Pajdowskiego był opublikowany w „Głosie Ziemi Urzędowskiej” 2010, s. 99.

Wspomnienia Dominika Wośki

– ciąg dalszy

Po dwuletnim okresie nauki i ukończeniu przez Dominika szkoły ludowej, nieoczekiwanie pojawiła się możliwość kontynuowania edukacji, bowiem w 1906 r. powołano w Urzędowie Progimnazjum z polskim językiem nauczania. Gdyby nie to wydarzenie, zapewne pozostałby przy rodzicach i tak jak inni jego rówieśnicy wykonywałby pracę w gospodarce na roli. W tej części opisuje okoliczności, które miały zadecydować o dalszych kolejach jego życia. Poznajemy nauczycieli, warunki lokalowe nowej szkoły i życie szkolne.

Nowa szkoła Jagiellońska, 1906

Niedziela, maj, wcześniej niż to zwykle czyniłem przebrałem się w świąteczne ubranie i wyszedłem przed dom, stanąłem na wzgórk, gdzie kiedyś był piec do wypalania garnków i obserwowałem jak ludzie grupami szli do kościoła. Przeszli obok mnie Jan Chęciński, uczeń nowo powstałej szkoły polskiej – Gimnazjum im. St. Staszica (w Lublinie), Lizinkiewicz, pisarczyk gminny, i Zygmunt Turkowski, uczeń rosyjskiego gimnazjum. Rozmawiali między sobą o czymś ciekawym, bo coraz to wybuchali głośnym śmiechem. Zauważyłem, że w rozmowie używali języka literackiego, a nie gwarowego, którego używali mieszkańcy Bęczyna i samego Urzędowa. Tak doszedłem w niewielkiej odległości od nich do rynku... Tak się złożyło, że w kościele stanąłem obok Julka Tyza, ucznia nowej szkoły w Urzędowie. W rękę trzymał swoją okrągłą, granatową z niebieskim otokiem czapkę. W środku czapki na całej powierzchni nakrycia była kartka papieru z napisem dużymi kształtnymi literami „Szkoła Jagiellońska w Urzędowie”. Jak ja mu zazdrościłem, że może dalej się uczyć, w dodatku w nowej szkole. Napis ten tak mnie zainteresował, że o niczym nie myślałem, tylko o tej czapce i nazwie szkoły. Wracając do domu po nabożeństwie, widziałem jeszcze kilku znajomych uczniów w takich samych czapkach. Minęli mnie Ignacy Wośko z Mikuszewskiego, Hilary Grzebuła z Bęczyna i inni.

Po żniwach, w niedzielę spotkałem się z Piotrkim Gozdalskim z końca Bęczyna. Zaprosiłem go do odwiedzenia mnie w godzinach przedwieczornych. Chętnie się zgodził. W rozmowie pytałem się go czy trudna jest nauka w kl. wstępnej nowej szkoły, kiedy nowych uczniów będą przyjmowali. W czasie tej rozmowy wszedł do mieszkania mój ojciec. Piotruś włożył nową czapkę na głowę i zabierał się do wyjścia. Prosiłem go, aby mi pozwolił przymierzyć czapkę, na co chętnie się zgodził. Ojciec przez ten czas, zapalając papierosa, obserwował Piotrka i mnie z lekka uśmiechając się. Odprowadziłem kolegę do kapliczki i wróciłem do domu. Utkwił mi w pamięci ten szczegół, że ojciec nic nie mówiąc uśmiechnął się. Minęło kilka dni. Po kolacji ojciec mimochodem powiedział, że dokupi do karego drugiego dużego mocnego konia, nowy mocny wóz i ja będę zarabiał końmi, przewożąc do sklepów towary

i świnie po każdym jarmarku. Popatrzyłem na ojca i pomyślałem, skąd mu to do głowy przyszło. Kontynuował dalej, że Starok z podlesia w ten sposób dobrze zarabia. Nie namyślając się długo odpowiedziałem, że furmanem nie będę, bo do tego nie mam zdolności. Ojciec zmarszczył brwi i powiedział „Ja wiem, że ty chciałbyś pójść na lekki chleb”. Pewnie chciałbyś być organistą i razem z księdzem paradować po kościele. Powiedziałem, że do tego jest potrzebna długa droga i niełatwa nauka. Musiałbym najpierw skończyć jakąś większą szkołę. Na tym rozmowa się urwała. Poprosiłem stryja Józefa, aby poszedł ze mną do nauczyciela i nowej szkoły, aby tam się zapisać i uczyć razem z innymi chłopcami. Stryjek przyrzekł mi, że o tym porozmawia z moim ojcem. Na drugi dzień spotkałem go na ulicy i poprosiłem jeszcze raz. Wieczorem po zachodzie słońca udaliśmy się do miasta. Weszliśmy do kuchni. Tam zastaliśmy matkę kierownika szkoły, od której dowiedzieliśmy się, że syn Franio nie wrócił jeszcze z wieczornego spaceru. Jak wróci, to mu o tym powie. Rozejrzałem się po kuchni i zauważyłem prócz naczyń kuchennych wiszące na ścianie skrzypce o 2 strunach i smyczek. To mi nasunęło myśl, że te skrzypce od dłuższego czasu nie były używane. Po wejściu syna matka wskazała na mnie mówiąc, że chcę się zapisać do szkoły. Nauczyciel kazał mi siaść przy kuchennym stole, postawił kałamarz z atramentem i położył pióro i kartkę papieru. Podyktował mi parę zdań: w ogródku rosną różne kwiatki i inne zdania, których dziś nie pamiętam. Charakterem pisma, a zapewne i treścią nie był zachwycony. Przecież minęło 2 lata od chwili mego ostatniego pisania piórem. Przepytałem mnie bardzo krótko z tabliczki mnożenia. To wypadło lepiej. Popatrzył na mnie krótką chwilę i zapytał, czy naprawdę chcę się uczyć. Odpowiedziałem „Bardzo chcę”. Rozłożył ręce i powiedział: „No cóż! Przyjmuję cię, ale musisz dobrze pracować, bo my już przerobiliśmy dużo materiału od 5 września”. Na pożegnanie ukloniłem się jak najgrzeczniej i opuściliśmy kuchnię. Na zakończenie pan Franciszek Brzozowski przypomniał, abym przyszedł do szkoły przed godziną ósmą. Do domu nie szedłem, a „leciałem na skrzydłach”. Wtajemniczyłem o tym babcię, która następnego dnia przed odejściem do szkoły dała mi ½ rubla (pięćdziesiąt kopiejek) w srebrze. Nowy pan polecił nauczycielce p. Decjusz wpisać mnie do dziennika na listę uczniów następnej klasy. W ciągu jednej godziny byłem biernym uczniem, gdyż nie miałem z sobą ani książek, ani zeszytów. Na pierwszej przerwie kupiłem komplet zeszytów u Abramka, a po lekcjach książkę do języka polskiego. Na drugi dzień po otrzymaniu pieniędzy od ojca skompletowałem resztę podręczników do języka rosyjskiego, arytmetyki i blok rysunkowy. Teraz już byłem uczniem Szkoły Jagiellońskiej w pełnym tego słowa znaczeniu. Zamówiłem u czapnika, Żydka, nową uczniowską czapkę, którą odebrałem po kilku dniach. Nie mogłem się nią nacieszyć. Używałem jej tylko, gdy

szedłem do szkoły. W domu nosiłem starą, dawniej używaną czapkę. Wracalem do domu w towarzystwie kolegów: Piotra Gozdalskiego, Karola Lizinkiewicza, Stanisława Tarkowskiego, Romana Jagielly, Zygmunta Wojtuszkiewicza, Romana Jacniackiego, Stanisława Więckowskiego.

Nauka w klasie wstępnej

Do klasy prowadziły drzwi od strony zajazdu Więckowskiego, po trzech stopniach schodów. Przed dwoma laty w tej sali była herbaciarnia. Naprzeciwko drzwi wisiała tablica szkolna, a przed nią stał długi sosnowy stół na krzyżakach dla nauczyciela. Izba zastawiona była dwoma rzędami kiluosobowych ławek. Ściany były malowane niebieską farbą kredową z brązowymi ornamentami. Przy tablicy na ścianie wisiał krzyż i podział godzin (zamiast carów, jak to było w szkole ludowej). Podłoga była malowana brązową olejną farbą. W jednym kącie sali był wieszak na palta i czapki. Ale najważniejszą różnicą było to, że tu panował język polski na wykładach i w czasie pauzy. Uczyliśmy się 5 godzin z 20-minutową przerwą między 3. i 4. godziną lekcyjną. Wszystkie godziny były wypełnione głośną nauką nauczyciela. Prace piśmienne były zadawane do domu. Wzywany(a) uczeń(nica) podchodził do stołu względnie tablicy, szarmancko kłaniał się nauczycielowi i odpowiadał na pytania, odchodząc na miejsce powtórnie się kłaniał (tego nie było w szkole ludowej). Nauczyciel w notesie stawiał uczniowi odpowiedni stopień. Klasa była nieliczna. Nauka była płatna w wysokości 5 rubli kwartalnie. Po kilku dniach mojej nauki zostałem wezwany przez p. Decjusza do odpowiedzi z jęz. polskiego. Nie wiem, co spowodowało, że przy ostatniej odpowiedzi rozplakałem się, choć na wszystkie pytania dałem odpowiedzi zadowalające. Nauczycielka i uczniowie z politowaniem spoglądali na mazgaja. To się więcej nie powtórzyło.

Kierownik szkoły p. Brzozowski uczył nas arytmetyki, jęz. rosyjskiego, rysunków i gimnastyki. P. Decjusz uczyła jęz. polskiego, religii, kaligrafii. Przerwy w nauce spędzaliśmy na rynku, grając w piłkę lub w palanta obok szkoły, kościoła i apteki Michalewskiego w narożnym domu Dzikowskiego. W czasie dużej przerwy nauczyciele udawali się do swoich mieszkań na drugie śniadanie, a mieszkali w tym samym domu. Blisko mieszkający uczniowie również biegli do domów, a my, co mieszkamy daleko, spożywalismy suchy prowiant przyniesiony z domu w klasie.

Stosunki koleżeńskie w szkole

Najlepiej czułem się w życiu i zabawie ze znanymi kolegami, synami rolników, takimi jakim byłem i ja. Życie i bycie innych obserwowałem z dala. Wyróżniałem się w klasie pracowitością, mniej zdolnościami. Nie mogłem się równać z Fintówną, córką sekretarza Sądu Pokoju, jej kuzynem Wilczyńskim, Pyzem z Wodnej i Matyldą Pytlakowską, siostrą profesora gimnazjalnego w Lublinie, późniejszego kuratora Okręgu Szkolnego Warszawskiego, i Kotlińskim, synem organisty. Oni,

przyzwoicie ubrani, zaopatrzeni w pomoce naukowe, teczki na książki, a nie tak jak ja: w podniszczonym garniturze, w butach z cholewkami i nie zawsze oczyszczonych, lnianej koszuli. Książki nosiłem zapakowane w chustkę. Przybory pisemne w futerale papierowym. Drugie śniadanie składało się z dwóch kromek chleba posmarowanych nie masłem, a zwykłym olejem lnianym lub rzepakowym. Duży procent kolegów i koleżanek pochodził z oddalonych miejscowości: Kraśnika, Bobów, Moniak, Chodla, Wierzbicy, Chruslanek, Dzierzkowic, Popkowic itp. Początkowo stronili od nas urzędowiaków – rolników. Z końcem roku różnice stanowe zaczęły się zacierać i poziomy w nauce i zachowaniu również.

Dominik zaliczył klasę następną w roku szkolnym 1907/1908. Nauki zakończył w II kl., bowiem ojciec uznawał, że na tym powinien zakończyć swoją edukację, gdyż jest potrzebny w domu do roboty. Stwierdził, że już nauczył się dużo, potrafi szybko liczyć i nie da się oszukać Żydom i będzie umiał napisać list, jak pójdzie do wojska. Nie wzruszył ojca płacz syna, ten musiał przerwać naukę. Jak pisał:

Nie było innego wyjścia, musiałem zabrać się do pracy i pomagać ojcu w gospodarstwie. Wpadł mi pomysł, aby wykorzystując zdobytą szkolną wiedzę utworzyć komplet dzieci i rozpocząć z nimi naukę w okresie zimy. Pomysł spodobał się ojcu, bo w ten sposób mógł zarobić. Na te lekcje chodziło około 15 dzieci. Pobierane opłaty wzbogaciły jego kasę.

W ten sposób zdobył przychyłność ojca. W roku szkolnym 1910/1911 mógł kontynuować naukę w swojej wymarzonej szkole. Tak Dominik opisuje uroczyste zakończenie roku szkolnego, który jest dla niego ukończeniem w Urzędowie Szkoły Jagiellońskiej (Progimnazjum):

Nauczyciele rozdali klasom wstępnej i pierwszej cenzury. Hempel zaś osobiście wręczał uczniom kl. II świadectwo ukończenia szkoły. Na zakończenie wręczono najlepszym uczniom nagrody w postaci książek. Do tych wyróżnionych należałem i ja. Przy wręczaniu nagród podawał każdemu rękę. Ojciec z macochą pierwszy raz byli świadkami takiej uroczystości. Ja dostałem książkę pod tytułem *Raclawice*, którą do dnia dzisiejszego przechowuję w swojej biblioteczkę. Po powrocie pokazałem w domu wszystkim świadectwo ukończenia szkoły z nagrodą i nowiutką książkę *Wskazówki dla kandydatów pragnących wstąpić do Seminarium Nauczycielskiego w Ursynowie*. Ojciec z macochą obejrzeni świadectwo, nagrodę i *Wskazówki*; przeczytać nie mogli, ponieważ oboje byli analfabetami. Ojciec zapytał, o czym mówił „Pan Dziedzic”, na co odpowiedziałem, że kazał mi przy podaniu ręki i nagrody dalej się uczyć, jeżeli chcę być naprawdę rzeczywistym nauczycielem. W porozumieniu z macochą w czasie obiadu powiedział, że jeżeli to powiedział, to musi dalej się uczyć. Właśnie o to mi najwięcej chodziło. Dziwię się, że „macocha”, która w literaturze przedstawiana bywa z najgorszej strony, ta moja macocha analfabetka chętnie zgodziła się na moją dalszą naukę w Ursynowie – dzisiejszej Warszawie, stolicy kraju, czego jej nie zapomnę do samej śmierci.

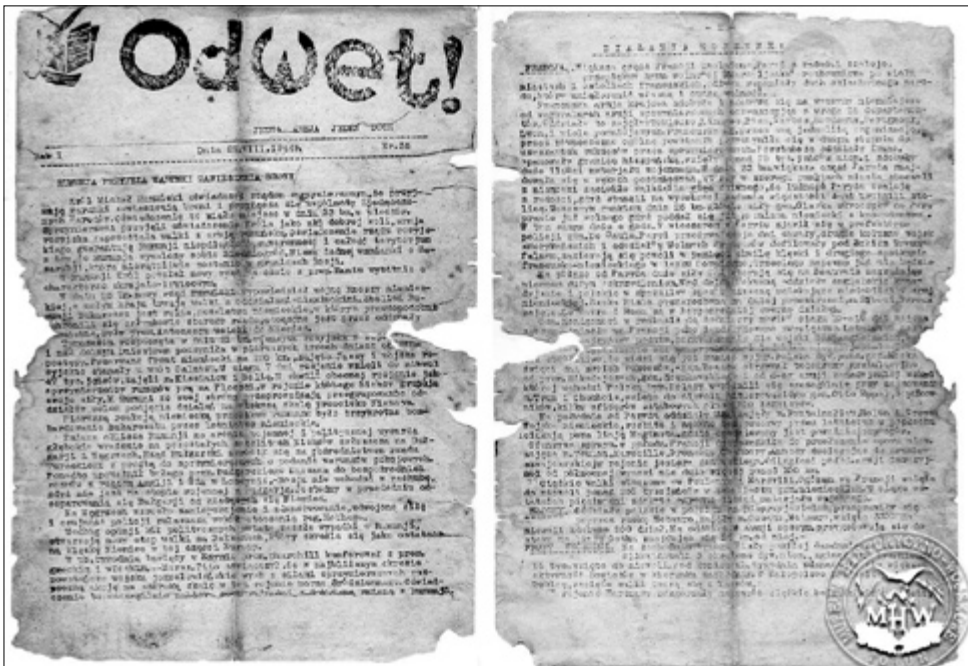
*Wybrał i przygotował do druku
Tadeusz Surdacki*

Edward Hieronim Ciosmak

Pod przykrywką zespołu muzyczno-wokalnego – konspiracyjny obieg informacji pomiędzy oddziałem „Jędrusie” a urzędowskim AK

Na pytanie jakie święto obchodzimy w Polsce 14 lutego, pada odpowiedź, że nie wiem, albo że jest to święto patrona umysłowo chorych, zakochanych i szaleńców. Czy tylko takie są powody świętowania tego dnia? Jednak nie, jest to święto szaleńców i to szaleńców patriotów, którzy nie wahali się pod terrorem okupanta hitlerowskiego założyć podziemną armię – Armię Krajową. 14 lutego 1942 r. Naczelnny Wódz gen. Władysław Sikorski oficjalnie przemianował Siły Zbrojne okupowanej Rzeczypospolitej (Związek Walki Zbrojnej) na Armię Krajową. W 70. rocznicę tej decyzji przychodzi czas na wspomnienia. Kiedy patrzę na pobłyskujący metalicznym blaskiem otrzymany z tej okazji medal, wracają lata, gdy wraz z rodzicami, bratem i siostrą mieszkaliśmy w Sobowie koło Tarnobrzega. Mój ojciec Mieczysław Ciosmak ps. „Mąka”, przed II wojną oficer 12. Pułku Ułanów Podolskich, o czym dowiedziałem się z publikacji książkowych dopiero w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, był zaangażowany w pracę wywiadu i kontrwywiadu Armii Krajowej. Był zastępcą szefa. Już w roku 1942 i aż do czerwca 1944, pod przykryciem zespołu muzycznego działał kanał przetrzutu informacji i broni z Sandomierszczyzny na Lubelszczyznę i odwrotnie. Działalność koncertowa zespołu obejmowała teren dóbr hrabiego Artura Tarnowskiego, obszar działań dywersyjno-bojowych zgrupowania Władysława Jasińskiego – „Jędrusiów”, a także po drugiej stronie Wisły, między innymi powiat kraśnicki, w tym Urzędów. Zespół założył wysiedleńca z poznańskiego, Jan Dobrowolski, absolwent konserwatorium w Poznaniu w klasie skrzypiec. Jan Dobrowolski podczas okupacji mieszkał we wsi Stale, w domu przy kanale odprowadzającym wody ze stawów hodowlanych do rzeki Trześniówki. Członkami zespołu, jego stałego składu byli: Jan Dobrowolski – dyrygent, pianino, mandolina, akordeon, skrzypce i inne instrumenty; Edward Hieronim Ciosmak – akordeon 120-basowy z registrami, marki Hahner, mandolina; Halina Ciosmak – akordeon, mandolina, pianino; Michał

Bolesław Marianowski – akordeon; Krystyna Ciosmak – akordeon, mandolina, skrzypce, gitara; Stanisław Sworeń – akordeon 80-basowy, mandolina; Władysław Rędzia – akordeon 80-basowy, skrzypce, mandolina. Od czasu do czasu do zespołu dobierano inne osoby dla uzupełnienia składu. Ośmioosobowy skład uzupełniali na przykład chłopcy z Mokryszowa lub Tadeusz Raczyński z Bukiego.



Zachowany egzemplarz biuletynu „Odwet” podziemnego oddziału „Jędrusie” (źródło: Internet, Muzeum Historii Wojska w Toruniu)

W grudniu 1939 r., dla celów propagandowych i aby zachować orientację, co się dzieje na froncie i w okupowanych przez hitlerowców krajach, ze zgromadzonych funduszy zakupiony został radiodbiornik marki Philips. Jeden taki był również w posiadaniu mojego ojca Mieczysława. Nie jest wykluczone, że wiadomości, najczęściej z Londynu, usłyszane między innymi z naszego radia, w innych zakonspirowanych miejscach także, spisywano i drukowano następnie w biuletynie podziemnym „Jędrusiów” początkowo pod tytułem „Biuletyn Informacji Radiowych”, „Wiadomości Radiowe”, a w późniejszym czasie „Odwet”. W „Odwiecie” ukazywały się artykuły treści patriotycznej i politycznej. Poruszano w nim takie sprawy jak ocena przyczyn klęski wrześniowej, życie Polaków pod okupacją rosyjską po 17 września, stosunki



W miejscowości Grębów. W tle kościół parafialny. Od lewej stoją: Władysław Rędzia, NN, Krystyna Ciosmak, Jan Dobrowolski, Stanisław Sworeń, Halina Ciosmak, Tadeusz Raczyński, p. Kobylarz – syn „Posełka”

niemiecko-sowieckie i inne. Najważniejsze było jednak to, że tygodnik „Odwet” był dla Polaków żyjących w warunkach „okupacyjnego piekła” nadzieją. Podtrzymywał na duchu, dodawał sił i zapału do walki. Był gazetą przynoszącą najświeższe wiadomości ze wszystkich frontów II wojny światowej, informował o wydarzeniach w okupowanym kraju, pouczał jak zachować się w konkretnych sytuacjach narzuconych przez okupanta, piętnował Polaków współpracujących z władzami niemieckimi. W życiu podziemnej Polski „Odwet” spełniał więc niezwykle ważną rolę.



W Sobowie koło Tarnobrzega. Od lewej: Michał Bolesław Marianowski, Jan Dobrowolski, Edward Hieronim Ciosmak, Halina Ciosmak, Stanisław Sworeń, Władysław Rędzia, Eulogiusz (Lolek) Ciosmak

Pismo konspiracyjne „Odwet”, a także pistolety, amunicję i meldunki przynosiliśmy w instrumentach. W przypadku akordeonów było to w części miechu. Inne instrumenty wypełniano w niewidoczny sposób. Nasz zespół koncertował najczęściej w kościołach między innymi w Stalach, Wielowsi, Grębowie, Tarnobrzegu, Radomyślu nad Sanem, Zaleszanach, Sandomierzu, Kraśniku, Urzędowie. Było to niezwykle niebezpieczne, chociażby z tego powodu, że łatwo było z ukrytym ładunkiem wpaść w ręce wroga. Ominęło nas jednak to nieszczęście. Wśród odbiorców lokalnych byli zakonspirowani członkowie oddziału Władysława Jasińskiego i ukrywający się człon-

kowie AK. Wśród nich Stanisław Sworeń ukrywający się w Porębach Furmańskich u pana Kobylarza ps. „Posełek” i u pana Kowala w gajówce w Poddębieniu, Waław Raczyński ps. „Sław” i mój ojciec w Sobowie. Z tych miejsc odbywał się rozdział broni, amunicji i dostarczonej bibuły. Po terenie poruszaliśmy się naszą bryczką i wozami, a w dalszych wyjazdach, jak w kraśnickie, jechaliśmy pociągiem. Towarzyszył nam zawsze Jan Dobrowolski, jako kierownik zespołu i dyrygent. Komu w Urzędowie prze-



Od lewej stoją: NN, NN, Jan Dobrowolski, 2 widzów, Halina Ciosmak, widz, Krystyna Ciosmak, Tadeusz Raczyński, Stanisław Sworeń

kazywaliśmy zawartość naszych instrumentów i od kogo pobierane były rzeczy do przewiezienia, nie pamiętam. Lepiej znałem osoby z okolic Tarnobrzega i Sobowa, gdzie wówczas mieszkałem. Zespół rozpadł się samoistnie. Jan Dobrowolski wraz z matką zostali rozstrzelani przez konspiracyjne podziemie. Była to najprawdopodobniej, moim zdaniem, tragiczna pomyłka, bo winy, o jaką ich posądzano, w wyraźny sposób nie udowodniono. Potem



We wsi Stale. W pierwszym rzędzie od lewej: Edward Hieronim Ciosmak, Halina Ciosmak, Krystyna Ciosmak, w drugim: Stanisław Sworeń, Jan Dobrowolski, Władysław Rędzia

ja i siostra Halina zaczęliśmy uczęszczać regularnie do szkoły, co uniemożliwiło w sposób niezauważony zorganizowanie częstych wyjazdów. Załączone do artykułu zdjęcia pochodzące z rodzinnego archiwum dokumentują skład zespołu i instrumenty, na których graliśmy.

ks. Aleksander Baca

„Solidarność” i stan wojenny w Urzędowie (Wspomnienie na podstawie Kroniki Parafialnej)

W roku 1945 kończyła się II wojna światowa. Polska wychodziła z niewoli niemieckiej. Niestety, już od lipca 1944 r. ojczyzna nasza dostała się w niewolę sowiecką, komunistyczną. Długo jeszcze trwały walki z nowym okupantem. Duża liczba walczących żołnierzy podziemia ginęła w bitwach, była wywożona na tragiczny Wschód, osadzana w więzieniach i otrzymywała wyroki śmierci.

Nastawały lata budowy Polski Ludowej. Pomagał w tym Związek Radziecki i jego Armia Czerwona, która miała swoje bazy na terenie Polski. Zrywy wolnościowe były, kończyły się jednak rozlewem krwi.

Przyszedł wreszcie rok 1980. Przez Polskę przeszła wielka lawina wolnościowa. Wyruszyła ona z Lublina. 16 lipca 1980 r. rozpoczął się wielki strajk w lubelskiej lokomotywni. Strajki robotnicze ogarnęły zakłady pracy w Lublinie i Świdniku. To był „Lubelski Lipiec”. I tak zaczęła się pisać piękna karta Lublina i Lubelszczyzny. To był początek zrywania kajdanów niewoli, która przez długie lata trwała na polskiej ziemi. Już w sierpniu 1980 r. powstały pierwsze struktury Regionu Środkowowschodniego NSZZ „Solidarność”. Zryw wolnościowy ruszył w całą Polskę. Dotarł na Wybrzeże i na Śląsk.

Na ten okres wolnościowy Opatrzność Boża dała Polsce i światu wielkiego papieża bł. Jana Pawła II. Lublin powinien być dumny, bo ten papież przez długie lata był profesorem na KUL-u.

W roku 1979 bł. Jan Paweł II przybył z pierwszą, historyczną wizytą do swojej ojczyzny. Za wygłoszoną homilię w Warszawie otrzymał długie, bardzo długie oklaski. Oklaski te były wielkim wołaniem o wolność naszej ojczyzny. Były znakiem, że Polska może wreszcie powstać z klęzek i zrzucić z siebie pęta niewoli.

I tak miało się stać. „Solidarność” stała się wielkim ruchem wolnościowym, liczącym 10 milionów członków. Stała się wielkim fenomenem na obszarze Europy i świata.

„Solidarność” powstawała wszędzie. Powstała też w kraśnickiej Fabryce Łożysk Tocznych. Pracowało w niej wielu mieszkańców Urzędowa, którzy w swoim środowisku też założyli „Solidarność”.

Cały ruch „Solidarność” miał wielkie oparcie w Kościele. Polscy kapłani stawali się kapelanami tego wielkiego zrywu wolnościowego. Ideałom „Solidarności” oddał swoje życie bł. ks. Jerzy Popiełuszko.

13 grudnia 1981 r. dokonano zamachu na „Solidarność” przez wprowadzenie stanu wojennego. Chciano zamordować inicjatywy wolnościowe polskiego narodu. Chciano zamordować jego ducha. Bł. Jan Paweł II całym sercem był z nami. W czasie stanu wojennego śledził wszystkie wydarzenia w naszym kraju i modlił się za Polskę i Polaków, tak ciężko zranionych. Prosił Boga, by rodacy

zawsze wierzyli w zwycięstwo wolności, niezależności i solidarności. Ostatnie słowo zawsze należy do Boga.

Mieszkańcy Urzędowa od samego powstania „Solidarności” byli z nią mocno związani. Jako ludzie Kościoła, szukali wsparcia w naszej posłudze kapłańskiej. W czasie stanu wojennego ci ludzie potrzebowali szczególnej pomocy duchowej. Od 13 grudnia 1981 r., czyli od ogłoszenia stanu wojennego, robotnicy zabarykadowywali się w zakładach pracy. Tak było również w FŁT w Kraśniku.

W całej Polsce obowiązywała godzina policyjna. Wszędzie było mnóstwo żołnierzy, była milicja, ORMO i „zomowcy”. Zdawaliśmy sobie sprawę z niebezpiecznej sytuacji zaistniałej w całym kraju.

16 grudnia odprawiłem roraty w intencji fabryki. W kościele płakaliśmy wszyscy. Urzędowiaczy wozili do fabryki żywność. Robiła to wiejska „Solidarność”. Wieczorem 16 grudnia odprawiłem mszę św. za papieża. Na tej mszy św. do komunii św. przystąpiło 131 osób.

W nocy z 15 na 16 grudnia zaatakowano bazę towarową PKS w Kraśniku, zaś z 17 na 18 grudnia spacyfikowano fabrykę. Brali w tym udział przebrani w mundury żołnierskie milicjanci i ormowcy. W grupie tej byli też ormowcy i zomowcy z Urzędowa. Było ich tylko kilku. Do Kraśnika Fabrycznego przybyło ponad 100 samochodów i 5 czołgów z Lublina. Niektóre samochody jechały przez Urzędów. Wszystkich „żołnierzy” pacyfikujących fabrykę było kilka tysięcy. Do fabryki zdążyli jeszcze przyjechać księża, na czele z dziekanem kraśnickim ks. Stanisławem Szczuką. Zabarykadowanym robotnikom udzielono rozgrzeszenia, odprawiono mszę św. i udzielono komunii św. Umocnieni duchowo robotnicy wyszli naprzeciwko atakującym i witali ich kwiatami. Następnie z krzyżem i obrazem Matki Boskiej przeszli nocą do kościoła pw. św. Józefa. Było 15 stopni mrozu. Niektórzy żołnierze zdejmowali czapki z głów. Ci żołnierze nie mieli nabojów do swojej broni. Zmotoryzowani zomowcy mieli pałki do bicia. Samochodami rozwożono robotników do domów. Urzędowiaczy byli przewiezieni przez Dzierzkowice. Wszystko odbyło się bez rozlewu krwi. Gdzie indziej w Polsce połała się krew.

I mieliśmy stan wojenny. Komisarz gminy i jego zastępca, żołnierze, odwiedzili mnie. Rozmowa była spokojna. Prosił o zachowanie spokoju wśród parafian. Porucznik zauważył, że Urzędów znany jest szeroko, bo tu były „bandy”. Odpowiedziałem, że pierwszy raz słyszę o „bandach” w Urzędowie, a jestem tu już od 1967 r. Wiem natomiast, że w Urzędowie była Armia Krajowa. Serdecznie wytłumaczyłem tym młodemu Polakom temat Armii Krajowej. Zapewniłem ich też, że Kościół w Polsce nigdy nie zdradził narodu polskiego i teraz szczególnie będzie służył i wspierał ten naród, który doświadcza stanu wojennego.



Wystawa poświęcona rocznicy wprowadzenia stanu wojennego w GOK w Urzędowie (grudzień 2011 r.)

Na czas stanu wojennego był wydany *Komunikat Rady Głównej Episkopatu Polski*. Były tam mocne słowa: „Boleść nasza jest boleścią narodu, sterroryzowanego siłą militarną... Internowania obejmują robotników, ludzi

kultury, nauki i studentów”. W tym *Komunikacie* były też postulaty: uwolnienia internowanych, humanitarne traktowanie, przywrócenie „Solidarności” możliwości działania zgodnie z jej statutem.

Smutne były święta Bożego Narodzenia. Ks. Henryk Pokora, wikariusz urzędowski i diakon Tomasz Bomba wygłaszali bardzo mocne kazania.

W parafii kończyła się peregrynacja obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Chcieliśmy procesjonalnie ten obraz przeprowadzić do kaplicy w Majdanie Radlińskim. Władze „wojenne” nie pozwoliły na taką uroczystą procesję. Obraz przewieziono do kaplicy i tam odbyła się wielka uroczystość. Kaplica w Majdanie Radlińskim jest pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej, a ten obraz jest wielkim skarbem dla wiernych. Matce Boskiej Częstochowskiej tamtejsi wierni zawdzięczają budowę kaplicy.

Matce Bożej Królowej Polskiego Narodu zawdzięczają wszystkie łaski spływające na Polskę w ciężkich chwilach. Ona była z nami zawsze i będzie nadal wypraszać Polsce potrzebne łaski i błogosławieństwa Pana.

Józef Wośko

Moje wspomnienia dekady „Solidarności”

Historia zapisała, że początkiem „Solidarności” był miesiąc sierpień 1980 r. Jednak strajki w największych zakładach pracy Lubelszczyzny zaczęły się już w lipcu. Mnie osobiście nie było dane przeżywać tych wydarzeń. Przebywałem wtedy w Japonii na zapoznawaniu się z tajnikami produkcji kulek, aby je wdrożyć w Zakładzie Centralnej Kulkowni przy FŁT w Kraśniku. O strajkach lubelskich już na drugi dzień dowiedziałem się od kolegów japońskich, gdyż informację tę podało radio Wiedeń. Wydarzenia sierpniowe przeżywałem już w domu rodzinnym, a szczególnie w FŁT Kraśnik. Należę do grupy osób, które twierdzą, że tych wydarzeń nie byłoby bez Jana Pawła II i słynnych słów wypowiedzianych podczas pierwszej pielgrzymki papieża do ojczyzny: „Niech zstąpi Duch Twój. Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze Ziemi, Tej Ziemi”.

Po protestach w całej Polsce i po podpisaniu Porozumień Sierpniowych powstał wolny związek zawodowy „Solidarność”. Nastąpił masowy zapis do tego związku. Tak też było w naszej FŁT. W krótkim czasie większość pracowników było w „Solidarności”. Ja osobiście nie zwlekałem z zapisem i już na początku września byłem związkowcem. Był to okres wielkich przeżyć, ale też mieliśmy świadomość, że komunizm szybko się nie podda. W tym okresie zrodziła się myśl wśród urzędowskich solidarnościowców – zawiesić krzyże w salach lekcyjnych w naszych szkołach. Jesienią 1980 r. zebraliśmy się na mszy św. wieczornej, a po mszy otrzymane krzyże, poświęcone przez proboszcza ks. Aleksandra Bacę, zawiesiliśmy w salach szkolnych w Urzędowie, Bęczynie i Rankowskim i, dzięki Bogu, wiszą do dnia dzisiejszego.

Po tym wspaniałym okresie kilkunastu miesięcy spadł na nas jak grom z jasnego nieba 13 grudnia 1981 r.

Generał Wojciech Jaruzelski z grupą zgromadzoną wokół WRON wypowiedział wojnę narodowi polskiemu. Nadeszły ciemne chmury nad Polskę. Większość Polaków nie godziła się z tą decyzją. Ja osobiście miałem w poniedziałek II zmianę. Pracownicy pierwszej zmiany czekali i wspólnie z drugą zmianą podpisaliśmy decyzję o strajku generalnym. Dyrekcja zakładu została zawieszona a zarząd przejął sztab „Solidarności”, wybrany przez całą załogę. W wyciszonym zakładzie pracownicy z godnością i zrozumieniem przeżywali ten okres. Zrodził się problem wyżywienia kilku tysięcy ludzi zamkniętych za drutami. Nasz wydział kulkowni był jednym z pierwszych, który wysłał delegację pracowników w celu zbierania żywności wśród mieszkańców okolicznych miejscowości. Hojność była ogromna, wspomnę tylko, że wiele żywności pozostało w czasie pacyfikacji zakładu. W tym miejscu chciałbym w imieniu pracowników podziękować za hojność, szczególnie tym, którzy dowozili prowiant do zakładu, przechrzając milicję.

Mieliśmy świadomość, że ten okres nie będzie trwał bez końca. Najbardziej w pamięci został mi środowy wieczór. W tym dniu przyjechało dwóch księży z Kraśnika, aby odprawić mszę św. transmitowaną przez zakładowe głośniki na cały zakład. W tamtym czasie było to bezprecedensowe zdarzenie. Wśród uczestników było wielkie wzruszenie, a w niejednym oku łzy.

Następnie celebrowaliśmy Pana Boga na poszczególne wydziały. Była to msza w warunkach specjalnych i każdy mógł przyjąć komunię – kto nie był w stanie łaski uświę-

cającej miał obowiązek w najbliższym czasie przystąpić do sakramentu pokuty. Mieliśmy świadomość, że czas strajku będzie się zbliżał do końca. Dochodziły wieści, że Świdnik oraz FSC Lublin zostały spacyfikowane. W piątek dochodziły wiadomości, że zbliża się dywizja pacyfikacyjna. Przygotowaliśmy się na ten moment, aby przywitać zomowców chlebem i kwiatami. Wieczorem w piątek czołg przebił się przez ogrodzenie od strony północnej zakładu. Nastąpiło opanowanie poszczególnych hal produkcyjnych. Ciągle mam w pamięci reakcję naszpikowanych „prochami” zomowców – przy podawaniu im chleba i kwiatów nie wiedzieli, co z sobą począć. Tak zakończył się protest pracowników FŁT.

Wśród szpaleru ZOMO rozprowadzono nas do autokarów i rozwieziono do poszczególnych miejscowości. Spośród kilkutyśnicowej dywizji ZOMO była część wojska, ale oni byli po naszej stronie. Nastąpił ciężki okres dla części pracowników. Partyjni działacze wychwytywali udzielających się związkowców, którzy byli zwalniani z zakładu. Ja osobiście nie miałem większych kłopotów, dzięki wyrozumiałości moich kierowników. Z inicjatywy kierownika przeszedłem na Centralną Kulkownię, gdzie zaangażowałem się w uruchomienie zakładu. Było co robić, ponieważ Japończycy po wprowadzeniu stanu wojennego opuścili Polskę. Był to okres trudny i ponury dla większości Polaków, spotęgowały niedostatki wszelkich dóbr społecznych. Z tego okresu zostało wspomnienie, że na półkach sklepowych był tylko ocet.

W tamtym czasie należy podkreślić działalność patriotyczną części księży. Wśród wyróżniających się był ksiądz Jerzy Popiełuszko. Służba Bezpieczeństwa zorganizowała zamach na jego życie. 19 października 1984 r. został uprowadzony i zamordowany. Dzięki inicjatywie ks. kan. Aleksandra Bacy w urzędowskim kościele były odprawiane msze św. za ojczyznę w pierwszą sobotę miesiąca, które trwają do dnia dzisiejszego. Na tych mszach gromadziło się wielu uczestników z Urzędowa a także okolicznych miejscowości, szczególnie Kraśnika. Pierwsza msza była odprawiona już w listopadzie 1984 r. Uroczystości te były na wskroś patriotyczne, a szczególnie śpiew pieśni *Boże coś Polskę* oraz *Ojczyzno ma*.

Msze za ojczyznę były kontynuowane w parafii ks. J. Popiełuszki na Żoliborzu w Warszawie. Osobiście miałem szczęście uczestniczyć w kilku takich uroczystościach, a najbardziej została mi w pamięci msza w Niedzielę Palmową 1988 r., kiedy ksiądz zapraszając do uczestnictwa we mszy zwracał się do zomowców słowami: „Przyjdźcie i wy z bocznych uliczek. Zamieńcie pałki na palmy”. Wszelkich wiadomości z działalności związku i nie tylko dowiadywaliśmy się z podziemnej prasy, ale trzeba było

uważać podając czasopisma dla znajomych. Raz podałem dla kolegi przez niewłaściwego pośrednika i na skutek nie trzeba było długo czekać, miałem „wizytację” Służby Bezpieczeństwa w domu. Inną formą modlitwy i manifestacji poparcia dla „Solidarności” były pielgrzymki do Matki Boskiej w Częstochowie w drugą niedzielę września. Brałem też udział w tych pielgrzymkach. Najbardziej została mi w pamięci ta z roku 1988. Wraz z R. Bijakiem przygotowaliśmy transparent z napisem: „Wierni Bogu, zjednoczeni w Solidarności, przerwiemy kajdany komunizmu”, który był zauważony przez księdza zapraszającego do mszy św. W czasie mszy podszedł do nas fotoreporter i poprosił, aby rozwinąć transparent to zrobi nam zdjęcie. We wtorkowej „Trybunie Ludu” był już artykuł pt. *Pielgrzymka czy prowokacja?*

Mottem działalności „Solidarności” była wzajemna miłość i wyrozumiałość dla swoich przeciwników z hasłem „Siła argumentów a nie argument siły”, czego dowodem



Informacja o wprowadzeniu stanu wojennego oraz mundur bojowy milicjanta

było wcześniej opisane wręczenie chleba i kwiatów zomowcom. I tak doczekaliśmy się roku 1989 i zwycięstwa „Solidarności”. Potwierdzeniem tego była wygrana w wyborach z 4 czerwca 1989 r. Wcieleniem tych haseł głoszonych na własnym podwórku były wybory do Gminnej Rady w Urzędowie. Przy zdecydowanej większości solidarnościowców wybraliśmy wójta, sekretarza oraz przewodniczącego Rady spoza „Solidarności”.

Należy postawić pytanie, jak to możliwe, że upadek faszyzmu kosztował śmierć ponad 20 milionów ludzi a upadek komunizmu odbył się bez jednego strzału. Czy to możliwe jest bez udziału siły wyższej?

Kończąc te wspomnienia, chcę zaznaczyć, że należę do grupy tych związkowców, którzy uważali, że działalność ruchu „Solidarność” należało zakończyć po pierwszych wyborach. Wtedy ruch ten zapisałby się złotymi zgłoskami w historii Polski. Natomiast polityka i politycy, którzy wypłynęli po tym zdarzeniu zbrukali podstawowe idee „Solidarności”.

Marian Surdacki

Wspomnienie Mistrza i Przyjaciela. Rzecz o Profesorze Stanisławie Litaku

Pomimo, że historię na KUL-u zacząłem studiować w październiku 1975 r., to jednak w mojej świadomości Stanisław Litak, wtedy docent, pojawił się i zaistniał dokładnie rok później. Na drugim roku prowadził wykład kursoryczny z historii nowożytnej Polski i proseminarium z tego samego zakresu. Jego pierwszego wykładu nie pamiętam, zapewne na nim nie byłem. Aż wstyd się przyznać, lecz tylko raz wysłuchałem wykładu najważniejszego w moim życiu Mistrza i osobowego autorytetu. Był to wywód bardzo solidny metodycznie, ale prelekcja nadzwyczajnego wrażenia na mnie nie zrobiła. Zresztą na wiele wykładów nie chodziłem, wykorzystując każdy możliwy czas na fizyczną pracę zarobkową. Co innego proseminarium, na które niełatwo było się dostać. Nie wiem nawet, czy trafiłbym na nie, gdyby nie sugestie i wręcz usilne namowy studiujących o rok wyżej trzech przyjaciół, z którymi dzieliłem pokój w akademiku: Józefa Lewickiego, Edmunda Juśko i Andrzeja Pereszczako. Przeszli oni już przez wspomniane proseminarium i wyrażali się o nim w samych superlatywach, twierdząc, że właśnie tam można uzyskać najlepszą formację metodologiczną do uprawiania historii. Z późniejszej perspektywy mogę powiedzieć, że mieli absolutną rację.

Gdy na pierwszym spotkaniu, w październiku 1976 r., doc. Litak, wyznaczając tematy prac proseminaryjnych, pytał o zainteresowania, ja wskazałem na reformację. W odpowiedzi natychmiast usłyszałem: *Ideologia arian polskich*. Od tamtego momentu do dziś, arianie, bracia polscy, tzw. socynianie, budzą we mnie wielką sympatię i najmiłsze skojarzenia. Zaimponowała mi perfekcja metodologiczna, jaką prowadzący starał się wdrożyć młodym adeptom historii. Dotyczyła ona nie tylko pisanych tekstów, lecz każdej ustnej prezentacji tematu. Fundamentalną wręcz wagę przywiązywał do wizytówki całej pracy, a więc wstępu, a w nim zwłaszcza analizy tematu, która zwiastowała poziom i powodzenie dalszych dociekań i analiz. Na proseminarium, później seminarium, nikt z przedstawiających swoje zagadnienie nie mógł sobie pozwolić na przyjęcie nieprzygotowanym. Była to kwestia prestiżu, honoru i szacunku do swego nauczyciela, od którego promieniowała elegancja, kultura osobista, prostota zachowania, skromność, a zarazem dostojeństwo, jakiego dodawały mu okulary, a także wypastowane zawsze buty, garnitur i krawat.

Z wielkim zapalem przystąpiłem do opracowania danego, fascynującego mnie tematu. Jego ostateczną, pisaną wersję przygotowałem dużo wcześniej niż przewidywał to wyznaczony termin. Profesor bardzo cenił udział w dyskusji. Po referacie wygłaszanym na kolejnych proseminariach przez innego studenta, odbywała się debata, w której w zasadzie wszyscy musieli zabrać głos. Dopiero na samym końcu rozmowę podsumowywał

prowadzący. Ostatnie słowo należało jednak do autora wystąpienia, który jak stwierdzał nasz Mistrz, winien wysłuchać wszystkich rad, przeanalizować je i sam podjąć ostateczną decyzję co do koncepcji pisanego tekstu.

Stanisław Litak, przynajmniej w moich czasach studenckich, miał oryginalny sposób rekrutacji przyszłych magistrantów, zwłaszcza tych, którzy „wpadli mu w oko” i dobrze rokowali na przyszłość. Sam jestem przykładem takiej taktyki w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Zapewne musiałem w jakiś sposób zwrócić uwagę Profesora na zajęcia, a zwłaszcza napisaną przed terminem pracę, bowiem pod koniec pierwszego semestru zaproponował mi, zamiast dalszego uczęszczania na proseminarium, uczestnictwo „awansem” w drugim semestrze w jego seminarium magisterskim, które oficjalnie rozpoczynało się dopiero od trzeciego roku studiów. Argumentował, że w ten sposób mógłbym wcześniej wybrać temat pracy seminaryjnej i mieć więcej czasu na jej napisanie. Zwolnił mnie więc z uczestnictwa w proseminarium w drugim semestrze i zalecił chodzić na zajęcia o wyższym stopniu wtajemniczenia naukowego. Była to swego rodzaju forma „werbunku” naukowego, gdyż należy pamiętać, że w owych czasach studenci drugiego roku obowiązkowo przechodzili przez dwa proseminaria, a na trzecim roku pracę magisterską można było pisać tylko na jednym seminarium. Po trzydziestu pięciu latach mogę powiedzieć, że wszystko co najlepsze i najważniejsze wyniosłem z proseminarium Stanisława Litaka, co zdobyłem później było już tylko udoskonalaniem nabytych wtedy doświadczeń warsztatowo-naukowych.

Organizacja oraz styl pracy na seminarium, w którym udział uważaliśmy za rodzaj wyróżnienia, był wierną kopią tego, co opisałem wyżej. Panowała na nim atmosfera wzajemnego szacunku w relacji nauczyciel–uczeń. Jako młodzi niedozbli jeszcze historycy każde relacjonowanie problematyki magisterskich prac traktowaliśmy niczym zobowiązanie i ucztę naukowo-intelektualną. Myślę, że Profesor, przyjmując mnie na seminarium miał już przygotowany dla mnie temat rozprawy magisterskiej *Stosunki wyznaniowe w Małopolsce w połowie XVIII wieku*. Mieścił się on w dalekosiężnych planach i nurcie badań atlasowych nad rozmieszczeniem wyznań w dawnej Rzeczypospolitej. Problematyka i zakres terytorialny pracy, a zwłaszcza nieznanymi dla mnie typami źródeł w języku łacińskim, wymagający benedyktyńskiej cierpliwości, jakimi były wizyty, przerażał mnie i nie bardzo wierzyłem, że poddam zadaniu. Wtedy jednak doskonałym pedagogiem okazał się promotor. Przez dłuższy czas przekonywał mnie do ważności tematu i do moich możliwości, których nie byłem wtedy w stanie obiektywnie ocenić. Moje zaufanie i szacunek do Profesora stały się wtedy już tak duże, iż gotów byłem podjąć każde zadanie,

które mi zasugeruje, nawet za cenę własnych planów i interesów. Powiedziałem „zasugeruje”, ponieważ On nigdy mi nie rozkazywał, nie wydawał dyspozycji, nawet nie polecał, co najwyżej delikatnie pytał lub prosił i to bardzo rzadko.

Na seminarium magisterskie, przy omawianiu niektórych tematów, zapraszani byli „eksperci” od danego zagadnienia. Pamiętam, że gdy problem dotyczył szkolnictwa, na posiedzenia seminaryjne przychodził dr Stanisław Olczak, zajmujący się wtedy szkołami parafialnymi. W drugim semestrze 1979 r. Profesor wyjechał na 10-miesięczne stypendium naukowe do Niemiec, powierzając mnie z zaawansowaną już mocno pracą magisterską opiece naukowej prof. Zygmunta Sułowskiego. Formalnie jednak moim promotorem był Stanisław Litak, tyle tylko, że na obronie pracy, 20 czerwca 1980 r., reprezentowali go, jednocześnie jako recenzenci, doc. Wiesław Müller i prof. Jerzy Kłoczowski.

Nigdy wcześniej nie marzyłem i nie myślałem o pracy na uczelni, jednak dopuszczałem możliwość robienia doktoratu zaocznie, z tzw. wolnej stopy. Później dowiedziałem się, że inne plany w stosunku do mnie miał Profesor Litak. Wysunął moją kandydaturę do stypendium doktoranckiego. Wiosną 1980 r., przed obroną pracy dyplomowej, będąc w mieszkaniu na ul. Irydiona 6/17 w Lublinie u mojego promotora, który chwilowo przebywał w kraju, zwierzyłem mu się, że mój kolega ze wspólnego seminarium Józef Lewicki, przebywający na rocznym stażu naukowym w Paryżu, zaprosił mnie do Francji. Wtedy Profesor zapytał wprost, czy ja również chciałbym wyjechać na takie stypendium. Było to dla mnie tak wielkim zaskoczeniem i szokiem, że nie zastanawiając się odpowiedziałem twierdząco. Decyzję podjąłem spontanicznie, nie zważając na słabą znajomość języka francuskiego. Pomyślałem, jestem młody, może więc dam sobie radę i nie zginę w nieznanym, innym, niedostępnym dla normalnego Polaka świecie. Po krótkim czasie, Profesor powiedział, abym przygotował dwa podania o stypendium, jedno do Paryża i na wszelki wypadek drugie do Rzymu. Zaznaczył jednak, że szanse na wyjazd do Włoch, w porównaniu do Francji, są minimalne. Po obronie pracy magisterskiej 20 czerwca 1980 r., w połowie lipca odbył się egzamin – konkurs, w wyniku którego otrzymałem czteroletnie stypendium doktoranckie. O złożonej propozycji wyjazdu zagranicznego, jako mało realnego, niejako zapomniałem, pozorując tylko naukę języka francuskiego. Pod koniec sierpnia 1980 r. otrzymałem decyzję o przyznaniu mi rocznego stypendium we Włoszech, na które miałem stawić się w końcu października. Był to staż naukowy na Uniwersytecie Sapienza w Rzymie pod przewodnictwem prof. Gabriele De Rosa, poprzedzony dwumiesięcznym kursem nauki języka włoskiego na Uniwersytecie dla Cudzoziemców w Perugii (*Università Italiana per Stranieri*).

Przed wyjazdem byłem pełen obaw, wtedy zapytałem Profesora o mój program i cel pobytu we Włoszech. Usłyszałem odpowiedź zaskakującą, wydawałoby się absurdalną, której nigdy nie zapomnę: „Niech pan gdzie, intensywnie obserwuje i zwiedza świat oraz uczy się języka włoskiego”. Gdy zdumiony, zapytałem, a co

jeszcze mam tam robić, odpowiedział „To wszystko, to najważniejszy cel podróży”. Jak wielka mądrość, dalekosiężne myślenie, a zarazem ogromne do mnie zaufanie tkwiły w tych radach mogłem się przekonać dopiero po latach. Poznanie innego świata, z perspektywy młodego człowieka, hermetycznie wcześniej zamkniętego w „idealnym, szczęśliwym świecie” socjalizmu, czy jak kto woli komunizmu, stanowiło tak wielki kapitał naturalnej wiedzy, że nigdy nie zamieniłbym jej na studiowaną latami wiedzę książkową. Jestem przekonany, że wszystko co najlepsze w moim życiu i to co osiągnąłem na płaszczyźnie zawodowej zawdzięczam mądrości i decyzjom mojego Mistrza, zaufaniu, jakim mnie obdarzył i radom, których mi udzielił. Do tej pory dzielę się ze studentami tamtymi doświadczeniami i widzę, jak bardzo są one dla nich ciekawymi i ważnymi wątkami moich wykładów.

Kiedy w końcu października 1980 r. poszedłem do Profesora pożegnać się przed wylotem do Włoch, ten dyskretnie wręczył mi dwadzieścia dolarów amerykańskich, mówiąc „Może się w podróży przydadzą”. Były to jedyne pieniądze, jakie wtedy posiadałem. Bardzo się przydały, bo starczyły mi na dojazd z lotniska do Rzymu, a następnie na taksówkę, która mnie dowiozła na Via Anicia 12 do Centro Incontri e Studi Europei, kierowanego przez panią Wandę Gawrońską, z którą do dzisiaj łączy mnie głęboka przyjaźń. Należy pamiętać, że wtedy powyższa suma była równoważna miesięcznej pensji asystenta uczelnianego. Zapewne pieniądze te zaoszczędził Profesor podczas pobytu na stypendium i zamiast najbliższej rodzinie przekazał je obcej pozornie osobie. Ten anonimowy dla wszystkich gest, śmiem twierdzić nie jedyne, stał się dla mnie czymś symbolicznym i faktem dożgonnie zapisanym w mej świadomości.

Podczas pobytu we Włoszech uczęszczałem na wykłady i seminarium zmarłego prawie trzy lata temu prof. Gabriele De Rosa z zakresu historii społecznej i religijnej. Poznałem wtedy wielu innych znaczących historyków włoskich. Nie zapomniałem też sugestii prof. Litaka, dotyczących podróży i zwiedzania. Byłem więc m.in. na Sycylii, Sardynii, w Wenecji, Turynie, Mediolanie, Florencji, Pizie, Neapolu, Sienie oraz ponownie w Perugii, w której przez trzy miesiące w sumie uczyłem się języka włoskiego. Z Profesorem wymieniałem od czasu do czasu korespondencję. Najważniejszy list otrzymałem wiosną 1981 r. Poinformował mnie, że na KUL-u reaktywuje się, jako odrębny kierunek, pedagogika i że on zamierza objąć wykłady z historii wychowania i myśli pedagogicznej oraz z historii Polski. Mnie zaś zapytał, czy nie zechciałbym jako asystent poprowadzić ćwiczeń do tych przedmiotów, informując jednocześnie, że jak na razie nie może mi zagwarantować zajęć i etatu na sekcji historii. Złożoną propozycję potraktowałem jako wielkie wyróżnienie i zaszczyt, wiedziałem, że jest ona najlepsza z możliwych.

Po powrocie jesienią 1981 r. do kraju, zostałem zatrudniony w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim jako asystent i jednocześnie rozpocząłem pracę nad doktoratem z historii opieki społecznej w Polsce przedrozbiorowej. Zaproponowana mi problematyka badawcza stanowiła rozwiązanie kompromisowe, wynikała z potrzeb sekcji

pedagogiki. Nie był to temat moich marzeń i zainteresowań, które szły w kierunku reformacji, mniejszości wyznaniowych i struktury religijnej dawnej Rzeczypospolitej. Wplatał się jednak w daleko perspektywiczne plany Stanisława Litaka stworzenia w przyszłości wokół mojej osoby Katedry Historii Opieki Społecznej. W niespełna dwadzieścia lat później jego plany zrealizowały się, a prowadzona przeze mnie katedra jest unikatowa w skali Polski.

Jeśli kiedykolwiek miałem drobne wątpliwości co do wybranej drogi zawodowej i w duszy pojawiły się myśli o jej zmianie czy rezygnacji z pracy naukowej, natychmiast pojawiała się refleksja, że nie mogę zawieść Osoby, która na mnie postawiła i ulokowała we mnie pewne nadzieje.

W roku 1984 Stanisław Litak objął Katedrę Historii Wychowania i Myśli Pedagogicznej na Sekcji Pedagogiki (Wydział Nauk Społecznych). Został także kuratorem Katedry Historii Szkolnictwa na Sekcji Historii KUL. Przez blisko dwadzieścia lat wspólnie prowadziliśmy zajęcia z historii Polski i historii wychowania – On wykłady i seminarium, ja ćwiczenia, później proseminarium. Miałem w nim wspaniałego protektora i przewodnika, a tam gdzie było potrzebne obrońcę. Wśród pracowników nowej sekcji byłem jedynym pracownikiem, który kilkakrotnie wyjeżdżał na zagraniczne stypendia, co burzyło obsadę zajęć dydaktycznych. Wydaje mi się, że nie do końca było to aprobowane przez kierownika sekcji prof. Teresę Kukołowicz. Jednakże mój Mistrz doskonale potrafił zjednać i przekonać Panią Profesor do innej wizji rozwoju naukowego swego asystenta. Ona bowiem za granicą nie bywała i w kwestii rozwoju sekcji zdecydowany nacisk kładła na dydaktykę, co w dalszej perspektywie spowolniło rozwój karier wielu moich kolegów i koleżanek. Muszę wszakże przyznać, że prof. Kukołowicz nigdy moich wyjazdów stypendialnych nie utrudniała i nie kwestionowała. Miałem wręcz poczucie, że jest z nich dumna i bardzo we mnie wierzy, za to jestem jej wdzięczny. Mój zwierzchnik, jak tylko mógł ochraniał mnie przed zbytnim obciążeniem dydaktyką. Powtarzał zawsze prorocze słowa, że nawet z najlepszej dydaktyki w przyszłości nikt nikogo nie będzie rozliczał, a ważny będzie dorobek naukowy i związane z nim stopnie.

Taką samą strategię stosował także w czasach wolnej Polski, kiedy w latach dziewięćdziesiątych powstała filia KUL w Stalowej Woli, dając możliwość dobrego zarobku. Wtedy to wiele zdolnych osób z pedagogiki zdecydowało się na dodatkową pracę. Zyskali na tym bardzo materialnie, lecz zablokowali lub przekreślili sobie dobrze zapowiadające się kariery naukowe. Ja nie garnałem się do podjęcia tam absorbujących zajęć i jestem przekonany, że w dłuższej perspektywie i ogólnym bilansie dobrze na tym wyszedłem. Wiele lat później dowiedziałem się od kogoś, że Litak bardzo się obawiał, abym nie zaangażował się w pracę w Stalowej Woli, był nawet gotów zdecydowanie wyperswadować taki pomysł, gdyby się pojawił. Kiedy jednak uzyskałem habilitację, będąc świadom mojej sytuacji rodzinnej, sam doradzałem dodatkową pracę i zabezpieczenie materialne dla najbliższych. I tu po raz

kolejny objawiła się jego życiowa mądrość i wielkość jako pedagoga i nauczyciela.

Doskonałą szkołą naukową było dla mnie seminarium doktoranckie, które mój Mistrz nieformalnie łączył i prowadził z seminarium doc. Wiesława Müllera. Dodatkowo przybywali na nie często ówcześni docenci Eugeniusz Wiśniowski, Ludomir Bieńkowski oraz doktorzy Stanisław Olczak, Piotr Gach i inni. W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych parę razy na naszym seminarium zjawiał się prof. Bronisław Geremek, późniejszy recenzent mojej pracy habilitacyjnej. Wszystko to razem tworzyło ogromną siłę intelektualną, dając przyszłym doktorom znakomitą formację metodologiczno-badawczą. Wiesław Müller i Stanisław Litak, pomimo zupełnie przeciwstawnych charakterów, temperamentów i osobowości, tworzyli doskonale uzupełniający się naukowy, przyjacielski i towarzyski duet czy „tandem”. Używając kabaretowych porównań, dla mnie kojarzyli się zawsze z „dwujajowymi bliźniakami”, którzy, choć tak różni, tak bardzo byli sobie bliscy. Kiedy w listopadzie 2010 r. w czasie rozmowy telefonicznej z prof. Müllerem wyraziłem powyższą opinię i użyłem tego określenia, ten zgodził się ze mną, wypowiadając mniej więcej te słowa: „Mnie przez wiele ostatnich lat przy życiu utrzymywała rodzina, natomiast Staszka Litaka – praca naukowa”.

Chyba wiosną czy latem 1982 r. Profesor znalazł się w szpitalu przy ul. Staszica w Lublinie, gdzie przeszedł drobną operację chirurgiczną. Do dziś pamiętam odwiedzin w szpitalu wraz z Jego córką Małgorzatą. Dramatyczne chwile miały jednak dopiero nadejść. Podczas pobytu na stypendium w Leuven w Belgii, jesienią 1982 r. przeszedł kilka poważnych operacji chirurgicznych. Właściwie można powiedzieć, że cudem uniknął śmierci. Do Polski długo dochodziły nienapawające nadzieją wieści. W kościele akademickim zamawialiśmy wraz ze studentami pedagogiki msze za Profesora. Ja również przeżywałem ciężkie chwile, nie wyobrażałem sobie dalszej pracy na uczelni i robienia dopiero co zaczętego doktoratu, w sytuacji gdyby nastąpiło najgorsze. Podświadomie, w duchu rozważałem współpracę z prof. Müllerem. Choroba Profesora zbiegła się z moimi przygo-



17 listopada 1987 r. – obrona pracy doktorskiej M. Surdackiego. Prof. S. Litak prezentuje sylwetkę doktoranta

towaniami do zawarcia małżeństwa i ślubu. Wcześniej nie wyobrażałem sobie, że mógłby on nie uczestniczyć w tych uroczystościach. Chociaż przebywał za granicą w szpitalu, wysłałem mu zaproszenie na ślub i wesele, wiedząc, że nie przyjedzie. Miało to bardziej znaczenie symboliczne. Nie to jednak było wtedy najważniejsze. Na szczęście, gdy zbliżał się termin ślubu (15 stycznia 1983 r.), zaczęły dochodzić z Belgii radośniejsze wieści, zwiastujące wyjście z krytycznego stanu. U progu Nowego Roku musiał się czuć już lepiej, bowiem przysłał nam z Leuven kartkę z życzeniami ślubnymi, datowaną 5 stycznia 1983 r., o następującej treści: „Wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia. Dużo zdrowia i szczęścia przesyła St. Litak. PS. Dziękuję za życzenia świąteczne i noworoczne”. Niejako w zastępstwie na ślubie i przyjęciu weselnym reprezentował mojego Mistrza Jego przyjaciel Wiesław Müller, który zastępczo prowadził wykłady na pedagogice i był w tym czasie moim doradcą naukowym.

Od powrotu z Belgii Profesor już nigdy nie odzyskał pełnego zdrowia. Kolejne operacje i bardzo intensywna, ryzykowna kuracja ratująca mu życie, odcisnęły wielkie piętno na organizmie, przede wszystkim na wzroku i słuchu. Do tego wdała się cukrzyca i inne wewnętrzne dolegliwości. Nigdy jednak się nie żalił, przeżywał dyskretnie swoje fizyczne słabości. Od czasu do czasu bywał hospitalizowany. Gdy pytałem o zdrowie, zawsze odpowiadał dyplomatycznie: „Jakoś tam jest”. Zawsze się jednak uśmiechał, pokazując swój optymizm.

Pogorszenie stanu zdrowia nie wpłynęło na Jego pracę naukową. Można powiedzieć, że nawet bardziej go zmobilizowało, wiedział bowiem, że czas ucieka, a jeszcze tyle planów, tyle do zrealizowania. Największe jego dzieła naukowe powstały przecież w okresie rekonwalescencji, w końcowej fazie życia. Choroba nie rzutowała też na jego stosunek do uczniów i współpracowników. Zawsze był dla nich dyspozycyjny i wzorowo punktualny w sprawdzaniu prac, pisaniu opinii i recenzji. Teksty poprawiał i korygował z wielką dokładnością i pietyzmem, stając się jednocześnie korektorem. W zamian za to niczego od swoich współpracowników nie żądał, naturalnie oprócz solidnej rzetelnej pracy naukowej. Prosił o przysługę dla siebie tylko w sytuacjach nadzwyczajnych. Sytuacja taka miała miejsce w okresie rekonwalescencji po powrocie z Belgii, gdy zapytał mnie, czy nie mógłbym sprawdzić mu czegoś w katalogach bibliotecznych. Ta szlachetna postawa wywoływała reakcję zwrotną i powodowała, że dobro wracało do niego z powrotem. Ja np. gotów byłem spełnić chyba każdą Jego prośbę, tyle, że takie w zasadzie się nie zdarzały. Gdy już byłem kilka lat po doktoracie, tym razem zapytał, czy byłbym w stanie mu pomóc przy kwerendzie wizytacji diecezji poznańskiej, w ramach grantu badawczego. Ponieważ źródła te dobrze znałem, bez wahania i żadnych dodatkowych pytań przystąpiłem do pracy, traktując to wyłącznie w kategoriach przysługi i wdzięczności. Wielkie było moje zaskoczenie, gdy po wykonaniu zadania Profesor wynagrodził mój wysiłek finansowo, pomimo że absolutnie na to nie liczyłem.

Po opisanych kłopotach Profesor wrócił do normalnych zajęć naukowo-dydaktycznych. Dzięki temu w 1987 r. obroniłem doktorat na podstawie napisanej pod Jego

kierunkiem, pracy *Opieka społeczna w Wielkopolsce Zachodniej w XVII–XVIII wieku*. W lutym 1988 r. wyjechałem na dwuletnie stypendium do Włoch w ramach Włosko-Polskiej Szkoły Historycznej w Rzymie (*Scuola storica – italo polacca di Roma*). Pracowałem tam nad rozprawą habilitacyjną na temat szpitala Świętego Ducha w Rzymie, której tematykę wybrałem sam po konsultacjach w włoskimi historykami. Miałem jednak ciągle listowny kontakt z Profesorem, nawet dwa razy spotkaliśmy się w Rzymie. Pierwszy raz w czasie wielkiej konferencji międzynarodowej w maju 1988 r. oraz rok później, gdy krótko przebywał w Wiecznym Mieście w sprawach naukowych. Miałem satysfakcję pochodzić z nim trochę po Rzymie, zwiedzić badany przeze mnie szpital św. Ducha oraz zaprosić go na kawę. Wtedy też wraz z W. Müllerem przyjechał na obiad do Palestriny pod Rzymem, gdzie wraz z żoną i dziećmi, Martą i Gabrielem, wynajmowałem mieszkanie w klasztorze trynitarzy. Na marginesie nasuwa mi się osobista refleksja, że najważniejsze wydarzenia w najnowszej historii Polski, czasy przełomu, powstania i rozwoju „Solidarności”, a potem upadania PRL-u, przeżyłem za granicą.



Prof. Stanisław Litak oraz prof. Teresa Kukulowicz z dr. Marianem Surdackim i jego dziećmi – Martą i Gabrielem (1990 r.)

Po powrocie do Polski, tuż przed Bożym Narodzeniem 1989 r., zacząłem przygotowywać habilitację. Nie mogłem się jej całkowicie poświęcić z uwagi na bardzo absorbujące, zasygnalizowane wcześniej sprawy rodzinne. Profesor od czasu do czasu pytał o postępy w habilitacji, lecz nigdy nie naciskał, nie przyśpieszał, mając do mnie całkowite zaufanie. Trochę dziwne, ale okres lat dziewięćdziesiątych jakby najmniej zaznaczył się w mojej świadomości w kontaktach z Profesorem. Powtarzał mi tylko, że na recenzentów do habilitacji należy dobrać najlepszych specjalistów. I tak się stało. W czasie kolokwium habilitacyjnego (grudzień 1998 r.) w roli recenzentów wystąpili prof. Bronisław Geremek (wtedy minister spraw zagranicznych) i prof. Antoni Mączak.

Natychmiast po zatwierdzeniu habilitacji Profesor wystąpił o utworzenie dla mnie Katedry Historii Opieki Społecznej, co nastąpiło jeszcze w 1999 r. Wcześniej jednak zapytał mnie czy nie wolałbym przejąć po nim na pedagogice Katedry Historii Wychowania, z której w 2000 r. sam zrezygnował, po przeniesieniu na jego prośbę etatu

na Wydział Nauk Humanistycznych, gdzie objął Katedrę Historii Szkolnictwa. Zdecydowałem się na prowadzenie zaplanowanej wcześniej dla mnie katedry Historii Opieki i zasugerowałem Profesorowi powierzenie Katedry Historii Wychowania koledze Piotrowi Pawłowi Gachowi, który dopiero co zrobił habilitację. Stanisław Litak przez dłuższy czas nie podejmował decyzji. W pewnym momencie zadzwonił jednak, mówiąc, że moja sugestia w zaistniałej sytuacji jest najlepszą z możliwych. I tak już zostało do dziś. Wcześniej planował on powierzenie tej katedry prof. Janowi Drausowi, na którego ponowne zatrudnienie nie zgodziła się Rada Wydziału Nauk Społecznych.

Niewątpliwie zasadniczą okolicznością, która skłoniła Stanisława Litaka do powrotu na Wydział Nauk Humanistycznych, było uzyskanie habilitacji przeze mnie. Już wcześniej przygotowywał mnie do objęcia swojego seminarium magisterskiego na pedagogice. Jak tylko spełniłem formalne warunki, przekazał mi swoich seminarzystów, a sam ograniczył się do prowadzenia seminarium magisterskiego wyłącznie na historii. Przez kilka następnych lat zachował jeszcze pierwszą część wykładu z historii wychowania w Instytucie Pedagogiki. Wtedy też, dokładnie w 2000 r., zaproponował mi układ koleżeński i zwracanie się na „Ty”. Początkowo było to dla mnie trudne, a i On nieraz jeszcze się mylił. Z czasem stawało się to coraz bardziej naturalne. Nie kryję, że stałem się wtedy, poza rodziną, jedną z bliższych mu osób. Paradoksalnie przez kilkanaście pierwszych lat znajomości, zwracając się do Stanisława Litaka, używałem zwrotu „Proszę Pana”, nie wymieniałem tytułu czy stanowiska naukowego. Nie wiem, z czego to wynikało, bo w stosunku do innych takiej formy nie używałem. Na pewno nie było to wynikiem złego wychowania, a tym bardziej lekceważenia. Wynikało to z pewnej spontaniczności, bliskości relacji i zaufania, jakie do niego żywiłem. Tytułowanie w tym wypadku wydawało mi się sztuczne, nieadekwatne do naszych relacji. Z tego powodu nigdy nie wyczułem ze strony Profesora jakiegokolwiek negatywnego odczucia. Na pewno byłem też wtedy pod wrażeniem słów prof. Wiśniowskiego. Gdy na proseminarium ktoś zwrócił się do niego „Panie docencie”, ten w nerwach odpowiedział: „Proszę mi mówić Pan, docentów w Polsce są setki, a Wiśniowski Eugeniusz tylko jeden”.

Odejście Profesora na humanistykę w niczym nie zmieniło naszych kontaktów. Gdy tuż po habilitacji otworzyłem seminarium doktoranckie, wzorem dawnych lat, Profesor zaproponował mi połączenie naszych sił. Seminarium odbywało się w pokoju mojej katedry w sali 333, w Kolegium Jana Pawła II. Panował tam wielki ścisk, gdyż tym razem nasze spotkania i obrady skupiały aż pięć seminariów doktoranckich: prof. Litaka, prof. Müllera, prof. Ryszardza Gapskiego, prof. Janusza Droba i moje. Było to szczególnie korzystne dla mnie, ponieważ byłem debiutantem w prowadzeniu tego typu zajęć. Wszyscy dotychczas wypromowani przeze mnie doktorzy (Kazimierz Pelczarski, Alicja Antas, Wiesław Partyka, Helena Komaryńska) rozpoczynali swoje doktoraty na „kolektywnym” seminarium. Zyskali w ten sposób wszechstronną formację i doświadczenia oraz poznali różne wizje i perspektywy uprawiania nauki

historycznej. Około 2005 r. ta wspiana, moim zdaniem, inicjatywa z różnych powodów zanikła. Główną tego przyczyną były problemy zdrowotne niektórych profesorów – promotorów. Podupadający na zdrowiu Stanisław Litak ograniczył się do współpracy indywidualnej ze swoimi doktorantami, a jego głównym celem stało się dokończenie i wypromowanie rozpoczętych wcześniej prac, co mu się udało. Mimo ukończenia profesorskiego wieku emerytalnego, jeszcze trzy lata przedłużano mu etat. Miał szansę na kolejne przedłużenie, jak jednak mówił, bardzo go już męczyła dydaktyka. Postanowił poświęcić się wyłącznie pracy naukowej, bez której nie mógł po prostu żyć. Był wzorem solidności i tytanicznej pracy. Gdy miał jeszcze siły, niewielka była szansa, by kiedykolwiek nie zastać go obłożonego księgami w bibliotece, zwłaszcza w czytelni „profesorskiej”. Mówiono o nim z podziwem i zazdrością, że nawet po śmierci „w grobie będzie jeszcze pracował”. W każdym razie do ostatnich chwil, również w hospicjum, kończył syntezę szkolnictwa początkowego.



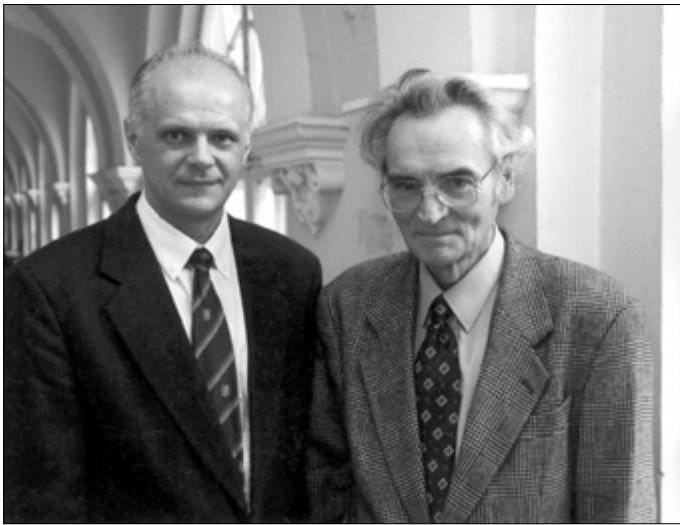
Prof. S. Litak i dr M. Surdacki (1992 r.)

Ostatnie pięć lat w życiu Profesora to intensywna praca naukowa, przeplatana coraz częstszymi kryzysami zdrowotnymi, z reguły wymagającymi hospitalizacji. Kierując się potrzebą serca i przykazaniem o nawiedzaniu chorych, bywałem dość częstym gościem na ul. Irydiona 6/17. Zawsze częstował mnie herbatą oraz ciastkami, a najczęściej krakersami. Nasze spotkania trwały od jednej do dwu godzin, a zbliżający się czas przyjmowania insuliny i punktualnego spożycia posiłku był dla mnie sygnałem do wyjścia.

Rozmowy z tego czasu mocno utkwily mi w pamięci i najbardziej nas zbliżyły. Profesor opowiadał o tragicznych czasach okupacji, ubóstwie swojego wojennego i powojennego dzieciństwa, pracy w junakach, uniemożliwieniu mu podjęcia nauki na Uniwersytecie Jagiellońskim, kulisach podjęcia studiów na KUL-u, ciężkim materialnie życiu studenckim, zmuszającym go do podjęcia dodatkowej pracy na kolei, przy wykopkach, na stołówce akademickiej. Tłumaczył bardzo skomplikowane, zawile czasy przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, nie tak łatwo poddające się prostym ocenom i interpretacjom. Z nieukrywaną dumą wspominał kilkuletni udział

w seminarium w Warszawie prowadzonym przez prof. Witolda Kulę, na którym poznał wielu znanych później historyków.

Wielkim ciosem dla Stanisława Litaka stała się nie spodziewana śmierć żony Teresy w listopadzie 2007 r. Profesor stracił nie tylko żonę, ale i opiekunkę dbającą skrupulatnie o tak ważną dla niego dietę i kuchnię. W dniu pogrzebu mimowolnie usłyszałem na cmentarzu, jak jedna z siostr zakonnych, koleżanka z Instytutu Historii, powiedziała do kogoś: „Tego grobu nie warto zamykać, zaraz będzie potrzebny dla Staszka”. Czuję, że tuż po pogrzebie musi bardzo cierpieć i być samotny. Myślałem jak Mu pomóc. Nie wiedziałem, czy otoczony jest rodziną, czy może przeżywa swój dramat w samotności. Wahałem się, lecz za namową żony Ewy, jeszcze tego samego dnia wieczorem zapukałem do jego drzwi. Zobaczyłem Człowieka smutnego i samotnego. Ale już za chwilę pojawił się na jego obliczu uśmiech i słowa „Dobrze, że przyszedłeś”. Nieco pomilczeliśmy i trochę porozmawiali. Profesor sam z siebie opowiedział mi o kulisach choroby i ostatnich dniach życia żony. Wyczułem, że moja wizyta podziałała na Niego kojąco, może łatwiej mu było mówić o tym do osoby spoza rodziny. Żegnając się uścisnęliśmy się serdecznie, jak nigdy wcześniej. Ten gest stał się już do końca stałym rytuałem naszych pożegnań.



Dr hab. M. Surdacki i prof. S. Litak (wrzesień 2001 r.)

Profesor, Człowiek silny i życiowo zahartowany, przeżył jeszcze ponad dwa lata. Pracował bardzo dużo, jak na swoje ciągle słabnące siły. Pisał wiele recenzji, w tym również dla mnie, w marcu 2008 r., w związku z mianowaniem na stanowisko profesora zwyczajnego. Jednak tylko jeden dokładnie rok od śmierci żony był dla niego w miarę łaskawy. W grudniu przed Bożym Narodzeniem 2009 r. znowu trafił do szpitala, gdzie zdiagnozowano nieuleczalną w zasadzie chorobę. W okresie świąteczno-noworocznym poddany został kolejnej operacji, którą szczęśliwie przeżył, jednak dalsze miesiące przeplatane już były uciążliwą terapią, bólem i krótkimi na przemian pobytami w domu i w szpitalu. Trudności sprawiało mu chodzenie, skarżył się na bóle kolan, które uniemożliwiały mu schodzenie z trzeciego piętra na zalecane spacerki. W takich właśnie okolicznościach kończył swoją syntetyczną, naznaczoną cierpieniem pracę o szkolnictwie

powszechnym. Czuję wielką radość, że miałem okazję mu nieco pomóc, pożyczając książki w bibliotece i sprawdzając informacje bibliograficzne. To jedyne, co mogłem dla niego zrobić w zadośćuczynieniu za wyświadczone dobro. Żalił się, że w ostatnich miesiącach może pracować już tylko trzy, cztery godziny dziennie. Posłuszeństwa odmawiał organizm, bo głowa do końca znakomicie funkcjonowała.

Mimo ciężkiej choroby do końca troszczył się o swoich współpracowników oraz rozpoczęte inicjatywy i dzieła. Ubolewał nad losem stworzonej przez siebie Katedry Historii Szkolnictwa, która po jego przejściu na emeryturę nie doczekała się godnego następcy i groziło jej zamknięcie. W związku z tym, na początku 2009 r. Instytut Historii zwrócił się do mnie o objęcie wspomnianej katedry i przejście czasowe lub na stałe na Wydział Nauk Humanistycznych. Wstępną zgodę na takie rozwiązanie w rozmowie ze mną wyraził już sam rektor. Kiedyś bardzo bym tego chciał, lecz teraz nie było to możliwe. Propozycję długo i wnikliwie rozważyłem, a swoją decyzję uzależniałem od oczekiwań Stanisława Litaka, który powiedział, abym sugerował się wyłącznie tym, co dla mnie jest lepsze i korzystniejsze. Ponad dobro bliskiej mu idei postawił więc dobro swego ucznia i współpracownika. Wcześniej poważnie rozważyłem możliwość poświęcenia swoich celów i tzw. malej stabilizacji dla ratowania Jego dzieła. Po tej rozmowie wątpliwości znikły, decyzja przyszła niejako sama, a wspomniana katedra została niebawem zlikwidowana.

Stanisław Litak był też inicjatorem i redaktorem zapoczątkowanej w 1998 r. serii *Prace z historii szkolnictwa w Polsce*, która zyskała duże uznanie w środowisku polskich historyków. Czując ubytek sił i zdrowia, w 2008 r. poprosił mnie o kontynuowanie dzieła i przejęcie redakcji wydawnictwa. Zaznaczył przy tym, że należy bardzo dbać o jego poziom i właściwy dobór prac. Nie zastanawiając się dłużej, zgodziłem się ze świadomością, jak duży ciężar na mnie obowiązek. Zaproponował też poszerzenie tematyki serii w związku z moimi zainteresowaniami badawczymi. Obecnie brzmi ona *Prace z dziejów szkolnictwa i opieki społecznej w Polsce*. Przed ostatnią w życiu operacją, bardzo ciężką i ryzykowną, w szpitalu poprosił mnie o sformułowanie wspólnego pisma – informacji odnośnie zmiany tytułu i redakcji serii. Po obopólnym złożeniu pod nim podpisów, jego treść została zamieszczona w ostatnim redagowanym przez S. Litaka, siedemnastym z kolei tomie oraz w pierwszym pod nową redakcją. By nadać temu przedsięwzięciu pewną symbolikę, zdecydowałem, by nową niejako serię zainaugurowała praca mojego mistrza *Edukacja początkowa w polskich szkołach w XIII–XVIII wieku*. Ukazała się ona w 2010 r., w dziesięć miesięcy po śmierci Autora. Złożyłem przyrzeczenie, że nie zaniedbam Jego dzieła i testament ten jak najlepiej będę starał się wypełnić. Jest to dla mnie honorowe i moralne zobowiązanie. Jak na razie udało się wydać siedem nowych książek pod zmienioną redakcją.

Na początku stycznia 2010 r., po powrocie ze świąt Bożego Narodzenia, spędzonych u córki w Legionowie, Profesor znowu znalazł się w szpitalu przy Alei Kraśnickiej w Lublinie, skąd już nigdy nie wrócił do domu.

Po kilkunastu dniach został przeniesiony do hospicjum. Jego stan był ciężki, przeplatany krótkimi chwilami poprawy samopoczucia. Przynajmniej od ostatniej operacji był świadom swojej sytuacji, jednak wierzył, że jeszcze powróci do domu do swoich fiszek i niezakończonych prac. W hospicjum odwiedzałem Go często. Przez dwa tygodnie był z nim jeszcze kontakt werbalny, ostatnie kilkanaście dni mówił już tylko mimiką i ruchem ust, drżącą ręką próbował mi pisać na kartce swoje życzenia. Tylko niektóre myśli udało mi się zrozumieć. Jeden z takich zapisków, prawie nieczytelny, dotyczył wydania Jego książki. Chciał, abym dopilnował fotografii, uzupełnił przypisy i bibliografię. Zdany był wyłącznie na pomoc osób trzecich, ten brak samodzielności bardzo mu doskwierał i chyba trochę go denerwował.

Przeżyłem wtedy „wielkie rekolekcje”, byłem przy Jego powolnym odchodzeniu. Pomagałem Go pielęgnować, podawałem do ust napoje, ocierałem twarz, podnosiłem, zmieniałem pozycję głowy, masowałem nogi, trzymałem Jego ręce, a swoje kładłem mu na głowę. Uśmiechał się jeszcze nieraz, rzadziej wilgotniały mu oczy. Zawsze unikałem kontaktu z osobami ciężko chorymi i umierającymi, tym razem wszystko wydawało się naturalne i przynosiło zadowolenie, że mogę posłużyć komuś, kto nigdy niczego mi nie odmówił i tak wyraziście wpłynął na bieg mojego życia. Widziałem Jego ogromną wdzięczność, wręcz szczęście, wtedy te same uczucia przechodziły na mnie. Miałem wrażenie, że mogłem być dla niego trochę synem, tak jak on bywał dla mnie kiedyś ojcem.

Na 16 dni przed śmiercią była u nas na obiedzie córka Profesora Małgorzata. Postanowiliśmy razem pójść do jej ojca. Żona wzięła mu prawdziwy rosół z domowym makaronem oraz faworki. O dziwo, kiedy chory nie mógł już spożywać posiłków i karmiony był sondą, zjadł ze smakiem jedno i drugie. Szczególnie smakowały mu faworki, które obiecaliśmy ponownie zrobić i przynieść do szpitala. Ale już następnym razem jeść nie mógł. Był to ostatni zjedzony przez niego domowy obiad. Tak mało, a tak bardzo cieszyło.

Zauważyłem, że mój rytm dni wyznaczają wizyty w hospicjum. Coś mnie tam ciągnęło, a dni nieobecności stawały się nie w pełni spełnione, pomimo że sam byłem w trakcie wykonywania badań lekarskich. 23 lutego odbywałem zajęcia dydaktyczne na Majdanku, po których zamierzałem odwiedzić chorego. Tuż przed zakończeniem seminarium dostałem „esemesa”, że doczesne życie mego Wielkiego Mistrza i Przyjaciela dopełniło się.

Był to dla mnie czas szczególny, w którym odchodzenie z tego świata Profesora Litaka zbiegło się z moimi nieoczekiwanymi problemami. Żyłem niejako w dualistycznej rzeczywistości, świecie śmierci bliskiej mi osoby i świecie troski o własne losy. Sumienie mówiło, że nie mogę Go opuścić. On zawsze troszczył się o mnie, przypominał, aby ciepło się ubierać, gdy przyjeżdżałem do niego rowerem, nakłaniał do robienia badań lekarskich, przegornie martwił się o mnie. Gdy niespodziewanie dowiedziałem się o swoich problemach, nie byłem w stanie o tym mu powiedzieć. Nie chciałem Go niczym obarczać i sprawić, aby w tym momencie myślał jeszcze o mnie. W niczym przecież nie mógł mi pomóc, gdyby był zdrowy,

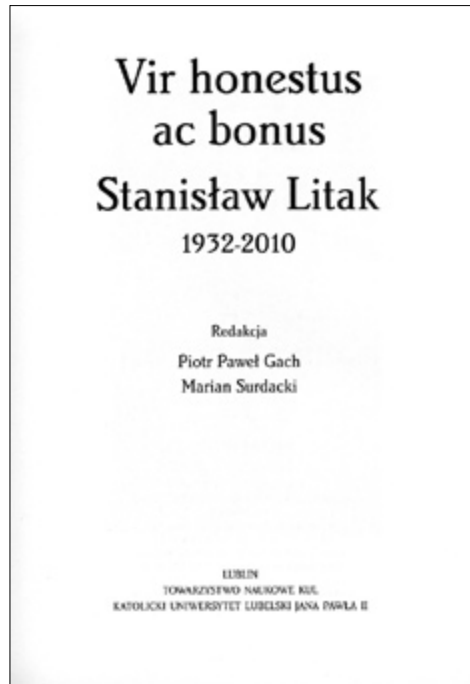
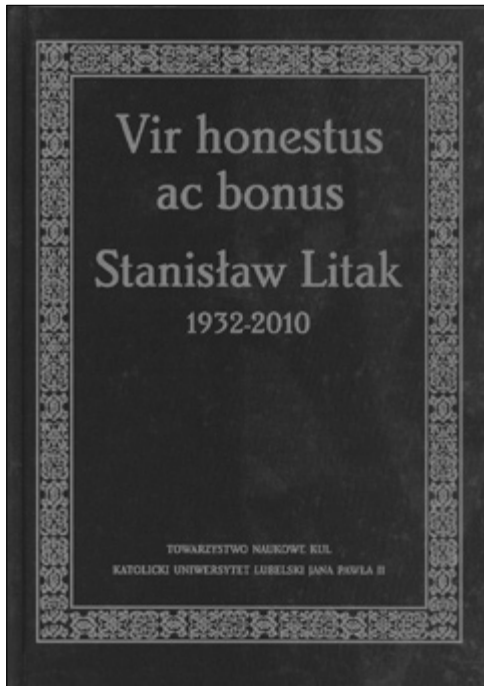
pierwszy by się o wszystkim dowiedział. Zdażyłem jeszcze przemówić w kościele nad trumną i towarzyszyć Mu na miejsce spoczynku cmentarnego, by dwa dni później samemu trafić do szpitala.

Był człowiekiem delikatnym, konsekwentnym i stanowczym. Jako przełożony i szef nie narzucał swoich własnych opinii i koncepcji. W relacjach ze mną, ale też ze wszystkimi ludźmi, był niezwykle subtelny, kulturalny, zawsze pogodny, nigdy nie podchodził z pozycji wyższości. Prof. Litak to także człowiek wrodzonego taktu. Nie wiem, czy mógł kogokolwiek w kontaktach zawodowych urazić. A był człowiekiem niezwykle wymagającym i surowym, przede wszystkim w stosunku do samego siebie. W ostatnich tygodniach życia Profesora, słyszałem od ludzi nauki z całej Polski wiele słów podziwu, szacunku i wsparcia pod Jego adresem. Jedną z osób, dla której był autentycznym autorytetem przysłała mi wtedy „esemesa” o treści: „Najpiękniej umiera jabłoń, kiedy łamie się pod ciężarem własnych owoców. Piękna osobowo postać prof. Litaka promieniuje autentyzmem szlachetności w obliczu najcięższej próby”.

Na swoim przykładzie stwierdzam, iż nie wykorzystywał swojego stanowiska, nie wysługiwał się ludźmi, nie obciążał ich swoimi obowiązkami. Często spotykane w świecie naukowym wasalne relacje profesor–uczeń były dla niego czymś zupełnie abstrakcyjnym. Uważał, że każdy powinien pracować na własne konto. A gdy wielokrotnie mu dziękowałem za to, co dla mnie uczynił, odpowiadał: „To wyłącznie pana zasługa, to ty swoją pracą sobie na to zasłużyłeś” (gdy przeszliśmy na *per Ty*). Trać to zapewne próżnością i pychą, powiem jednak, że ku mojej wielkiej satysfakcji, pod koniec swego życia powiedział: „Współpraca z tobą była dla mnie zawsze przyjemnością”. Faktycznie, w ciągu 35 lat znajomości, zwłaszcza w ostatnich latach, rozumieliśmy się bez słów. Doskonale panował nad emocjami, które jak każdy śmiertelnik, musiał posiadać. Ja po prostu nie widziałem u niego wad. Nie zdarzyło się, abym w oficjalnych sytuacjach i publicznych wystąpieniach zobaczył go zdenerwowanego lub z podniesionym głosem. Taka postawa wymuszała podobne zachowanie u partnerów, mobilizowała do pracy, sprawiała, że tego człowieka nie można było zawieść.

Posiadał jeszcze inne ważne cechy, był sprawiedliwy i obiektywny, dyskretny i dyplomatyczny, tolerancyjny – ale nie w stosunku do nierzetelnego postępowania. Oprócz mnie miał też innych współpracowników, uczniów, równocześnie moich kolegów, a nawet przyjaciół. Dopiero kilka lat temu, gdy zobaczył jak różnie potoczyły się ich losy, w bardzo osobistej rozmowie powiedział: „Ja was zawsze sprawiedliwie traktowałem, nikogo nie wyróżniałem”. Jestem przekonany, że to, co nas zbliżyło, niezależnie od różnic w temperamencie i charakterze, to wspólne wartości, podobny rodowód społeczny, życiowe doświadczenia, szacunek do pracy i ludzi, odpowiedzialność, konsekwencja w działaniu. Należeliśmy wprawdzie do innego pokolenia, jednak obaj wyrosliśmy w rodzinach chłopskich, w ciężkiej codziennej pracy. Podobnie jak On ja nigdy do momentu studiów nie wiedziałem co to wakacje, kolonie, wycieczki; po prostu oprócz uczęszczania

do szkół stale pracowałem w gospodarstwie rodzinnym. A gdy znalazłem się na uniwersytecie, każdą chwilę, nawet kosztem zajęć, poświęcałem pracy fizycznej, nie chcąc obciążać rodziców. Pracowałem też w każde wakacje w latach studiów jako pomocnik przy budowie i rozbudowie gmachu KUL-u. Wykonywałem wszystko, nosiłem m.in. gorącą smołę i lepik na krycie dachów. Po latach dowiedziałem się, że Profesor w jednej z rozmów wyraził się mniej więcej w ten sposób: „Gdy zobaczyłem jak umorusany Surdacki dźwiga w wiadrach rozpaloną smołę, już wiedziałem, że postawiłem na właściwego człowieka”.



Okladka i strona tytułowa książki poświęconej pamięci prof. Stanisława Litaka

Ze Stanisławem Litakiem łączyły mnie nie tylko kontakty naukowe. Po kilkunastu latach znajomości, coraz bardziej zaczęły się one przekształcać w relacje towarzyskie, a w ostatnich latach w przyjaźń. Ze wszystkimi Jego dziećmi od bardzo dawna byliśmy po imieniu. Zdarzało się, że był moim doradcą i „ojcem zaufania” w sprawach rodzinnych i osobistych. Gdy miały się rodzić nasze kolejne dzieci, dowiadywał się o tym jako jeden z pierwszych. Otrzymywałem wtedy od niego głębokie wsparcie, wiedziałem, że cieszy się ze wszystkich naszych sukcesów i przeżywa dramaty, których w życiu nie brakowało. Do niego zwracałem się w ciężkich chwilach, np. bardzo poważnych chorób dzieci. Gdy doświadczyłem największej tragedii, jaką był śmiertelny wypadek naszej najstarszej córki Marty, zaproponował mi pożyczkę pieniężną. W takich momentach długo rozmawialiśmy, a On udzielał mi zawsze bardzo racjonalnych rad, przede wszystkim uświadamiał, że nie wolno się załamywać, trzeba żyć i pracować dla pozostałej rodziny. Te chwile i rozmowy były dla mnie swego rodzaju balsamem, dodawały sił. Ówczesne nasze relacje miały charakter prawie ojcowsko-synowski. Ostatnio często pytał o moją chorą matkę i niekiedy napominał: „Odwiedzaj ją, póki żyje”. U niego samego wyczuwałem ogromny szacunek do swoich nie-

żyjących rodziców. Gdy często gościłem w Jego domu, zawsze mój wzrok przyciągały wiszące nad biurkiem dwa małe, białe-czarne portrety przedstawiające stare, spracowane, poorane zmarszczkami twarze matki i ojca.

O ile nie różniliśmy się w podstawowych wartościach życiowych, to mieliśmy trochę inne spojrzenie na ocenę dziejów najnowszych, trochę inne poglądy polityczne, choć obydwaj nie należeliśmy do żadnych partii. Profesor miał bardziej tolerancyjne ode mnie spojrzenie na bardzo zagmatwaną, smutną, siermiężną, jak stwierdzał, historię PRL-u. Ja zaś patrzyłem na to w sposób bardziej bezkompromisowy, zważywszy, że znaczna, mę-

ska część mojej rodziny straciła życie w latach 1944–1947, a ojca cud i amnestia ocaliły od kary śmierci lub wieloletniego przebywania w kazamatkach Zamku Lubelskiego. W wielokrotnie prowadzonych rozmowach na ten temat starałem się nie eksponować zbyt wiele występujących w tym zakresie różnic między nami, z uwagi na Jego autorytet, szacunek do Niego i fakt, że On okupację oraz czasy tuż po niej pamiętał z autopsji.

Dla mnie odszedł więc nie tylko wielki uczony, Człowiek nieprzeciętnego formatu, ale przede wszystkim Przyjaciel, Brat, drugi Ojciec. Nie mogę sobie jakoś wyobrazić, że nie zapyta mnie już więcej w swoim mieszkaniu: „Czy przyjechałeś rowerem? Czy masz ciepłą czapkę? Czy kurtka nie za letnia?”. W ten sposób mówiła

do mnie i nadal mówi tylko moja matka. Jakoś serce mi ściska, gdy przechodząc koło jego bloku, uświadamiam sobie, że już więcej tam nie wstąpię. Brak mi będzie nawet tych wizyt w hospicjum, gdzie choć już nie mógł mówić, a słowa były już niezrozumiałe, ja Jego doskonale rozumiałem. Wraz ze śmiercią Profesora zakończyło się jego pełne pracy i cierpienia doczesne życie, zakończyło się też coś bezpowrotnie w moim życiu. Jednak tego, co od Niego otrzymałem, nikt mi nie odbierze.

Chciałbym podkreślić absolutną harmonijność i doskonałość relacji personalnych między Mistrzem a uczniem, jaka trwała między nami od 35 lat. Nigdy mnie nie uraził, nigdy się na mnie nie zdenerwował, nie kontrolował moich zajęć i nie ingerował w ich treść i formę. Tak niepowtarzalnych więzi ze swoimi mistrzami i szefami w relacjach zawodowych, życzyłbym wszystkim.

Powyższym wspomnieniem o charakterze autobiografii skoncentrowanej wokół zmarłego Profesora Stanisława oddaję mu hołd i wdzięczność za wszystko, co dla mnie i dla innych uczynił dobrego. Profesora Stanisława Litaka upamiętniliśmy też razem z moim kolegą i przyjacielem prof. Piotrem Pawłem Gachem wydaną pod naszą redakcją rok temu książką wspomnieniową *Vir honestus ac bonus. Stanisław Litak 1932–2010* (Lublin 2011).